



*Martha Kirkland*

*Reputacja  
panny Wilson*

---

*Pannie Rachel Lynn Gormley I wszystkim innym młodym  
ludziom, którzy mają trudności z określeniem swego miejsca w  
świecie. Niech Bóg błogosławi wam wszystkim.*

Scandalous

# Rozdział 1

## *Londyn, 1815...*

Randolf Dunford, szósty lord Dunford, był znudzony. Tak naprawdę nudził się przez większą część czasu, jaka upłynęła od jego powrotu do Anglii sześć miesięcy temu. Jeżeli cokolwiek mogło go teraz wyrwać z tego stanu, był to samotny spacer w mroźny świt i widok dwóch niedbale odzianych mężczyzn ukrywających się za rogiem kamienicy.

- Niech to lichy!... - wymamrotał.

Już niejednokrotnie był zaczepiany na ulicy. Znał dobrze wszelkie niebezpieczeństwa czyhające na śmiałków wędrujących samotnie po dokach Barbadosu czy Londynu. Nie spodziewał się jednak, aby cokolwiek zagrażało mu w uchodzącej za raczej spokojną Marylebone.

Większość mieszkańców dzielnicy stanowili bogaci mieszczaństwo, którzy musieli wstawać wcześniej rano do swoich zajęć, w związku z czym po północy tutejsze ulice zazwyczaj pustoszały. Niestety nie tego świtu. Zanim Rand zdołał zagwizdać na dorożkę, łudząc się nadzieją, że choć jedna znajduje się w pobliżu, dwóch opryszków ruszyło w jego kierunku. Jeden wielki, tusty i o złych oczach trzymał w ręku pokrytą skórą pałkę, drugi, niski i muskularny, dzierżył nóż gotowy do ataku.

- Nie ruszać się! - krzyknął lord Dunford. - Nie dam się zarznąć jak baran. Jeśli myślicie, że nie będę się bronił, to jesteście w błędzie.

Mógł sobie darować tę przemowę. Niższy z mężczyzn doskoczył do niego zwinnie jak łasica. Uzbrojony jedynie w hebanową laskę Rand zdołał odeprzeć pierwszy cios noża. Następnie, całkowicie zapominając o angielskim kodeksie honorowym, wbił srebrną główkę łaski między kolana opryszka i gwałtownie szarpnął w górę. Tak jak przypuszczał, cios we wrażliwe miejsce okazał się najskuteczniejszy. Złoczyńca wrzasnął ze zdziwienia i bólu, po czym zgiął się wpół i padł na ziemię, trzymając się za obolałą część ciała. W czasie gdy powalony napastnik jęczał niczym w agonii, do Randa podbiegł drugi mężczyzna i uderzył go pałką w głowę. Lordowi pociemniało w oczach, a usta wypełnił mu słony smak krwi.

Ignorując okropne charczenie kompana, zwalisty opryszek pochylił się i chwycił nóż. Rand, zdawszy sobie sprawę, że może to być jego jedyna szansa na przeżycie, w jednej chwili podniósł hebanową laskę i zdzielił olbrzyma w ciemię. Napastnik padł jak kłoda.

Korzystając z okazji, że obaj bandyci leżą na ziemi, Rand odszedł kilka kroków. Miał nadzieję, że zdoła odzyskać równowagę, zanim któryś z łotrów wstanie i zmusi, go do dalszej walki. Rękawem płaszcza otarł krew spływającą ze skroni aż do brody, zastanawiając się przez cały czas, co powinien zrobić. Zostać i pokazać tym dwóm, na co zasłużyli? Czy może uciekać, póki to jeszcze możliwe?

Gdyby chciał działać rozsądnie, cofnąłby się o dwie przecznice i znalazł w domu swej aktualnej kochanki. Co prawda ostatnio opuścił ją już po piętnastu minutach spędzonych w jej przesyconym

perfumami buduarze, stwierdziwszy, że namiętne pocałunki przeplatające się z żadaniami wciąż nowych klejnotów stają się trudne do wytrzymania. Mimo wszystko jednak konfrontacja z zagniewaną kochanką wydawała się lepszym wyjściem niż śmierć na ulicy z rąk opryszków.

Czas uciekał, a Rand wciąż wahał się pomiędzy tym, co podpowiadał mu rozsądek, a tym, co podsuwała urażona duma, czyli nieodpartym pragnieniem pokazania tym dwóm, jak wielki popełnili błąd. Nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że żadne z tych rozwiązań nie leży już w zasięgu jego możliwości. Miał zawroty głowy i ogarniała go coraz większa słabość. Dzwoniło mu w uszach, a przed oczami wirowały kolorowe plamy.

Próbując dojść do siebie, oparł się o żelazną balustradę schodów prowadzących do kuchennego wejścia skromnego kamiennego domu. Kiedy tak stał, z głową opuszczoną na piersi, usłyszał nagle charakterystyczny zgrzyt przesuwanego rygla. W jednej chwili drzwi otwarły się na oścież i schody zalało światło.

- Proszę wejść, szybko! - ktoś go popędzał. - Zanim tamci dwaj odzyskają przytomność.

Lord Dunford nie miał pojęcia, kto do niego mówi, zorientował się tylko, że głos należy do młodej kobiety. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. W tej chwili przyjąłby pomoc od samego diabła. Właściwie dlaczego nie miałby tego zrobić? On i Szatan byli w zażyłych stosunkach, przynajmniej przez większą część dorosłego życia lorda.

Kimkolwiek była nieznajoma z lampą, zbiegła szybko po schodach i objęła rannego mężczyznę w pasie.

- Proszę się na mnie wesprzeć - poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu - i proszę nie protestować.

Rand wcale nie miał zamiaru odmawiać. Posłusznie otoczył ramieniem plecy kobiety, zauważając przy tym, że jej skóra jest miękka, a zapach świeży i słodki, jakby przed chwilą wyszła z kąpieli. Pozwolił wprowadzić się po schodach do wnętrza domu, a potem oparł się o ścianę, czekając, aż nieznajoma zarygluje drzwi.

- Ach! - zawołała, widząc jego zakrwawioną twarz. - Pan jest ranny.

- To nic groźnego, zapewniam panią. Na pewno nie tak groźnego, jak mogłoby być, gdyby mi pani nie pomogła.

Kobieta zdawała się nie zważać na jego słowa. Ponownie chwyciła go w pasie.

- Gdyby zdołał pan przejść jeszcze kawałek, do pracowni na tyłach domu, mogłabym opatrzeć pańskie rany, nie niepokojąc reszty domowników.

Do pracowni? Czyżby jego wybawczyni była szwaczką? A może modystką? Rand był zdziwiony, gdyż z jej mowy wywnioskował, że to osoba wyższego stanu.

- Widziałam z okna mojej sypialni, co się stało - wyjaśniła. - Był pan bardzo szybki. I miał pan dużo szczęścia, Kiedy zobaczyłam tych mężczyzn i zdałam sobie sprawę, że jeden z nich jest uzbrojony w

nóż, przestraszyłam się, że pana zabiją. Dziękuję Bogu, że tak się nie stało.

To, że ktoś interesuje się w taki sposób jego osobą, było dla lorda Dunforda zupełnie nowym doświadczeniem. Nie wiedział, co odpowiedzieć, ale na szczęście jego wybawczyni nie wydawała się oczekiwać jakiegokolwiek komentarza. Kiedy zatem przechodzili przez wyłożony szarozielonymi marmurowymi płytkami przedsionek, mógł całkowicie skoncentrować się na stawianiu jednej stopy przed drugą, co wymagało od niego wręcz heroicznego wysiłku.

Szli dalej wąskim, krótkim korytarzem, aż dotarli na tyły domu. Tam kobieta otworzyła drzwi i wprowadziła go do obszernego pomieszczenia. W istocie pasowało do niego określenie „pracownia”, mimo że drewniane półki pokrywające wschodnią i zachodnią ścianę sugerowały, że obecnie służyło raczej jako biblioteka. Z tyłu pomiędzy dwoma dużymi oknami znajdował się kominek. Pod przeciwległą ścianą stały duże regały, obok których znajdowały się drzwi prowadzące najprawdopodobniej do salonu.

Byli na miejscu i Rand odetchnął z ulgą. Puścił nieznajomą i obiema rękami wsparł się na starym, dębowym stole dumnie królującym pośrodku pokoju. Na mocno poplamionym i porysowanym blacie stały dwa pięknie zdobione srebrne świeczniki z wypalonymi do połowy świecami. Poza kunsztownymi srebrami znajdowało się tam jeszcze drewniane pudełko, nie był to jednak zwyczajny rzemieślniczy wyrób, i wielka metalowa taca zawierająca

coś, co wyglądało na zestaw małych narzędzi lutowniczych, oraz cienkie, skórzane rękawiczki, jakie zwykle noszą kowale.

Do prawego rogu stołu ktoś przytwierdził dwie żelazne rurki długości mniej więcej dziesięciu cali i grubości kciuka. Złączone na kształt litery L otworami skierowane były ku górze. Trzecia z kolei rurka prowadziła do żelaznej butli stojącej na podłodze. Widniał na niej napis: „Uwaga. Zawartość łatwopalna”.

Rand był zdziwiony, widząc pojemnik z tak niebezpieczną substancją w zwykłym mieszkaniu, i poczuł ulgę, gdy dostrzegł na szyjce butli coś, co prawdopodobnie było zaworem zabezpieczającym.

Czemukolwiek służyła ta pracownia, z pewnością nie miało to nic wspólnego z takimi kobiecymi zajęciami, jak szycie czy upinanie kapeluszy. Na dodatek w powietrzu unosił się delikatny zapach siarki, co sprawiło, że Rand zaczął się zastanawiać, czy cios, który otrzymał, nie był mocniejszy, niż mu się wydawało. A jeśli tak, to może znalazł się w przedsionku piekiel?

Obutą w brązowy domowy pantofel stopą kobieta wysunęła spod stołu drewniany taboret.

- Proszę tu usiąść - powiedziała - a ja przyniosę miednicę z wodą i apteczkę.

Czując się wciąż słabo, lord Dunford z radością przystał na tę propozycję. Przez chwilę patrzył, jak jego wybawczyni zapala świece, a potem odprowadził ją wzrokiem, kiedy wzięła lampę i przeszła w drugi kąt pokoju. Pomiedzy półkami znajdowały się drzwi, prowadzące zapewne na kuchenne schody. Nieznajoma otworzyła je,



po czym odwróciła się i spojrzała na Randa tak, jakby właśnie sobie o czymś przypomniała.

- Wybacz pan, ale jestem zmuszona prosić, aby nie dotykał pan niczego w tym pokoju.

- Nie, nie. Oczywiście, że nie. Będę potulny jak baranek.

- Baranek? - Kąciki jej ust uniosły się nieznacznie, ale opadły, zanim rzeczywiście się uśmiechnęła. - Zapomniał pan, że widziałam, jak pana zaatakowano. A wzięwszy pod uwagę zręczność, z jaką pan się obszedł z opryszkami, wątpię, by potulność stanowiła dominującą cechę pańskiego charakteru.

Nie będąc pewnym, czy podoba mu się to, iż został tak szybko rozszyfrowany, Rand położył hebanową laskę na stole, po czym splótł ręce i oparł je na kolanach.

- Beee - powiedział, starając się jak najlepiej udąć baranka. Tym razem uśmiech rozjaśnił twarz nieznajomej, lecz umknął on uwadze lorda Dunforda. Jego wzrok bowiem całkowicie przykuł jej ubiór. Wirujące płamy szybko zniknęły przed oczu Randa, gdy blask świec uprzytomnił mu, że jego wybawczyni najwyraźniej dopiero co wstała z pościeli. Gęste brązowe włosy miała rozpuszczone, tak że luźno spływały jej po plecach, a ciało okryte jedynie koszulą nocną i wełnianym szalem.

Uświadomiwszy sobie, że prawdopodobnie zawdzięcza tej kobiecie życie, Rand szybko odwrócił od niej pożądlive spojrzenie i zaczął studiować przedmioty znajdujące się na stole. Usłyszał tylko,

że nieznajoma zeszła po schodach. Kiedy po kilku minutach powróciła, niosła miskę, śnieżnobiały ręcznik i jakieś pudełko.

Do tego momentu Rand zdołał nieco ochłonąć. Niewątpliwie jego wybawicielka była bardzo ponętą kobietą. Może nie piękną, przynajmniej wedle ogólnie przyjętych kanonów, ale niezaprzeczalnie posiadającą jakiś magnetyzm.

Ocecił jej wiek na mniej więcej dwadzieścia pięć, sześć lat. Młodzieńcza świeżość ustępowała już bardziej ostrym rysom dojrzałej kobiety. Podobnie jak włosy brwi miała koloru gorącej czekolady rozbielonej kroplą mleka. Zbyt szybko spuściła powieki, by zdołał dostrzec, czy jej oczy są brązowe, czy niebieskie. Nos miała mały i prosty, a cerę gładką jak jedwab. Trudno było stwierdzić, czy lekko zarumienione policzki to jej stała cecha. Być może był to efekt jego badawczego spojrzenia.

- Czy mogę poznać pani imię, panno?... - zapytał, by oderwać myśli od jej pełnych i kształtnych ust.

Zawiesił głos w oczekiwaniu na odpowiedź, ale ku jego zdziwieniu dziewczyna milczała. Postawiła miednicę na stole i starannie odwijając skórzany pasek zabezpieczający pudełko z lekarstwami.

- Wybaczy pan, ale biorąc pod uwagę niezwykle okoliczności, w jakich się poznaliśmy, chyba lepiej będzie, jeśli nie pozna pan mojego imienia. A ja nie będę pytała o pańskie - odrzekła po chwili.

- Ależ nie ma chyba potrzeby zachowywania aż takiej dyskrecji. Zbyt wiele pani zawdzięczam, aby nadużywać znajomości pani imienia.

- Różnie może się zdarzyć - odparła, wyjmując kilka plastrów i szklane naczynie zawierające jakiś cuchnący balsam. - Pozostańmy przy moim zdaniu.

Zwilżywszy ręcznik, ujęła dłonią brodę lorda, delikatnie odwróciła w stronę światła i zaczęła przemywać rany. Jej dotyk i ruchy były tak subtelne, że Rand, chcąc się rozkoszować tym rzadkim doświadczeniem, zamknął oczy. I uciszył wszystkie zmysły oprócz czucia.

- Otrzymał pan dwa ciosy i choć nie wydaje mi się, aby po którymś z nich została blizna, dobrze by było, gdyby jutro udał się pan do medyka na konsultację.

Niech diabli wezmą medyków! Wolałby zostać na zawsze w tym pokoju i poddawać się zabiegom nieznajomej o delikatnym dotyku.

Jego wybawczyni w milczeniu nakładała mocno woniejący smołą balsam pod oczy i wokół kącików ust. Kiedy

przyklejała plastry, Rand spytał, czy nie przemyślałaby jeszcze raz poprzedniej decyzji i nie zdecydowała się zdradzić swego imienia.

- Chcę jedynie wiedzieć, komu jestem winien wdzięczność.

- Nie jest mi pan nic winien - odparła - poza dotrzymaniem tajemnicy. - Jakby chcąc ubiec kolejne pytania, dodała:

- Sama muszę zarabiać na utrzymanie i choć jestem w tym szczęśliwym położeniu, że mogę robić coś, co naprawdę kocham, to

jest to tylko jedna strona medalu. Druga zaś jest taka, że dla kobiety parającej się tego rodzaju zajęciem jak moje nienaganna opinia jest cenniejsza od złota.

Lord Dunford już chciał zapewnić, że z jego strony nie ma się czego obawiać, ale dziewczyna nie dopuściła go do głosu.

- Jako mężczyzna nie jest pan w stanie wczuć się w moje położenie. Jednak może mi pan wierzyć, że jedno słowo za dużo mogłoby popsuć mi reputację i pozbawić środków do życia.

Uśmiechnęła się, jakby pragnęła złagodzić gorycz ostrych słów.

- Nie sądzę, że chciałby mi pan zapłacić za moją uprzejmość, zmuszając mnie do przeprowadzki z tej wygodnej kamienicy do jakiegoś nędznego domu.

- Oczywiście, że nie!

- To miło z pana strony. A teraz - powiedziała, wkładając z powrotem balsam do pudełka z lekarstwami - jako że mocne alkohole nie są wskazane przy urazach głowy, czy mogę zaproponować panu filiżankę herbaty?

Mimo że Rand zdecydowanie wolałby kieliszek brandy, przystał na herbatę.

- Z przyjemnością, o ile nie sprawi to pani kłopotu.

- Ależ skąd! - Dziewczyna wsunęła pod pachę apteczkę, wzięła ręcznik i miednicę i ponownie zeszła na dół kuchennymi schodami.

Wiedząc, że zaparzenie herbaty potrwa kilka minut, lord Dunford postanowił zajrzeć do sąsiedniego pomieszczenia. Chciał sprawdzić, czy odzyskał już równowagę, ale przede wszystkim

wyrzeć przez frontowe okno i zorientować się, czy jego oprawcy opuścili już okolicę.

Jeśli pracownia nie wyglądała tak, jak się spodziewał, to wygląd salonu był kompletnym zaskoczeniem. Pokój był mały i w zasadzie nieumeblowany, połowę jego powierzchni zajmowała wysoka na metr szklana gablota. Światło oddalonych świec starczało, by ją zauważyć, nie pozwalało jednak określić jej zawartości. Ta jednak nie bardzo interesowała Randa. Przede wszystkim chciał wyrzeć przez okno.

Przeszedł pomiędzy dwoma obitymi żakardową tkaniną fotelami, jedynymi poza gablotą meblami w tym pokoju, odsunął ciężkie kotary i wyrzwał na ulicę. Na zewnątrz panowała cisza. Obaj mężczyźni zniknęli, podobnie jak jedwabny cylinder, który Rand zgubił w trakcie szamotaniny.

Nie był to pierwszy znak, jaki otrzymał od Antoine'a de la Croix - handlarza niewolników, pirata i domniemanego plantatora indygowca. Ktoś zdążył go już ostrzec przed zemstą de la Croix, i Rand wziął to sobie do serca. Potomek znakomitego rodu francuskich emigrantów był wyjątkowo czuły na punkcie swej dumy, a w jego mniemaniu lord Dunford pozbawił go twarzy.

Gapiąc się w dół na pustą ulicę, Rand stwierdził, że przynajmniej tym razem jego zaprzysiężonemu wrogowi nie udało się. Sam nie wiedząc, czy odczuwa ulgę, czy raczej jest rozczarowany, zasunął kotary. Ruszył z powrotem do pracowni, lecz po drodze wpadł na oszkloną gablotę, w efekcie czego to, co na niej stało, spadło na ziemię.

Całe szczęście, że podłogę przykrywał dywan, bo gdy Rand schylił się po przedmiot, stwierdził, że jest to mała, delikatnie zdobiona, szklana podstawka pod wizytówki. Lord Dunford odstawił ją na miejsce wraz z zebranymi z dywanu biletami, po czym wziął jeden z nich i wrócił do pracowni. Tu przybliżył kartonik do światła i przeczytał wykaligrafowany napis:

***Panna Harriet J. Wilson***

***Specjalistka we wszystkich rodzajach eleganckiej biżuterii***

Nie wierząc własnym oczom, ponownie przeczytał obie linijki. Nie mylił się jednak. Wizytówka należała do najbardziej znanej w kraju kurtyzany, Harriet Wilson.

Dlaczego Harriet Wilson tu przyjechała? Dlaczego akurat do Marylebone, tego bastionu szacownych mieszczan? Czy to był dom jej krewnych? Czy taka kobieta w ogóle ma krewnych? Z pewnością posiada jakąś rodzinę, przecież kurtyzany nie przychodzą na świat, wyskakując z głowy Zeusa. Może przybyła tu incognito. Czy dlatego właśnie chciała pozostać anonimowa? Dla Randa jedno było jasne - los znowu splątał mu figła. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że został napadnięty przez dwóch zbirów, a potem uratowany przez tak szczególną osobę?

Nigdy przedtem nie zetknął się z Królową Półświatka. Odkąd powrócił do Anglii, słyszał, że wypoczywa gdzieś na prowincji. Jej osoba owiana była legendą. Była najsłynniejszą Cypryjką dziewiętnastego wieku.

Słyszał też, że jest kobietą o wyjątkowym uroku, a jako że znajdowała się pod opieką kilku inteligentnych i wpływowych dżentelmenów, wierzył w to, co o niej mówiono. Mimo to nie spodziewał się, że mogła to być osoba aż tak delikatna i używająca aż tak wyszukanego języka.

Wzbudziła jego szczerzy podziw, gdyż przychodząc mu z pomocą, wykazała się dużą odwagą. Sposób, w jaki zajęła się rannym, nie zważając na swój niekompletny strój, zyskał jego dodatkowe uznanie. Biorąc jednak pod uwagę jej tożsamość, stwierdził, że pewnie w ogóle nie pomyślała o ubraniu. W przeciwieństwie do niego, gdy wpatrywał się w rysujące się pod prostym bawełnianym przyodziewkiem kobiece kształty.

Ponownie zaczął czytać bilet wizytowy i zachichotał przy drugiej linijce:

*„Specjalistka we wszystkich rodzajach eleganckiej biżuterii”*. Ta kobieta ma poczucie humoru!

Wspominając ogromną ilość biżuterii, które kobieta tej samej profesji wyciągnęła od niego w ciągu ostatnich kilku miesięcy, Rand zaczął się zastanawiać, jak wiele błyskotek mogła posiadać kurtyzana o tak wielkim uroku i inteligencji, jak Harriet Wilson. W zasadzie nie miałby nic przeciwko dodaniu w geście wdzięczności jakiegoś drobiazgu do jej kolekcji. W rewanżu ona również mogłaby obdarzyć go czymś przed odejściem. W końcu kiedy mówiła, że musi sama na siebie zarabiać, dodała, że ma szczęście robić to, co naprawdę kocha.



Nie ma zatem powodu wątpić, że i ona czerpałaby z tego przyjemność.

Wizja spędzenia kilku godzin w ramionach słynnej kurtyzany zdecydowanie pozytywnie wpłynęła na samopoczucie lorda. Z wolna wracała mu energia i zaczął już rozważać kupno diamentowej spinki, którą przystroiłby piękne, brązowe włosy, kiedy ich właścicielka weszła do pokoju. Tym razem niosła drewnianą tacę, a na niej filiżanki, spodeczki i mały czajniczek, z którego wydobywał się przyjemny, pieprzowy aromat. Ku swemu rozbawieniu Rand spostrzegł, że włożyła na siebie za duży, sięgający kostek, kuchenny fartuch, który dokładnie zakrywał jej nocną koszulę i szal.

Wzrok lorda przesuwiał się powoli po kształtnej figurze, od stóp do czubka głowy i z powrotem. Kiedy dziewczyna lekko się zarumieniła, jakby nie była przyzwyczajona do tego typu spojrzeń, Rand głośno się roześmiał:

- Ten fartuch jest bardzo ładny, moja droga, ale włożyłaś go chyba trochę za późno. Jak to mówią, konie już osiodłane.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - bąknęła, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- No, no, kochanie, nie psuj tego, co zapowiada się na tak przyjemną miłosną schadzkę. Nie musimy się przecież kłócić, panno Wilson.

Harriet oniemiała. Skąd wie, jak ona się nazywa? Dopóki nie znał jej tożsamości, czuła się bezpiecznie. Zaoferowała mu schronienie w swym domu, gdyż sumienie nie pozwalało jej postąpić



inaczej. To przecież człowiek i nie mogła spokojnie patrzeć na to, jak go mordują.

Teraz jednak zapragnęła cofnąć czas do momentu, kiedy stała w oknie sypialni i obserwowała całe zajście. Mężczyzna, którego wprowadziła pod własny dach, mógł być szantażystą. Niewielkim wysiłkiem mógł ją zniszczyć - zrujnować jej dobre imię, a razem z nim dobrze prosperujący interes, jego obecność stanowiła zagrożenie zarówno dla egzystencji jej samej, jak i wszystkich zależnych od niej osób. Świadomość tego wywołała drżenie jej rąk. W obawie, że upuści tacę i tym samym pobudzi domowników, szybko podeszła do stołu.

- Skąd... skąd zna pan moje imię?

Uśmiechając się, jakby był to dobry żart, lord Dunford zaczął powoli obracać w placach jeden z jej biletów wizytowych.

Ledwie uwolniła ręce od tacy, Harriet wyrwała mu wizytówkę.

- Skąd to masz?!

- Czy to ważne, ślicznotko?

- Nie nazywaj mnie tak!

- Dlaczego nie? Przecież to prawda. Tak naprawdę jesteś bardzo słodka. Słodsza, niż się spodziewałem. - Nachylił się ku niej, a w jego szarych oczach pojawiły się uwodzicielskie błyski. - Pewnie nie jestem pierwszym mężczyzną, który ci mówi, że jesteś cudowną, wzbudzającą pożądanie kobietą?

Harriet z przerażeniem obserwowała, jak nieznajomy wyciąga rękę, końcami długich i kształtnych palców przesuwając po jej

policzkach, po czym ujmuje brodę tak, by móc jej patrzeć prosto w oczy. Pod wpływem jego miękko wypowiedzianych słów przeszedł ją dreszcz.

- Są zielone - stwierdził - ze złotymi i brązowymi plamkami. -

Właśnie się nad tym zastanawiałem.

- Naprawdę?

- Wyglądają jak najpiękniejsze bratki, aksamitnie miękkie i słodkie.

Harriet zabrakło tchu. Jeszcze żaden mężczyzna nie przemawiał do niej w tak cudowny sposób. Jak ćma nie jest zdolna ominąć płomienia, tak ona nie była w stanie wyzwolić się spod czaru ciepłego spojrzenia. Nieznajomy był bardzo wysoki i musiała zadzierać głowę, gdy spoglądała w jego surową i szorstką twarz. Całkowicie zahipnotyzowana jego dotykiem i lekko piżmowym zapachem, który drażnił jej nozdrza, wpatrywała się weń nieruchomo, gdy nachylił głowę i wargami dotknął jej ust.

Było to niewyobrażalnie delikatne muśnięcie i choć trwało zaledwie kilka sekund, Harriet poczuła rozlewający się po żyłach żar. Nie była w stanie ukryć tego, jak pocałunek na nią podziałał.

Obserwując reakcję dziewczyny, Rand uśmiechnął się nieco demonicznie, co sprawiło, że Harriet ponownie poczuła, iż kolana się pod nią uginają. Jej zdradzieckie ciało wyraźnie skłaniało się ku temu mężczyźnie, którego usta tak ją oczarowały, iż zapragnęła sprawdzić, czy drugi pocałunek nie okaże się jeszcze słodszy.

Wysiłkiem woli zdołała się powstrzymać, choć kilka minut upłynęło, zanim odzyskała władzę nad zmysłami i zdała sobie sprawę, że jako szanująca się kobieta powinna stanowczo zaprotestować. Powinna powiedzieć temu zuchwalcowi, nie owijając w bawełnę, że pogardza nim za tak podłe zachowanie i wykorzystywanie tego diabelskiego uśmiechu i pocałunków w niecnym celu.

W końcu jednak nie rzekła nic. Uczciwość nakazywała jej zastanowić się, kogo tak naprawdę nienawidziła w tym momencie - jego czy też siebie, za sposób, w jaki zareagowała na pocałunek. Ten delikatny, gorący pocałunek.

Nie będąc pewną, czy chce znać odpowiedź, przysięgła sobie w duchu, iż następnym razem, zanim uratuje jakiegoś mężczyznę z rąk opryszków, najpierw upewni się, że jest on stary, brzydki i nie posiada tak wiele osobistego uroku. Jak na kobietę szczyjącą się roztropnością i życiową mądrością zachowała się wyjątkowo głupio. Powinna była rozważyć wszystkie możliwe konsekwencje, zanim w środku nocy wybiegła ratować nieznanego w idealnie skrojonym płaszczu, którego metalicznie szare oczy zadawały się skrywać mroczną tajemnicę.

Całą postawą wyrażając swe oburzenie, uderzyła męską dłoń trzymającą jej brodę.

- Jak pan śmie mnie całować! Nie zachowuje się pan jak dżentelmen!

- To namiętność, panno Wilson. Nie sądziłem, że będzie to miało aż takie znaczenie dla sławnej Harriet Wilson. Czy raczej niesławnej.

Niesławnej? Harriet jęknęła, zrozumiałwszy, co miał na myśli. Rumieniec zakłopotania oblał jej twarz i szyję. On bierze ją za Hariette Wilson. Mogła się była tego domyślić, nie pierwszy raz mylono ją ze znaną kurtyzaną.

- Ależ ja nie jestem tą panną Wilson!

Przez kilka chwil lord Dunford przyglądał się jej w milczeniu, po czym ponownie sięgnął po wizytówkę.

- Tu - rzekł - tu jest wyraźnie napisane.

- „Harriet J. Wilson” - niemal wyskandowała. - Harriet przez jedno T i bez E na końcu. Tamta panna Wilson pisze swoje imię z francuska. Poza tym to ja mam prawo do tego nazwiska, a ona je właściwie ukradła.

Mężczyzna cofnął się kilka kroków, jakby chcąc zachować stosowną odległość.

- Jeżeli nie jesteś kurtyzaną, dlaczego dodałaś to zabawne stwierdzenie dotyczące biżuterii? - spytał, nie będąc naturalnie skorym przyznać się do błędu.

- Zabawne stwierdzenie? Nie widzę w nim nic zabawnego, po prostu zajmuję się projektowaniem i wyrobem biżuterii. W ten sposób zarabiam na życie. Jak inaczej miałabym reklamować moją profesję?

Mężczyzna przez dłuższy czas milczał. Patrzył to na nią, to na narzędzia zajmujące większą część dębowego stołu. W ciszy, która zdawała się trwać całą wieczność, Harriet zdawało się, że słyszy tryby pracujące w jego głowie.

W końcu nieznajomy skłonił się przed nią głęboko jak przed królową.

- Miała pani rację, mówiąc, że nie jestem dżentelmenem.

Właściwie nigdy nim nie byłem. Tym niemniej wolałbym myśleć, że to cios, który otrzymałem, pozbawił mnie jasności myślenia i sprawił, że okazałem taki brak manier wobec osoby, której dobre imię powinienem mieć na względzie.

Na moment przerwał i wziął głęboki oddech.

- To naganne zachowanie daje pani wszelkie podstawy, by wątpić w moją uczciwość, proszę mi jednak wierzyć, że jestem głęboko wdzięczny za wszystko, co pani dla mnie zrobiła.

Harriet tylko machnęła ręką, a on odwrócił się i podniósł ze stołu hebanową laskę. Kiedy znowu się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała nuta goryczy:

- Obawiam się, że moje przeprosiny przeciągają się dużo ponad przyjęte normy. Z tego powodu, a także dlatego, że nadużyłem już pani gościny, nie będę dłużej prosił o wybaczenie. Pragnę jednak - ciągnął - przysiąc na nieskalane imię kobiety, która miała nieszczęście być moją babką, że nie wspomnę żywej duszy ani o tym wieczorze, ani o pani osobie.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Harriet nie poszła za nim. Stała obok dębowego stołu tak długo, aż usłyszała dźwięk odsuwanej rygli, a potem odgłos końskich podków uderzających o bruk.

- Dokąd? - usłyszała pytanie woźnicy.

- Mayfair.

Przez dłuższy czas stała oparta o drzwi, słuchając stukotu kół oddalającej się dorożki. Dopiero kiedy zapanowała kompletna cisza, wyszeptała:

- Żegnaj, kimkolwiek jesteś.

A potem przycisnęła palce do ust, jakby w nadziei zatrzymania pocałunku nieznajomego. Ku jej rozczarowaniu zarówno pocałunek, jak i mężczyzna, który go złożył, zniknęli. Jakby to wszystko się nie wydarzyło i było tylko wytworem jej, jak zawsze uważała, mało romantycznej wyobraźni.

Trochę później, gdy nie mogąc spać, Harriet usiadła naprzeciw okna w sypialni, jej myśli znowu powędrowały ku wysokiemu, przystojnemu nieznajomemu o uwodzicielskich szarych oczach i diabelskim uśmiechu.

- Tato - wyszeptała, wzywając ojca, jak to miała w zwyczaju czynić co noc od dwóch lat, jakie upłynęły od jego przedwczesnej śmierci - ostrzegałeś mnie, bym trzymała się z dala od mężczyzn obdarzonych szatańskim urokiem. Ale niestety zapomniałeś powiedzieć mi, jak mam nakazać memu głupiemu sercu, by przestało szaleńczo bić, kiedy spotkam kogoś takiego.

Oparła rozpalone czoło o zimny parapet i spojrzała w górę ku lekko różowiejącemu niebu.

- I co więcej, tato, zapomniałeś mi powiedzieć, jak wymazać z pamięci wspomnienie tego mężczyzny i jego obezwładniającego pocałunku.

## Rozdział 2

### *Sierpień 1815...*

- To będzie dwa sześćdziesiąt, panienko - powiedział dorożkarz.

Harriet wręczyła mu pieniądze, a kiedy powóz odjechał w poszukiwaniu nowego klienta, pośpieszyła w kierunku domu, przed którym jakiś korpulentny jegomość w średnim wieku, odziany w czerwono-brązowy płaszcz i skórzany kapelusz, szarpał jej małego kuzyna, Milesa Gwynna.

- Proszę natychmiast puścić tego chłopca! - wykrzyknęła.

Zaskoczony okrzykiem mężczyzna puścił Milesa, który upadł na chodnik, lecz szybko się podniósł i wbiegł na schody.

- Proszę pani - zapytał jegomość - czy to pani jest matką tego urwisa?

- Jego matką?!

Jeszcze tylko tego dzisiaj brakowało, by ktoś brał ją za matkę chłopaka, który niedawno obchodził dziesiąte urodziny.

- Jestem jego kuzynką, proszę pana, i byłabym wdzięczna, gdyby bardziej zważał pan na swoje słowa.

Harriet nie miała w tej chwili ochoty na dyskusje, szczególnie że cały ranek minął jej na spieraniu się z chyba najbardziej upartym na świecie dostawcą kamieni szlachetnych. Poirytowana, że wciąż od nowa musi przez to przechodzić, miała nadzieję, że w domu znajdzie ukojenie. Marzyła o filiżance herbaty i lekkim posiłku. I o tym, by

zamknąć się w swojej pracowni na długie godziny, dni, a może nawet tygodnie, aż do momentu kiedy odzyska wewnętrzny spokój.

Tymczasem stała naprzeciw rozgniewanego sąsiada.

- Miles - zwróciła się do kuzyna - wejdź do środka i poczekaj tam na mnie.

Miles próbował wykonać jej polecenie, ale tęgi jegomość skutecznie mu to uniemożliwił, łapiąc go za poły nankinowego płaszcza.

- Nigdzie nie pójdziesz! - krzyknął, ściągając chłopaka ze schodów. - Nie wywiniesz się tak łatwo, ty mały rozrabiako. Zaraz zawołam policjanta.

Jakikolwiek wybryk Miles miał na sumieniu tym razem - a nigdy nie było wiadomo, co strzeli mu do głowy - na pewno nie było to nic tak poważnego, by od razu trzeba było wzywać stróżę prawa.

- Ależ szanowny panie - zaczęła Harriet, z trudem siląc się na spokój - czy nie pamięta pan już czasów, kiedy sam był małym chłopcem? Na pewno i panu zdarzało się psocić. A na dodatek ośmielę się zauważyć, nie było to chyba tak dawno temu. -

Uśmiechnęła się, jak najuprzejmiej umiała, mając nadzieję, że to naciągane pochlebstwo załatwi sprawę. Niestety tak się nie stało.

- Ten chłopiec, szanowna pani, musi się nauczyć, że nie wolno mu narażać życia szanowanych kupców. I ja zamierzam być świadkiem takiej lekcji.



Harriet zastanawiała się, co mogłaby zrobić, aby udobruchać mężczyznę, gdy drzwi wejściowe otworzyły się i w promieniach popołudniowego słońca ukazała się siostra Milesa.

- Kuzynko Harriet - powiedziała Anna, słodko się uśmiechając - czy coś jest nie w porządku? Czy mój mały braciszek znowu coś przeskrobał?

Anna Gwynn, smukła siedemnastoletnia blondynka o jasnoniebieskich oczach syjamskiego kota, miała obezwładniający wpływ na wszystkich mężczyzn, niezależnie od ich wieku. Tęgi jegomość z sąsiedztwa nie był wyjątkiem.

- Moja droga panno - powiedział, zdejmując skórzany kapelusz i kłaniając się tak nisko, że aż chrupnęło mu w krzyżu - ja jedynie wyjaśniałem tej, ehhhh, drugiej damie, że chłopiec powinien zostać ukarany. Oczywiście, niezbyt surowo. Z dziećmi nie należy się obchodzić gwałtownie.

Uśmiech, jaki Anna posłała temu głupcowi, był tak słodki, że Harriet od razu przyszły na myśl maczane w syropie biszkopty.

- Ależ w zupełności się z panem zgadzam - odparła siostra winowajcy. - Czy mężczyzna o dobrym sercu mógłby skrzywdzić małego chłopca?

Stary zboreźnik, który już od kilku chwil natarczywie przypatrywał się ponętej figurze dziewczyny, wreszcie opuścił wzrok.

- Pozwolę sobie serdecznie podziękować panu za okazane zrozumienie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panienko.

Tęgi jegomość rozpromienił się, Anna zaś niezbyt delikatnym ruchem wepchnęła Milesa do środka, nakazując mu iść do jego pokoju.

- Kiedy ojciec wróci do domu, nie omieszkam poinformować go o twoich dzisiejszych wyczynach - dodała. - Myślę, że zdajesz sobie sprawę, iż oznacza to porządne lanie.

- O, nie! - jęknął jej brat. Stojąc pośrodku przedsionka, przecierał oczy brudnymi rękami, jakby chciał pozbyć się raptownie płynących łez. - Proszę cię, tylko nie lanie.

Ponieważ ojciec Milesa przeszło rok temu odszedł do królestwa niebieskiego, należało wątpić, że kara zostanie wymierzona.

Obawiając się, że nadmierny zapał chłopca do odgrywania dramatu może wszystko zepsuć, Harriet stanęła na schodach obok swej pięknej kuzynki. Biorąc przykład z energicznej Anny, wepchnęła ją do przedsionka, po czym, skłoniwszy się głęboko zdziwionemu jegomościowi, sama wślizgnęła się do domu i zatrzasnęła drzwi.

Przez następną minutę cała trójka stała w wyłożonym zielonoszarymi płytkami pomieszczeniu, czekając, aż mężczyzna wreszcie sobie pójdzie. Kiedy minęła kolejna minuta i nie rozległo się żadne niecierpliwe pukanie do drzwi, Miles na czworakach przedostał się do pokoju stołowego, z którego okno wychodziło na ulicę, i ostrożnie wyjrzał.

- No! - odezwał się z ulgą. - Nie ma go.

- Na pewno nie dzięki tobie - odparła jego siostra, a wszelkie ślady uśmiechu zniknęły z jej twarzy. - Przysięgam, Miles, że gdyby twój świętej pamięci ojciec teraz tu się pojawił, osobiście padłabym na kolana i błagała go, aby dał ci nauczki.

- Ależ Anno, ja chciałem się tylko trochę zabawić. Przywiązałem żyłkę do tej znalezionej sakiewki i ciągnąłem ją wolno przed przechodniami - ale tylko przed mężczyznami, przed damami nie, zapewniam cię, kuzynko - oznajmił sprawca zamieszania, odwracając się do Harriet.

- I dlatego mam ci wybaczyć? - spytała Harriet, niewzruszona jego szacunkiem dla żeńskiej części przechodniów. - Przysięgam, że jesteś najbardziej irytującym chłopcem jakiego znam. Co by było, gdyby ten odrażający typ nie odstąpił od swoich gróźb i rzeczywiście zawołał policjanta?

- Stary, nadęty dziad - stwierdził Miles, rad, że zagrożenie już minęło. - Szkoda, że nie widziałaś, jak ciężko szło mu schylenie się po sakiewkę. Zrywałem boki ze śmiechu. Co za niezdara! Jeśli spróbuje cię zaczepiać albo zacznie kręcić się po okolicy, licząc, jak Charles Peckham, na „przypadkowe” spotkanie, to mam nadzieję, że wyślesz go do stu diabłów.

- A ja mam nadzieję - odparła Anna, czerwieniąc się z zakłopotania - że to był twój ostatni wybryk, jakiego byliśmy świadkami.

- I że ostatni raz słuchałyśmy twoich pokrętnych wymówek - dodała Harriet.

Skarcony chłopiec spuścił wzrok i zagapił się na swoje zdarte buty.

- Zapomniałem. Przepraszam, kuzynko.

- Przeprosiny przyjęte - odparła. - A teraz chcę cię prosić, żebyś poszedł na górę do swojego pokoju i napisał, wystarczająco wyraźnie, bym mogła odczytać każde słowo, krótką, zwięzłą historyjkę na temat... niech pomyślę... panowania Wilhelma Orańskiego i królowej Marii.

W jednej chwili mina na piegowatej twarzy chłopca zmieniła się ze skruszonej w nieszczęśliwą, co przywiodło Harriet na myśl reakcję szczeniaka, któremu duży pies na skutek chwili nieuwagi ukradł kość.

- Proszę, kuzynko, tylko nie tych dwoje. Oni są tacy nudni. Czy nie mógłbym zamiast tego dostać lania?

Stwierdzenie to wyraźnie zirytowało Harriet, więc Miles nie składał już dalszych propozycji.

- A co powiesz na wypracowanie o Ryszardzie III? - spytała Anna. - Mam nadzieję, że ten temat wyda ci się bardziej interesujący. Mówię tak, bo właśnie dziś rano czytałam o bitwie pod Bosworth i... pomyślałam, że... - Ryszard III to właśnie to. A teraz idź już, ty nieznośny chłopaku, zanim zmienię zdanie i wyślę Lucy po jakąś solidną różgę.

Harriet poczekała, aż Miles wspiął się po schodach i znalazł się poza zasięgiem jej głosu.

- Może dowiem się, o co chodzi z tym Charlesem Peckhamem, krążącym po okolicy w nadziei przypadkowego spotkania? - zwróciła się do kuzynki.

Anna zrobiła się taka blada, jak jej muślinowa suknia.

- Ależ kuzynko, daję słowo honoru, że w żaden sposób go do tego nie zachęcałam.

Harriet nie wątpiła w jej prawdomówność. Dziewczyna była tak piękna i pociągająca, że nie musiała do niczego zachęcać młodych mężczyzn. Niestety, nie miała żadnego starszego kuzyna, który by się o nią troszczył. Stryj Frederick, młodszy brat jej ojca, powinien wywiązać się z tego obowiązku. Był to jednak wyjątkowy egoista, skupiony wyłącznie na sobie. Nawet gdyby ktoś potrzebował pady przy wyborze koloru nowej kamizelki, Frederick Gwynn był ostatnią osobą, na którą mógłby liczyć.

- Pan Charles Peckham jest urzędnikiem w kancelarii adwokackiej - ciągnęła Harriet - i mimo że jest zacnym człowiekiem, nie będzie miał nic wspólnego z córką sir Phillipa Gwynna ani z Livesy Hall. Choć Livesy Hall należy już do przeszłości, a twój ojciec od roku nie żyje, jestem pewna, że gdyby tu był, zgodziłby się w pełni z tym, co mówię, i dobrze o tym wiesz.

- Owszem, wiem - potwierdziła Anna. - Ale w końcu pan Peckham nie robi nic poza tym, że uprzejmie kłania mi się, kiedy przechodzę obok. Tak długo, jak nie zbliża się do mnie czy nie próbuje zacząć rozmowy, nie popełnia żadnego nietaktu. Przecież nie mogę zabronić mu chodzić po ulicy.

Harriet musiała przyznać jej rację, ale to jej nie uspokoiło. Nie można winić Anny za urodę ani tym bardziej za to, że jest nękana przez licznych adoratorów, którzy próbują różnych sposobów, by zwrócić na siebie uwagę. To inteligentna dziewczyna i zdaje sobie sprawę, że nie może dopuścić, aby jej imię łączono z nieodpowiednimi konkurentami.

Wszystkie jej rodzinne dobra zostały sprzedane na pokrycie długów ojca, pozostał jej tylko skromny posag odłożony przez dziadka. Mogła liczyć zatem, że jedynie uroda i nienaganna reputacja pomogą jej znaleźć odpowiedniego męża.

Nie pierwszy raz Harriet zastanawiała się, co ma począć z dwójką podopiecznych. Anna była na swoje nieszczęście zbyt urodziwa, a Milesa dosłownie roznosiło.

Nie chodziło o to, że to zły chłopiec. Jego wadą był nadmiar energii oraz sposób, w jaki dawał jej ujście. Jako dziedzic rodowych tytułów, Miles powinien uczęszczać do jakiejś renomowanej szkoły, gdzie jego umysł rozwijałby się pod okiem wykwalifikowanych nauczycieli, a ciało hartowało w codziennych zajęciach sportowych.

Tymczasem został uwięziony w małym domu, a jego jedyne towarzystwo stanowiły kuzynka, siostra i stara gospodyni oraz prosta posługaczka, której obecność właściwie nie miała żadnego znaczenia. Niestety w tym momencie nie stać ich było, by posłać chłopca choćby do zwykłej szkoły. Jeśli jednak wyroby jubilerskie Harriet sprzedawałyby się tak dobrze jak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy,

udałoby się jej zgromadzić fundusze na opłacenie edukacji kuzyna w przyszłym roku.

- Ach, byłabym zapomniała - odezwała się Anna, przerywając bezproduktywne rozważania kuzynki - była tu pani Chadwick i chciała odebrać broszkę.

Obie młode kobiety weszły do pokoju służącego do przyjmowania klientów, którzy życzyli sobie, by zaprojektowano dla nich unikatową biżuterię. Anna dokończyła odkurzanie, przerwane przez krzykliwe groźby korpulentnego jegomościa, a Harriet usiadła w stojącym przed frontowym oknem, obitym żakardem fotelu.

Wciąż miała na rękach brunatne płócienne rękawiczki, doskonale pasujące kolorem do perkozich piór, które zdobiły jej zielony, słomkowy kapelusz. Powoli zaczęła zdejmować rękawiczki.

- Mówiłam pani Chadwick w zeszłym tygodniu, że broszka będzie dopiero jutro. Zdążyłam ją skończyć wczoraj w nocy, ale...

- Wiem i dałam jej tę broszkę.

Harriet zastygła ze ściągniętą w połowie rękawiczką.

- Co zrobiłaś?!

- Ja... ja dałam pani Chadwick tę broszkę. Wyznanie to spadło na Harriet jak grom z jasnego nieba.

- Tę diamentowo-szmaragdową? Tę w kształcie statku targanego przez morskie fale?

Anna przytaknęła.

- Ona miała kwit. Przeczytałam go uważnie. Tam było napisane twoim charakterem pisma, że tysiąc dwieście funtów zostało zapłacone z góry przez lorda Dunford.

Harriet wzięła głęboki wdech, po czym wolno wypuściła powietrze, łudząc się, że pomoże jej to odzyskać równowagę. Niestety jej wysiłki spełzły na niczym.

- Jeśli masz dla mnie jakieś względy, Anno, powiedz mi, czy wzięłaś tę broszkę z mojego sejfu?

Piękne usta dziewczyny lekko zadrżały.

- Dobrze wiesz, kuzynko, że darzę cię najwyższym szacunkiem. Byłabym najniewdzięczniejszą kreaturą na świecie, gdyby było inaczej. Szczególnie po tym wszystkim, co zrobiłaś dla mnie i dla Milesa. Ale nigdy nie ośmieliłabym się dotknąć twego sejfu, nawet gdybym znała szyfr. A przecież nie znam!

Słuchając żarliwych zapewnień Anny, Harriet przypatrywała się szklanej gablocie, a zwłaszcza wyłożonej czarnym atlasem półce, na której leżał pierścionek, jedna bransoleta oraz para kolczyków. Było tam też puste miejsce, w którym jeszcze dziś rano znajdowała się brosza.

Jakimś sposobem Harriet udało się stłumić narastający w gardle jęk. Aktualna kochanka lorda Dunford przyszła po swoją broszkę i Anna dała jej właśnie tę z gabloty!

- Pani Chadwick oznajmiła, że musi natychmiast wyjechać z miasta - kontynuowała Anna drżącym głosem. -Chciała zabrać broszkę ze sobą. Minęła godzina, a ty nie wracałaś, a ona zaczęła



chodzić w tę i we w tę i coraz bardziej się niecierpliwić. W pewnym momencie zaczęła się odgrażać w bardzo niewyszukany sposób, że powie lordowi Dunford, by już nigdy niczego tutaj nie zamawiał.

Harriet milczała, Anna zaś mówiła dalej, jękając się coraz bardziej.

- Wiem... wiem, jakim dobrym klientem był jego lordowska mość przez ostatnich kilka miesięcy, i wiem, że nie chciałabyś go niczym obrazić. Więc... więc włożyłam broszkę do tego małego, obitego skórą pudełka i dałam tej kobiecie.

- Łzy napłynęły jej do oczu. - Widzę, że zrobiłam coś nie tak, kuzynko, więc proszę, powiedz mi, o co chodzi. Przecież ja tylko chciałam pomóc.

To właśnie było w tym wszystkim najgorsze. Jak Harriet mogła na nią nakrzyczeć, mimo że miała na to ochotę, skoro zdawała sobie sprawę z dobrych intencji dziewczyny.

Anna miała tylko siedemnaście lat, ale wiedziała, jak bardzo fakt, że ona i jej brat zamieszkali w tym domu, był obciążający dla finansów kuzynki. Renoma Harriet jako wytwórczym pięknej i unikatowej biżuterii wciąż rosła, a jej klientela się powiększała. Było jednak prawdą i to, że nabywcy niechętnie płacili kobiecie tyle samo, co męskiemu przedstawicielowi tego zawodu.

Podobnie handlarze szlachetnych kamieni usiłowali wciskać klejnoty o gorszej jakości i szlifie, rezerwując najlepszy towar dla męskich odbiorców. To właśnie z tego powodu Harriet spędziła tego

ranka trzy godziny poza domem - tyle czasu spierała się ze swoim dostawcą.

Była to ciągła, żmudna walka. Jeśli kobieta miała ochotę prowadzić interes, musiała być dwukrotnie bardziej utalentowana, czujna i rozważna od mężczyzn. Cały czas musiała dbać zarówno o reputację własną, jak i zakładu oraz uważać, by nie zachować się w sposób, który ktoś mógłby odebrać za niegodny kobiety.

O tak, nienaganna opinia stanowiła nieodzowny wymóg. Szczególnie w przypadku kobiety noszącej to samo nazwisko, co najbardziej znana w mieście kurtyzana. A tutaj taka wpadka!

- Proszę - rzekła Anna łamiącym się głosem - powiedz mi, co złego zrobiłam. Wiesz, że prędzej dałabym sobie rękę obciąć, niż przysporzyć ci zmartwień.

Mając nadzieję, że dziewczyna nie mówiła tego na serio, Harriet wstała z fotela i przeszła do mieszczącej się tuż obok pracowni. Zdjąwszy ze ściany bardzo piękną akwarelę, którą miesiąc temu Anna podarowała jej na dwudzieste szóste urodziny, otworzyła sejf i wyjęła mały woreczek z czarnego aksamitu. Przyciągnęła dławiącą się łzami kuzynkę do siebie, poluzowała wiązanie i wysypała zawartość woreczka na otwartą dłoń.

- Nie rozumiem - powiedziała cicho Anna, patrząc na diamenty i szmaragdy ułożone w kształt targanego przez fale statku. - Broszka, którą dałam pani Chadwick...

- Była kopią - wyjaśniła Harriet. - Projekt tak się udał, że zatrzymałam go, by pokazywać przyszłym klientom.

Tym razem Anna rozplakała się na dobre, łzy popłynęły ciurkiem po jej gładkich policzkach.

- Ten mały stateczek był taki śliczny, tak znakomicie wykonany, wydawało mi się, że kamienie są prawdziwe. Tak mi przykro. Co... co mam zrobić, by naprawić swój błąd?

Anna dobrze wiedziała, że choć Harriet jest niezwykle do niej przywiązana, nie ma teraz czasu na jej pocieszanie. Obecnie najważniejsze było odzyskanie kopii broszki, zanim kochanka Dunforda odkryje pomyłkę i uzyska nakaz aresztowania złotniczki za oszustwo. Kopia była warta co najwyżej pięćdziesiąt funtów, wielokrotnie mniej od tysiąca dwustu już zainkasowanych. Zainkasowanych i wydanych.

- Idź do kuchni - poleciła Harriet - i powiedz Bercie, niech się przygotuje do wyjścia. Będę potrzebowała jej asysty podczas wizyty w domu pani Chadwick. Jeśli się pośpieszę, może zdążę wytłumaczyć tej kobiecie, że to była zwykła pomyłka i nikt nie miał zamiaru jej oszukać.

- Proszę - błagała Anna, z trudem powstrzymując łzy - pozwól mi iść z tobą. W końcu to ja dałam jej kopię zamiast oryginału.

- Nie. Pójdę z Berthą. Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś zobaczył, jak wchodzimy do domu tej kobiety.

Wypowiedziawszy tę raczej pompatyczną uwagę, Harriet zaczerwieniła się. Panna Chadwick mogła sobie pozwalać na przyjmowanie ozdoby wartej tysiąc dwieście funtów od znanego hulaki i rozpustnika, ale Harriet nie miała prawa nikogo publicznie

piętnować. Nie w tej chwili. W końcu doskonale знаła reputację mężczyzny, od którego przez ostatnie pół roku otrzymywała pieniądze, i nigdy nie przeszło jej przez myśl, by odrzucić zlecenie.

Nie był to pierwszy czek, jaki lord Dunford podpisał, kupując u niej biżuterię. Co więcej, nie było to pierwsze zlecenie jego lordowskiej mości w ciągu ostatnich miesięcy. Podobnie jak panna Chadwick nie była jedyną damą korzystającą z hojności tego dżentelmena. To jasne, że Harriet byłaby co najmniej szczęśliwa, mogąc zrealizować kolejne takie zlecenie, zarówno ze względu na pieniądze, jak i na możliwość potwierdzenia swego talentu.

Nigdy osobiście nie spotkała nowego lorda Dunford, mimo że wykonała dla niego już kilka kosztownych sztuk biżuterii. Zawsze były one zamawiane listownie i odbierane przez posłańca. Dla Harriet lord Dunford pozostawał jedynie podpisem na bankowym czeku.

Była szczerze dumna z przedmiotów, które wykonała dla jego lordowskiej mości, między innymi ze złotej spinki do krawata z czarną perłą, ślicznej emaliowanej tabakiery i złotego breloka w kształcie siedzącego na gałęzi wędrownego sokoła. Brelok ten był wyjątkowo ładny, na oczy ptaka Harriet wybrała błyszczące bursztyny, a do wykonania piersi użyła odrobiny miedzi, dzięki czemu uzyskała doskonałą imitację jej naturalnego, rdzawego koloru.

Nigdy nie słyszała, czy lordowi Dunford podobały się jej wyroby. Nie żeby tego oczekiwała. Ale z drugiej strony nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby przysłał krótki liścik wyrażający uznanie dla jej pracy. W istocie już kilka razy ukradkiem przyglądała się

męskim krawatom, mając nadzieję wypatrzeć gdzieś czarną perłę, a tym samym swego zleceniodawcę.

Nie żeby chciała poznać lorda Dunford. Pragnęła jedynie zestawić imię z twarzą. Nawet do niej dotarła jego opinia rozpustnika i hazardzisty. Każde kolejne zlecenie utwierdzało ją w przekonaniu, że głównym celem życia tego mężczyzny było wykraczanie poza przyjęte normy, przy czym przesada zdawała się oficjalnym mottem nowego wieku.

Zgodnie z tym, co Harriet zapamiętała, wynajęta przez pannę Chadwick kamienica znajdowała się nie dalej niż dwie przecznice od jej domu. Było to na tyle blisko, że obie z Berthą mogły przejść całą drogę na piechotę. Kiedy jednak dotarły na miejsce, jakaś młoda służąca w czepku otworzyła im drzwi i oznajmiła, że jej pani wyjechała ponad godzinę temu.

- Dokąd się udała? - spytała Bertha

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe jak spodki.

- Ależ proszę pani, panna Chadwick nic mi nie mówi. Naprawdę. Kazala mi tylko zapakować swoje najnowsze suknie i kapelusze. Wypełniły dwa duże kufry i jeszcze kilka mniejszych.

- Mniejsza o jej stroje - odparła Bertha. - Czy wiesz chociaż, kiedy wróci?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie, proszę pani. Ale słyszałam słowa jakiegoś dżentelmena, o ile w ogóle można tak nazywać tych Francuzików. I to by znaczyło, że pewnie wrócą dopiero po św. Michale.

Po św. Michale! To dopiero dwudziestego dziewiątego września. Prawie sześć tygodni. Nie to nie mogła być prawda. To się nie mogło przytrafić Harriet Wilson. Ona była osobą logiczną i racjonalną, a nie bezmyślną trzpiotką pozbawioną rozumu. Z łatwością ignorowała teologiczne potępienie dumy, zawsze szczyła się zdrowym rozsądkiem i tym, że wszystko starannie planuje, nie pozwalając sobie na żadne odstępstwa od tej reguły. Czy to miała być kara za brak pokory wobec nauk księdza ostrzegającego, że pycha poprzedza upadek?

- Po świętym Michale - powtórzyła, kiedy służąca zamknęła już drzwi, a Bertha znalazła się obok niej. - Do tej pory mogę już dawno zostać osadzona w Tower.

- Och, nie wolno tak mówić. - Twarz zwykle uśmiechniętej gospodyni zdradzała jednak smutek. - Na pewno można coś na to poradzić.

Przez chwilę Harriet nie była w stanie zebrać myśli. W ciągu dwóch lat, które upłynęły od śmierci ojca, musiała stawić czoła wielu przeciwnościom losu i podjąć wiele trudnych decyzji, ale nigdy stanęła wobec tak przerażającej perspektywy, jak oskarżenie o fałszerstwo. Nawet jeśli zdołałaby wszystko wytłumaczyć, cała sprawa i tak by jej zaszkodziła. Jej reputacja zostałaby zrujnowana. Zawsze przecież znajdą się ludzie, którzy będą twierdzić, że nie ma dymu bez ognia.

Kto by ufał wytwórczym biżuterii z nadszarpniętą opinią?

Prawdziwa broszka paliła ją w kieszeni. Harriet wiedziała, że jest tylko jedno wyjście, które może uchronić ją przed całkowitą katastrofą.

- Chodź - powiedziała do gospodyni - potrzebujemy dorożki.

- Dorożki? Ależ po co, panienko?

- Jedziemy do Mayfair. Do domu lorda Dunford.

- Panienko Harriet, nie możemy jechać do domu tego mężczyzny!

- Nie mam wyboru. Im dłużej ten klejnot pozostaje w moim posiadaniu, tym bardziej oczywista jest moja wina. Poza tym to lord Dunford zapłacił za broszkę. Prawdziwą broszkę.

- Ale myślę, że mógł sobie na to pozwolić. Z tego, co słyszałam, nie dalej jak wczoraj wieczorem jego lordowska mość wygrał małą fortunę od lorda Beasley.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Mógł wygrać tuzin takich fortun, a i tak jest jedyną osobą poza panną Chadwick, która ma prawo do tego klejnotu.

- Niech mnie piorun strzeli! To człowiek pozbawiony wszelkich zasad. Jest znany w całym Lunnon jako pan „Nie Zważam na Nic”. Nie ma respektu dla nikogo ani niczego.

- Nawet gdyby był samym diabłem, i tak muszę do niego jechać.

- Ależ panienko Harriet, z pewnością jest jakieś inne...

- Muszę oddać broszkę do rąk lorda Dunford. Jeśli tego nie zrobię, wystawię na szwank moją reputację, na którą tak ciężko pracowałam. A teraz proszę cię, Bertho, nie rozmawiajmy już o tym.



Ucinając w ten sposób dyskusję, Harriet machnęła na przejeżdżającą dorożkę. Kiedy wsiadały do powozu, ścisnęła kciuki na szczęście, i chociaż ten dziecinny gest jeszcze nigdy nie okazał się skuteczny, miała nadzieję, że tym razem będzie inaczej. W końcu potrzebowała tylko odrobiny szczęścia. Tylko tyle, by mogła przekazać broszkę jego lordowskiej mości, a potem wrócić do domu.

Ruch na ulicach był duży jak zwykle. Perspektywa spotkania z lordem Dunford przyprawiała Harriet o dreszcze. Nawoływania ulicznych sprzedawców, hałas furmanek i powozów oraz stukot końskich kopyt tylko potęgowały jej napięcie. Gdy woźnica manewrował dorożką, usiłując wyminąć wolniejsze powozy i dołączyć do szybko poruszających się pojazdów kupców podróżujących do i ze śródmieścia oraz dżentelmenów odbywających popołudniową przejażdżkę, młodsza z jego pasażerek układała w myślach słowa, które zamierzała powiedzieć jego lordowskiej mości.

Rzeczywista odległość między Marylebone i Mayfair nie była duża. Jednak w wymiarze społecznym dzieliła je prawdziwa przepaść. Domy w Mayfair były, podobnie jak te w Marylebone, zbudowane z cegły lub kamienia i posiadały trzy - lub czterostopniowe podesty prowadzące do kuchennego wejścia. Na tym jednak wszelkie podobieństwa się kończyły.

Im dalej dorożka zapuszczała się w Oxford Street i posuwała w stronę placu Grosvenor, rezydencje stawały się coraz większe, bogatsze, bardziej zadbane i staranniej wykończone. Wokół domostw



rozciągały się piękne parki otoczone chroniącymi przed intruzami metalowymi płotami.

W końcu woźnica zatrzymał swą starą szkapę obok budynku, który ponad dwukrotnie przerastał dom Harriet.

- Proszę tu poczekać - powiedziała dziewczyna, biorąc głęboki oddech.

- Ty też zaczekasz - oznajmiła Bertha tonem nieznoszącym sprzeciwu. - I nie pokazuj się. Twoja świętej pamięci matka nie darowałaby mi, gdybym pozwoliła ci dobijać się do drzwi jakiegoś niegodziwca.

Nie dopuszczając Harriet do głosu, gospodyni wysiadła z powozu i podeszła do ciężkich mahoniowych drzwi. Po chwili ukazał się w nich lokaj w liberii, który przedstawił się wyniosłym tonem jako majordomus. Bertha również przybrała dumny wyraz twarzy i nakazała młodemu człowiekowi przekazać lordowi Dunford, że jej pani ma coś dla niego.

- Poproś swego pana, aby był tak dobry i zechciał wyjść na chwilę tutaj do powozu - rzekła.

Brwi służącego uniosły się, a jego usta otwarły ze zdziwienia. Harriet nie wiedziała, czy ta nagła zmiana w jego

wyrazie twarzy wynikała z faktu, że jakaś nieznana kobieta z powozu wzywała jego pana, czy też dlatego, że miał przekazać tak niecodzienną prośbę.

- Niestety, nie mogę tego zrobić - odparł. Usłyszawszy to, Bertha najeżyła się.

- A dlaczegoż to, jeśli można wiedzieć?

- Z tej prostej przyczyny, że jego lordowskiej mości nie ma w domu - wyjaśnił lokaj, gwałtownie się prostując.

Głęboko zawiedziona takim obrotem sprawy Harriet wychyliła się przez okno powozu i gestem przywołała lokaja. A ponieważ trzymała w dłoni szylinga na zachętę, służący czym prędzej podszedł do dorożki, zostawiając Berthę przy drzwiach.

- Bądź tak dobry i przekaż lordowi Dunford mój bilet wizytowy - rzekła Harriet. - I poproś, by zechciał jak najszybciej się ze mną skontaktować. Ta sprawa jest wyjątkowo pilna i nie może czekać.

Lokaj wziął wizytówkę i szylinga i ukłonił się z szacunkiem.

- Z przyjemnością przekażę bilet mojemu panu, panienko, natychmiast po jego powrocie. Niestety nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi. Pan wyjechał do Leicestershire i będzie najwcześniej za dwa tygodnie.

- Leicestershire - w głosie Harriet brzmiała desperacja. Lokaj pospiesznie poinformował ją, że jego lordowska mość pojechał do domu myśliwskiego niedaleko Kipworth w sprawach rodzinnych.

- Coś w związku z jego bratem, panem Burtonem Dunford.

Harriet zdziwiła się, że pan „Nie Zważam na Nic” żywi jakieś rodzinne uczucia, ale zachowała tę opinię dla siebie. Podziękowała lokajowi, dodając jeszcze jednego szylinga, i poczekała, aż Bertha wsiądzie do powozu.

Przekonana, że los Uwziął się na nią, Harriet zaczęła obmyślać nowy plan działania. Miała tylko jedno wyjście i dobrze o tym wiedziała. Problem tylko, czy starczy jej odwagi. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jeśli będzie siedzieć w domu za zamkniętymi okiennicami, czekając, kto pierwszy zapuka do jej drzwi - wściekły lord Dunford czy policjant z nakazem aresztowania - to prędzej czy później postrada zmysły.

Kiedy dorożka zbliżała się już do Marylebone, postanowiła wyjawić Bercie swój plan.

- Tak pomyślałam, że chyba dobrze byłoby zabrać Annę i Milesa na wakacje.

- Na wakacje? Tak, panienko, teraz to dobry pomysł. Harriet odetchnęła z ulgą.

- No właśnie. Z jednej strony Miles potrzebuje trochę przestrzeni, żeby się wybiegać i pozbyć rozsadzającej energii, która sprowadza go na manowce. Z drugiej strony chciałabym usunąć Annę z widoku tego natrętnego Charlesa Peckhama.

- Jeśli chcesz posłuchać rady starej kobiety, panienko Harriet, tobie też by się przydał wypoczynek. Nie wyjeżdżałaś nigdzie, odkąd twoja świętej pamięci matka zachorowała, a powinnaś trochę o siebie zadbać. Może odzyskałabyś dawne kolory na policzkach...

- Czy wyglądam aż tak źle, Bertho?

- Niestety tak - odparła gospodyni. - I jesteś zdecydowanie za szczupła. Przez ostatnie pół roku schudłaś chyba o połowę. To dlatego, że tak ciężko pracujesz. I nie myśl, że nie wiem, czemu tak

się dzieje. Widzę przecież, jak trudno popłacić rachunki, odkąd panią Anna i panicz Miles znaleźli się pod twoją opieką. A ich wuj nie raczy dać nawet złamanego szylinga na ich utrzymanie.

Harriet nie pierwszy raz już to słyszała i w zasadzie puszczała mimo uszu słowa gospodyni, kiedy ta zaczynała się rozwódzić nad wadami Fredericka Gwynna, w szczególności nad jego zamiłowaniem do strojów i kompletnym brakiem odpowiedzialności za wychowanków.

- Podrzuca ci dzieci jak gdyby nigdy nic, a potem znika bez śladu. Czy myśli, że one żyją powietrzem? Jeśli tak, to znaczy, że chyba nigdy nie widział, jakie ilości jedzenia jest w stanie pochłonąć Miles.

- Ależ Bertho! Anna i Miles są dziećmi siostry mojej matki i jedynymi kuzynami, jakich mam. Czy miałam się odwrócić od nich plecami?

- Tego nie powiedziałam, panienko, ale nie jestem ślepa i wiem, że pieniądze, które zostawił twój drogi ojciec, nie wystarczą, by utrzymać całą naszą piątkę.

- To jest właśnie przyczyna, dla której nie mogę pozwolić na zrujnowanie mojej zawodowej opinii.

Bertha zamilkła na chwilę. A potem, tak jakby wszystko już zostało ustalone, zapytała:

- Dokąd zatem się panią wybierze? Bath i Tunbridge Wells byłyby najodpowiedniejsze, a może nawet Brighton, ale to raczej drogie miejsca.

Oczywiście koszty stanowiły główny problem, ale niektórych wydatków nie można uniknąć. Trzeba będzie po prostu oszczędzać na wszystkim, na czym się da.

- Pojedziemy do Bosworth - oznajmiła Harriet. - Miles uczył się niedawno o Wojnie Dwóch Róż i jestem przekonana, że będzie zachwycony, mogąc zobaczyć to wielkie pole bitwy.

- Ach, oczywiście, chłopiec będzie wniebowzięty, to pewne.

- Tak też myślałam.

- Niezbyt dobrze orientuję się w historii, panienko. Czy może mi panienka wyjaśnić, gdzie dokładnie znajduje się to miejsce, o którym panienka wspomniała?

- Bosworth? - powtórzyła nonszalancko Harriet, mając nadzieję, że Bertha nie dosłyszała słów lokaja dotyczących wyjazdu jego lordowskiej mości. - To jest w Leicestershire. Niedaleko małego miasteczka o nazwie Kipworth.

## Rozdział 3

Powóz lorda Dunford toczył się na północ. Podróżny obserwował przesuwaną się za oknem porośniętą trawą równinę. Tu i ówdzie niskie wzgórza wylaniały się z zieleni, lecz w przeważającej części krajobraz przypominał szachownicę pól i łąk, które przedzielały wysokie krzewy, stosy kamieni i rzędy drzew.

Odkąd powóz wjechał do Leicestershire, Rand siedział sztywno, a wszystkie jego zmysły trwały w najwyższym pogotowiu. Widok za oknem był raczej monotony, wzgórza, choć liczne, nie były specjalnie wysokie. Jednak powtarzające się wzniesienia i spadki czyniły z tej okolicy doskonały teren łowiecki.

Polowania z psami, rozrywka uprzywilejowanej klasy, były ulubionym zajęciem ojca Randa. Rokrocznie okres pomiędzy październikiem a świętami Bożego Narodzenia James Dunford, członek lokalnego koła łowieckiego w Quorn, spędzał w swoim myśliwskim domu wśród towarzyszy łowów. Ponieważ ojciec kochał to miejsce, syn go nienawidził.

Wciąż go nie cierpiał.

Podobnie jak cały majątek również i ta posiadłość przeszła na własność Randa, nowego lorda Dunford. Wszystko teraz należało do niego. Dom myśliwski, Ford Park, dwa mniejsze majątki oraz roczny dochód przekraczający dziesięć tysięcy funtów. Ale nie napawało go to radością.

Przez jakieś następne pół godziny powóz posuwał się zatłoczoną drogą do Holyhead, po czym wjechał na mniej uczęszczany wiejski trakt, który w końcu doprowadził go do małego miasteczka o nazwie Kipworth. Było to bardzo ładne miejsce, które zawdzięczało swój urok różnaitości architektonicznej utrzymanych w imbirowej tonacji sklepów i domków. Otaczały je rozległe łąki, na których spokojnie, tak jak ich przodkinie dziesiątki lat temu, pasły się czarne i szare owce.

Dwie mile za miastem polna droga kończyła się przed kamienną bramą, za którą znajdował się myśliwski dom.

Jeszcze nim tam dotarł, Rand usłyszał niecierpliwe skomlenie ogarów dochodzące z psiarni. Znajome dźwięki zaparły mu dech w piersiach i spowodowały przyływ emocji. Już ponad dwanaście lat minęło od jego ostatniej bytności w tym miejscu, a ono wciąż wyglądało tak samo. Nawet zapachy pozostały te same. Nagle wróciły wspomnienia, które Rand wolałby wymazać ze swojej pamięci. Wspomnienia ostatniego, bolesnego spotkania z ojcem.

Zbudowany z ciemnoczerwonej cegły dom był raczej mało pretensjonalny i niezbyt duży. Znajdowało się w nim około tuzina pokoi, dosyć ciasnych i skromnych. Ale przecież żaden z gości ojca nie zważał na warunki zakwaterowania. Dla prawdziwego myśliwego nie liczyło się nic oprócz stajni, a te, oddalone o około dwieście jardów od bramy wjazdowej, prezentowały się wyjątkowo okazale. Prawie dwa razy większe od domu miały dwadzieścia lat i były prawdziwą dumą Jamesa Dunforda.

Nie synowie, lecz stajnie!

Rand nawet nie przypuszczał, że kiedykolwiek jeszcze powróci do Kipworth. Nie zamierzał też osiedlać się w Ford Park w zachodnim Sussex, głównej siedzibie pięciu poprzednich lordów Dunford. Jak dotąd udawało mu się omijać rezydencję przodków. Niestety nie mógł zignorować prośby swej babki, seniorki rodu Dunford. Właśnie z listu, który od niej otrzymał, dowiedział się, że jego młodszy brat opuścił niedawno Oksford i zaszył się w domu myśliwskim.

„Nie znam oczywiście dokładnie całej sprawy - pisała babka. - Wiem tyle, ile powiedziała mi moja przyjaciółka, której wnuk również studiuje w Oksfordzie. Według jej słów Burton zakochał się w całkowicie nieodpowiedniej kobiecie. Dał się ogłupić córce karczmarza - że zacytuję przyjaciółkę. A z zachowania Burtona wynika, że sprawy nie ułożyły się po jego myśli.”

Jakby nie będąc, w stanie ukryć niesmaku, starsza pani pozwoliła sobie na dygresję: „Miłość! Ach! Co za głupota! I jakich głupców czyni z mężczyzn, zarówno ze starych, jak i młodych!”

Dalej następowało kilka niewybrednych, całkowicie nieprzystojących seniorce rodu epitetów, które miały uwydatnić dezaprobatę wobec uczucia tak często opiewanego przez poetów. Z tonu listu Rand wywnioskował, że babka uznała desperację Burtona za skutek głupiej miłości.

Było to jednak mylne przekonanie.

„Chciałabym - kontynuowała - abyś udał się do Kipworth i zadbał o brata. Obawiam się bowiem, że przygnębienie może go



pchnąć do jakiegoś nierozważnego czynu. W jego wieku porażka w miłości wydaje się nie do przeżycia. Nie chcę nawet myśleć, że mógłby zrobić sobie jakąś krzywdę."

Rand nie sądził, by jego brat należał to tego rodzaju ludzi, którzy z powodu złamanego serca popełniają samobójstwa. Zaniepokojenie lady Dunford było niewspółmiernie większe niż jej starszego wnuka.

„Pomóż zrozumieć temu biednemu chłopcu, że zawód miłosny to nie koniec świata. Wyłumacz mu, że spotka jeszcze wiele pięknych dziewcząt. Ostatnio zastanawiałam się, Randolfie, czy jest coś, o czym masz pojęcie, i doszłam do wniosku, że jedyne, na czym naprawdę się znasz, to ładne panny. Pozwól, by Burton skorzystał z twego doświadczenia."

Babka kończyła swe mało pochlebne uwagi, wyrażając wiarę w lojalność wnuka, jeśli nie w stosunku do własnego nazwiska, to przynajmniej wobec jej osoby. Rand nie mógł zareagować inaczej na ten oczywisty emocjonalny szantaż, jak tylko spełnić wolę starszej pani. W końcu była jedyną osobą na świecie, z którą się liczył.

Wszyscy pozostali - matka, ojciec czy nawet Burton, dla którego starszy brat był zawsze bohaterem i wzorem - odwrócili się od niego, uwierzywszy we wszelkie rzucane na niego oszczerstwa i kalumnie.

Jak zwykle myśl o Belle Coombs i jej opętanym, zachłannym ojcu przyprawiła Randa o mdłości. To prawda, że jego własny ojciec był tyranem o sercu z kamienia, który nie miał względów dla żadnej żywej istoty - psa, konia czy człowieka - choćby to był rodzony syn. Jednak przyzwolenie na to, by jego dziedzic został bezlitośnie

wychłostany, a potem zesłany w niesławie na Barbados, bez szans na obronę, było czymś niewybaczalnym.

Rand był wtedy na drugim roku studiów w Oksfordzie. Właśnie skończył osiemnaście lat, był młodszy niż Burton w tej chwili, i naturalnie uważał się za bardzo sprytnego. Jednak już po dwóch tygodniach spędzonych na wycinaniu trzciny na plantacji koło Bridgetown zmienił zdanie na swój temat.

Bridgetown, Barbados. Słowa te budziły w nim wściekłość.

Wściekłość. Nienawiść. Wstręt. Takie były jego główne wspomnienia. Nienawidził tych wysp. Nienawidził kołyszących się na wietrze palm, piaszczystych plaż, kryształowo czystych wód Atlantyku i wiecznie świecącego słońca. Dla innych Karaiby były rajem, dla Randa stanowiły piekło na ziemi. Zwłaszcza że tę szczególną część królestwa ciemności zaludniali wyłącznie wyrzutkowie: wiecznie pijani marynarze, piraci, handlarze niewolników, Europejczycy, którzy opuścili swe ojczyzny, zostawiając rodaków na łasce i niełasce armii napoleońskiej, oraz Anglicy, którzy zbezczęścili dobre imię rodzin i zostali wykluczeni ze swych środowisk.

Nie oszalał przez pierwsze miesiące tylko dzięki marzeniom o powrocie do Anglii i o chwili, w której udowodni, jak niesłusznie go skazano, opierając się jedynie na słowach przestępcy i jego brudnej, niechlujnej córki. Oczywiście były to tylko marzenia i szybko je porzucił. Straszliwie ciężka praca i okrutni ludzie, którzy dla kilku

pensów potrafili skatować chłopaka niemal na śmierć, miały na to decydujący wpływ. Okoliczności zmusiły Randa, by szybko dojrzał.

W miarę upływu czasu opinie innych ludzi coraz mniej go interesowały. Aż wreszcie zdał sobie sprawę, że nie liczy się już z nikim. Do diabła z nimi!

Jego jedynym celem było zebranie pieniędzy na zakup biletu powrotnego do Anglii. Sposób, w jaki je zdobędzie, był mu najzupełniej obojętny. Miał tylko jedno życzenie - stanąć naprzeciw Jamesa Dunforda i usłyszeć go, jak błaga o synowskie wybaczenie.

Los, jakkolwiek bywał zwodniczy, w końcu uśmiechnął się do Randa. Pewnego wieczoru poznał ekstrawaganckiego Francuza, który podawał się za mistrza gry w wista. Antoine de la Croix, handlarz niewolników, przynajmniej dziesięć lat starszy od Randa, dostarczywszy kolejny transport wynędzniałych ludzi na jedną z wielkich plantacji nieopodal Bridgetown, postanowił wstąpić do winiarni.

Kryty słomą przybytek o brudnej podłodze i kilku rozklekotanych stołach służył za miejsce spotkań biedniejszej części wyspiarzy. Rand siedział przy jednym ze stolików i grał w wista z trzema tubylcami, podobnie jak on harującymi na plantacji trzciny. Był to dzień wypłaty i Rand zdążył już wygrać większą część ich marnych tygodniówek.

Wysoki, ciemnooki de la Croix, obserwujący Europejczyka z ręką pełną monet, uśmiechnął się doń nieszczercze. Przywodził na myśl lisa, który właśnie dostrzegł otwarte wejście do kurnika.

Wyciągnął zza pasa pistolet i metalową kolbę uderzył w głowę jednego z wyspiarzy. Mężczyzna spadł na podłogę pokrytą zaschłymi resztkami jedzenia, rumu i tytoniu. Francuz wystrzelił dwukrotnie w powietrze, co spowodowało, że trzech tubylcy uciekli w popłochu jak szczury z tonącego okrętu. De la Croix zasiadł na pustym krześle naprzeciw Randa, otworzył małą, skórzaną sakiewkę i wysypał na stół kilka złotych monet.

- Spróbuj szczęścia z prawdziwym hazardzistą - powiedział bełkotliwie. Było jasne, że wypił dzisiaj już sporo rumu.

- Z przyjemnością - odparł Rand. Zebrał karty i zaczął je tasować.

Był całkowicie trzeźwy. Nie miał ochoty wydawać ciężko zarobionych pieniędzy na sfermentowany miejscowy likier. Nie obchodziło go, że Francuz przyszedł już mocno pijany ani że od razu zamówił kolejną butelkę. Liczył się jedynie fakt, że jego kieszenie były pełne złota -złota, którym Rand chętnie uzupełniłby swoje oszczędności. Jeśli człowiek ten jest na tyle głupi, by próbować szczęścia, nie wiedząc właściwie, co się dzieje dookoła, to jego sprawa.

Już po dwóch godzinach zawartość skórzanej sakiewki piętrzyła się przed Randem. Pokazał aroganckiemu de la Croix, jak wielki popełnił błąd, a przy okazji zgromadził środki umożliwiające mu opuszczenie znenawidzonego Barbados.

- Dziękuję - powiedział. Zebrał talię kart i sięgnął po monety. - To była dla mnie prawdziwa przyjemność.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Francuz przyjął porażkę tak, jak przystało na dżentelmena. On jednak schwycił Randa za poły, starając się powstrzymać go przed zgarnięciem monet do kapelusza.

- O nie! - ryknął. - To są moje pieniądze!

- To b y ł y twoje pieniądze - odparł chłodno Rand, ze spokojem odsuwając ręce mężczyzny. - Teraz należą do mnie.

- Oszukiwałeś! - wrzasnął Francuz. - Te karty są znaczone!

Rozwścieczony oskarżeniami Rand uderzył przeciwnika w twarz, tak że ten upadł na pokrytą nieczystościami podłogę.

Podniósłszy się z trudem, Francuz otarł brudne ręce o bryczesy, po czym wyciągnął zza pazuchy sztylet.

- Za tę zniewagę, monsieur, zapłacisz życiem. Nikt, kto obraził Antoine'a de la Croix, nie doczekał następnego wschodu słońca.

Na długim ostrzu noża widniała zaschnięta krew jakiegoś nieszczęśnika, a Rand nie był aż tak głupi, by zlekceważyć pogroźkę.

- Nie sądzę - odparł, wyciągając własny sztylet. W końcu zdobył wystarczającą kwotę na zakup biletu i nie zamierzał, będąc już tak blisko celu, dać się wyprowadzić w pole. Nie da sobie odebrać ani życia, ani złota.

Oczy Francuza pełne były nienawiści. Spojrzał w kierunku baru, gdzie przez cały czas jakiś tłusty mężczyzna obłapiał dziewczkę służebną.

- Pierre! - krzyknął de la Croix. - Chodź tu i potrzyмай tego szakala, a ja nauczę go dobrych manier.

Mężczyzna pośpieszył w ich kierunku. Widać było, że ma tak samo wielką ochotę na walkę jak przedtem na służącą. Niestety przecenił swe możliwości. Gdy tylko zbliżył się do Randa na wyciągnięcie ręki, ten chwycił ze stołu butelkę po rumie, zamachnął się i zdzielił grubasa w głowę. Pierre padł na ziemię jak kłoda.

De la Croix, patrząc w osłupieniu na ogłuszonego kompana, stał nieruchomo. Pozbawiony wsparcia, obawiał się zaatakować uzbrojonego w sztylet mężczyznę.

- Nie zapomnę ci tego - wycedził, cofając się. - To mała wyspa, monsieur, i prędzej czy później znajdę cię.

A kiedy już się spotkamy, na co masz moje słowo, wypruję ci flaki i nakarmię nimi rekiny.

Ani przez moment Rand nie wątpił w realność tej groźby. Właśnie dlatego nie powrócił już do trzcinowej chatki, którą dzielił wraz z pięcioma innymi robotnikami przez ostatnie dwanaście lat. Uznawszy swój skromny dobytek za stracony, poszedł prosto do portu i zabukował miejsce na statku wypływającym z Bridgetown następnego ranka. Tym samym pozbawił de la Croix okazji do spotkania.

Niestety nie dane mu było nacieszyć się wyśnioną zemstą. Kiedy szczęśliwie dotarł do zasnutych mgłą brzegów Anglii, jego ojciec od dawna spoczywał już u boku matki na przykościelnym cmentarzu w Latchmere w zachodnim Sussex.

Człowiek, który był przekleństwem ostatnich dwunastu lat jego życia, odszedł. Wraz ze śmiercią Jamesa Dunforda zniknęła też przyczyna gniewu jego syna.

Odmowa zajęcia należnej mu pozycji lorda i pana Ford Park była jedyną formą odwetu, jaka mu pozostała. To oraz zrobienie wszystkiego, co było w stanie zrujnować nazwisko, które kiedyś było dla jego ojca wszystkim.

Z tych powodów dopiero teraz, odpowiadając na prośbę babki o pomoc, Rand znalazł się w domu myśliwskim. Aczkolwiek wątpił, aby Burton chciał wysłuchać czegokolwiek, co starszy brat ma mu do powiedzenia. Wszak nie miał nad nim żadnej władzy. Ich ojciec odpowiednio zadbał o opiekę nad młodszym synem. Zatrudnił dwóch prawników do sprawowania pieczy nad finansami i edukacją Burтона.

Lord Dunford nie był więc opiekunem brata. Nawet nie byli przyjaciółmi. Co więcej podczas ich jedyne go spotkania od powrotu Randa do Anglii Burton dał wyraźnie do zrozumienia, że nie chce mieć ze starszym bratem nic wspólnego. Można więc sobie wyobrazić, jak zareaguje na jego porady w kwestii uczuć.

Rand chciał jednak jakoś ochronić młodego głupca przed nieszczęściem. Bardziej niż tego, że Burton zrobi sobie krzywdę, obawiał się zemsty, jaką przysięgli mu trzej starsi bracia córki karczmarza.

Nie chciało mu się wierzyć, że opisana przez babkę historia jest prawdziwa. Pojechał więc do Oksfordu i osobiście przeprowadził



dyskretne dochodzenie. Tym sposobem dowiedział się o trzech braciach Wexham i ich groźbach.

Według relacji jego najlepszego przyjaciela Burton usłyszał plotki, że dziewczyna, w której się zakochał, Flo Wexham, spotyka się z kimś innym. Z początku nie wierzył tym pogłoskom. W końcu jednak wysledził niewierną kochankę i musiał uznać, że potraktowano go jak głupca.

Rozczarowany i zraniony oznajmił Flo, że nie chce jej więcej widzieć. To popchnęło córkę karczmarza do ucieczki z drugim kochankiem, synem kowala. Niestety, trzej starsi bracia dziewczyny uznali wycofanie się Burtona za złamanie umowy. Pewnego wieczoru zaczepili go na ulicy i zagrozili mu ciężkim pobiciem, jeśli nie wypłaci im stu funtów szterlingów na poczet posagu siostry.

Oczywiście Burton nie miał tyle pieniędzy, a może też nie chciał zapłacić ze względu na zasady. Jakikolwiek był powód, postanowił zejść rozgniewanej trójce z oczu. Schronił się więc w domu myśliwskim, co było niemal równoznaczne z zapadnięciem się pod ziemię.

Teraz przybył tu Rand. Zdawał sobie sprawę, że brat powita go z takim samym entuzjazmem, jaki okazałyby braciom Wexham. Wciąż zastanawiał się, jak wypadnie jego drugie spotkanie z Burtonem, kiedy woźnica ściągnął lejce i zatrzymał konie zaledwie kilka stóp od wąskiego ganku. Zanim służący zdążył zeskoczyć z kozła i pomóc swemu panu wysiąść z powozu, ciężkie orzechowe drzwi domu



otworzyły się i niski, podobny do gнома mężczyzna w koszuli i skórzanych bryczesach pojawił się na ganku.

- Panicz Rand! - wykrzyknął pomarszczony starzec, a jego szeroki uśmiech ukazał liczne puste miejsca, w których niegdyś znajdowały się zęby. - Czy to naprawdę pan?!

- Eli, stary druhu! - Lord Dunford zeskoczył na ziemię i ze wzruszeniem uściśnął rękę starego myśliwego. - Nie sądziłem, że cię jeszcze kiedykolwiek ujrzę, przynajmniej nie na tym świecie. Byłem przekonany, że już dawno spoczywasz na cmentarzu.

- Parę razy mało brakowało - odparł mężczyzna, a filuterny uśmiech przemknął przez jego spokojną już twarz. - Ale widocznie nie jestem ani wystarczająco dobry dla niebios, ani wystarczająco odrażający dla piekieł.

Eli Porter był zarządcą tutejszego majątku, odkąd Rand sięgał pamięcią. Odpowiadał za psiarnie, hodowlę i tresurę ogarów. Kiedy Rand był jeszcze chłopcem, miał zwyczaj porównywać swój wzrost ze wzrostem tego człowieczka. Teraz miał ponad sześć stóp wzrostu i zdecydowanie górował nad staruszką. Pamiętał jednak, że nikt nie mógł równać się z Elim, jeśli chodziło o dobroć i wielkoduszność. Tutaj Eli był olbrzymem.

- Miło znów cię widzieć.

- Dziękuję, paniczu. Cieszę się, że w końcu panicz przyjechał. Choć chyba powinienem się zwracać: wasza lordowska mość. Naturalnie trochę potrwa, zanim przyzwyczai się pan do roli głowy rodu Dunfordów. Będzie pan godnym lordem, jestem tego pewien.

- W tej sytuacji - odezwał się rozdrażniony głos od drzwi - aż boję się stanąć naprzeciwko ciebie.

- Burton - rzekł z wahaniem Rand, przyglądając się szczupłemu młodzieńcowi, którego ciemnoblonde włosy i szare oczy tak bardzo przypominały jego własne. - A więc tu jesteś.

- Bardzo trafne spostrzeżenie - odparł brat lekko drwiącym tonem. - Czy zawsze wykazujesz się aż taką bystrością?

Zdając sobie sprawę, że nic nie zyska, dolewając oliwy ognia, Rand tylko się uśmiechnął.

- Mógłbyś okazać się na tyle mądry, żeby trzymać język za zębami. Chyba poślę zaraz po wiadro z zimną wodą i porządnie zmyję ci głowę. Pewnie by ci to nie zaszkodziło. Może oduczyłbyś się gburowatych odzywek. A przynajmniej trochę by cię otrzeźwiło.

- Jestem całkowicie trzeźwy.

- Ależ oczywiście! Jak w ogóle mogłem pomyśleć, że jest inaczej. Naprawdę ani raczej żalostny stan twojej garderoby, ani bełkotliwa mowa, ani wstrętny, nieświeży zapach gorzelni, który unosi się nad tobą jak obłok, nie nasuwa podobnych podejrzeń.

Rand niewiele się pomylił, jego brat faktycznie spędził ostatnie dwa tygodnie na topieniu smutków w alkoholu.

- Ktoś mógłby się jednak zastanawiać, co to za, powiedzmy sobie szczerze, bardziej niż odpychająca woń zalatuje od twoich ubrań.

Burton miał jak na swój wiek dość rzadki zarost, ale i tak potęgował on tylko jego niechlujny wygląd.

- Poza kąpielą i stryżeniem niezbędnie potrzebujesz zmienić ubranie. Bo, jeśli się nie mylę, rachunek sumienia zdażyłeś już zrobić.

Burton zacisnął pięści.

- Wszystko, czego potrzebuję, to żebyś natychmiast zszedł mi z oczu i zostawił mnie w spokoju. A najlepiej, jakbyś wyświadczył przysługę całemu światu i poszedł do wszystkich diabłów!

Eli jęknął, ale lordowi Dunford nawet nie drgnęła powieka.

- Bardzo możliwe, że kiedyś tak się stanie. Ale zanim to nastąpi, coś ci powiem. - Zapatrzył się na chwilę w dal. Przejechał ponad sto mil i nie był w nastroju do kłótni z pijanym młokosem. - Rozumiem, Burtonie, że zrobiłeś sobie trochę wcześniejsze wakacje, a wszystko z powodu dziewczyny mającej słabość do kowali - nawiązał wreszcie do właściwej przyczyny swojej wizyty.

Jego brat wyprostował się jak struna. On też miał prawie sześć stóp wzrostu, lecz z trudem udawało mu się zachować równowagę.

- Jak śmiesz mieszać się do nie swoich spraw? To, co zrobiłem bądź nie, to wyłącznie moja sprawa, mój panie, i będę wdzięczny, jeśli zakończymy ten temat.

- Niczego bardziej nie pragnę, zapewniam cię. Niestety nasza babka jest w najwyższym stopniu zaniepokojona twoją sytuacją. Jej życzeniem było, abym przyjechał tu i przemówił ci do rozsądku.

- Do diabła z tobą! - Burton poczerwieniał ze złości. - Jak babcia mogła w ogóle pomyśleć, że przyjmę od ciebie jakąś radę? Akurat od ciebie! Gdyby nie było to dla niej obraźliwe, uśmiełbym się po pachy.

- Uważaj! - ostrzegł Rand, a jego głos stał się złowieszczo niski.  
- Nie nadużywaj mojej cierpliwości!

- Nadużywam twojej cierpliwości! Co za hipokryzja. Może zachowałem się jak głupiec, ale moje grzechy są niczym w porównaniu z twoimi. Ja naprawdę kochałem Flo.

- Jeszcze kiedyś kogoś pokochasz, zapewniam cię - odparł lord Dunford trochę już łagodniejszym głosem.

- Nigdy!

Rand dobrze wiedział, co mówi, nie zamierzał jednak tracić czasu na przekonywanie brata. Zamiast tego rzekł:

- Nigdy to bardzo długo, ty głupcze. Burton skrzywił się i wysyczał ze złością:

- Może i jestem głupcem, ale przynajmniej nie zniesławiłem rodziny, zostawiając ciężarną dziewczynę na pastwę losu. Szkoda, że ty o sobie nie możesz tego powiedzieć!

## Rozdział 4

Po dwóch dniach podróży Harriet była bardziej niż szczęśliwa, gdy mogła wreszcie wysiąść z wynajętego powozu, który przywiózł ich do miasteczka Kipworth w Leicestershire. Licząc myto, jakie musiała płacić na rozstawionych co osiem, dziesięć mil rogatkach, koszt wynajęcia powozu, a także napiwki, które zmuszona była wręczać stajennym przy każdej zmianie koni, podróż kosztowała już ponad piętnaście funtów. Obiecała Milesowi i Annie, że spędzą na wsi cały tydzień, ucieszyła się zatem, widząc, że karczma, w której mieli się zatrzymać, jest dość skromna.

Główny budynek liczył sobie zapewne ponad sto lat i składał się z trzech pięter. Przylegające z obu stron do pierwotnej konstrukcji przybudówki były natomiast dwupoziomowe. Cegły, niegdyś czerwone, wyblakły, przybierając, odcień delikatnego różu. Zarówno drzwi prowadzące do szynku, jak ciężkie, dębowe, utrzymane w holenderskim stylu drzwi domu zajezdnego poczerniały już ze starości. Ponad nimi wisiała drewniana tablica z wyrytą nazwą: „Róża i Korona”. Poniżej znajdował się mniejszy napis obwieszczający, iż w każdy drugi czwartek miesiąca w głównej sali szynku odbywają się wykłady i deklamacje poezji, zaś w każdy trzeci czwartek spotkania dobroczynne.

Zgodnie ze słowami londyńskiego agenta „Róża i Korona” gościła prawie wyłącznie myśliwych przybywających w te okolice na polowania. Poza sezonem, tak przynajmniej zapewniono Harriet,

karczma żyła głównie z goszczenia szacownych rodzin. Mimo wszystko jednak, kiedy cała czwórka z Marylebone wysiadła już z powozu i miała wejść do środka, Harriet nie mogła opanować drżenia. Dobrze wiedziała, że niektórzy karczmarze niechętnie przyjmują u siebie kobiety pozbawione męskiego towarzystwa, i zawczasu już obmyśliła sobie, co ma mówić.

- Dobry wieczór - powiedziała, skinąwszy lekko głową korpulentnemu mężczyźnie, który zszedł właśnie wąskimi schodami i stał teraz, wycierając ręce w obszerny fartuch, przykrywający koszulę i kamizelkę. - Jestem panna Wilson. A pan?

- Shimmerhorn - odparł, przenosząc wzrok z przybyłej na chłopca stajennego, który już zabrał się do wyładowywania bagażu z powozu. - Ian Shimmerhorn. Obawiam się jednak, że „Róża i Korona” nie przyjmuje samotnych kobiet. Może raczej spróbuje pani w górę ulicy, w...

- Przyjechaliśmy tu na tygodniowe wakacje - powiedziała Harriet, nie zważając na jego słowa. - Potrzebuję zakwaterowania dla mnie, dwójki moich kuzynów i naszej służącej. Jeśli nie będzie innego wyjścia, ja i panna Gwynn możemy dzielić jeden pokój, ale pan Miles, co oczywiste, będzie potrzebował oddzielnej izby.

Z ogromnym zdziwieniem karczmarz popatrzył na dziesięcioletniego chłopca, który właśnie asystował stajennemu przy koniach.

- Pan Miles, powiada pani?

Pamiętając starą zasadę, że jeśli się już powiedziało A trzeba powiedzieć B, Harriet kontynuowała:

- Sir Miles Gwynn z Livsey Hall, Middlesex. Mam nadzieję, że jest pan w stanie zapewnić nam oddzielną jadalnię. Nie mogę przecież pozwolić, by sir Miles i jego siostra spożywali posiłki w towarzystwie nieznanomych - dodała z taką dystynkcją, na jaką tylko mogła się zdobyć.

Niestety tytuł jej małego kuzyna nie wywarł na karczmarzu takiego wrażenia, na jakie Harriet liczyła. Na całe szczęście w tym właśnie decydującym momencie pojawiła się Anna. Młoda dama zdjęła swój słomkowy kapelusz i trzymała go teraz za wstążkę. Stała obok Harriet, a wtedy promienie zachodzącego słońca oświetliły pięknie jej otaczające twarz blond loki.

- Kuzynko! - zawołała, a jej błękitne oczy rozblęskły -jakie to szczęście, że zatrzymaliśmy się właśnie w tej karczmie. Stajenny mówi, że w stajni są małe kotki. Wyobraź sobie, te stworzonka mają zaledwie trzy dni. Czy ja i mój brat moglibyśmy je zobaczyć? - zaszcebiotała, zwracając się do karczmarza i obdarzając go najśłodszym uśmiechem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Ian Shimmerhorh dochodził prawdopodobnie sześćdziesiątki, a na czubku głowy miał już wyraźnie widoczne siwe włosy. Nie okazał się jednak przez to ani trochę mniej niż inni mężczyźni wrażliwy na uśmiech pięknej młodej dziewczyny.

- Kotki? - wymamrotał, tak jakby wypowiadał to słowo po raz pierwszy w życiu. - Oczywiście, panienko, że możecie je zobaczyć -

odparł już normalnym głosem. - Tim wskaże wam drogę. Tymczasem stajenny zanieś wasze bagaże na górę.

\*

Tego wieczoru trójka kuzynów zjadła wczesną kolację. Potem wszyscy udali się na spoczynek do osobnych pokojów, przy czym Lucy spała na rozkładanym łóżku w pokoju Anny. W przeciwieństwie do Harriet, którą przygniatała odpowiedzialność za spoczywającą w sakiewce szmaragdową broszkę, Anna i Miles zasnęli niemal natychmiast. Wciąż jeszcze pozostawali w łóżkach, kiedy następnego ranka Harriet zeszła na dół po herbatę i tosty. Postanowiła zrobić wszystko, by jak najszybciej zobaczyć się z lordem Dunford. Chcąc wyglądać jak najpoważniej, włożyła brązową popelinową podróżną suknię oraz dobrany do peleryny brązowy kapelusz.

- Skoro już zjadłam śniadanie, to chciałabym teraz wypożyczyć jakiś powóz - zwróciła się do właściciela karczmy.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale powóz jest u kowala. Koło złamało się kilka dni temu. Wszystko, co mamy, to zaprzęg z osłem. I mimo że wóz nadaje się jeszcze do użytku, to osiołek jest tak stary, że mógłby pewnie uchodzić za zwierzę z arki Noego.

- Czy zwierzę jest spokojne? Mam na myśli to, czy gdzieś ze mną nie ucieknie?

Shimmerhorn potrząsnął głową.

- Nie, on nie ucieknie. To mogę obiecać, ale...

- Zatem jestem przekonana, że wóz też będzie dobrze mi służył, tym bardziej, że nie zamierzam się za bardzo oddalać.



Już po niecałej godzinie wszystko było gotowe. Harriet wdrapała się na mały, dwukołowy pojazd o plecionym siedzeniu i wzięła lejce od młodego stajennego.

- Dom myśliwski lorda Dunford znajduje się jakieś dwie mile stąd - powiedział chłopak, wpatrując się w szylinga w jej dłoni. - Najprawdopodobniej zanim zobaczy pani bramę wjazdową, będzie słyszeć ujadanie psów. W każdym razie trudno przeoczyć to miejsce.

Mając nadzieje na załatwienie sprawy jeszcze przed południem, Harriet podziękowała stajennemu, rzuciła mu szylinga, po czym cmoknęła na osła, nakazując mu ruszać w drogę. Osiołek był wyraźnie zadowolony z faktu, że zamiast tkwić uwięziony w stajni, wybierze się na spacer w słońcu, więc do pewnego czasu posłusznie ciągnął wóz.

Zgodnie z zapowiedzią droga wiodła wzdłuż niskiego kamiennego muru. Jednak już po przejechaniu pół mili Harriet straciła nadzieję, że kiedykolwiek dotrze do celu podróży. Osiołek był chyba najstarszym zwierzęciem, jakie kiedykolwiek widziała, i mimo że posłusznie kroczył piaszczystą drogą bez potrzeby popędzania z jej strony,

Harriet pomyślała w pewnym momencie, że szybciej do-szłaby na piechotę.

Niestety spacer nie wchodził w rachubę. Gdyby nie przybyła do domu myśliwskiego jakimkolwiek, nawet najskromniejszym powozem, każdy szanujący się odźwierny miałby prawo zatrzasać jej drzwi przed nosem.

Nie ujechali jeszcze jednej mili, kiedy osiołek zastrzygł długimi uszami i cicho zaryczał. Po prawej stronie drogi, w wyrwie pomiędzy krzewami głogu, rosło kilka małych jabłonek. Ku przerażeniu Harriet zwierzę ruszyło w ich stronę. Zanim dziewczyna odgadła jego intencje, osiołek zaczął gryźć karłowate jabłko leżące pod równie karłowatym drzewkiem.

- Nie, nie - protestowała łagodnie Harriet - nie możemy się teraz zatrzymywać. Będiesz miał dość czasu, kiedy już spotkamy się z jego lordowską mością. No, dobry osiołek - mówiła, cmokając.

Jednak zwierzę nie zwracało na nią najmniejszej uwagi. Wręcz przeciwnie, uparciuch chwycił pożółkłymi zębami kolejne małe jabłko i zaczął gryźć je ze smakiem.

- Proszę, musimy już iść - nalegała dziewczyna, pociągając za lejce. - Obiecuję, że przystaniemy tu w drodze powrotnej

W odpowiedzi usłyszała jedynie głośnie chrupanie osiołka.

- A niech to! - krzyknęła rozeźlona, kiedy po kilku minutach zwierzę nadal nie miało ochoty się ruszyć. - Daj już z tym spokój. Nie mogę spędzić tu całego dnia!

Najwyraźniej jednak osiołek nie miał takich ograniczeń. Kiedy oczyścił z owoców niższe gałęzie, zaczął rozgarniać pyskiem rosnące wyżej. Zadowolony kontynuował swój posiłek.

- O, nie! - krzyknęła Harriet, szarpiąc za lejce. - Dość tego! Ruszaj!

Nie przyniosło to żadnego rezultatu. Nieważne czy krzyczała, groziła czy też przymilnie prosiła. Osioł cały czas stał w miejscu i

chrupał jabłka, tak jakby słodka przekąska była głównym i jedynym celem opuszczenia karczmy.

Bliska rozpaczy dziewczyna wrzasnęła w końcu:

- Ruszaj, ty głupi, stary ośle!

Jednak i to nie odniosło zamierzonego skutku.

Zastanawiając się, czym zasłużyła sobie na takie przekleństwo, Harriet postanowiła zejść z powozu, pociągnąć zwierzę za uzdę i w ten sposób spróbować zmusić je do ruszenia z miejsca. W tym momencie usłyszała tętent kopyt. Dźwięk dochodził zza zakrętu drogi, nie mogła zatem niczego zobaczyć, ale z szybko narastającego łoskotu wywnioskowała, że koń był duży i galopował w jej kierunku.

Droga była wąska, a ona i powóz znajdowali się po niewłaściwej stronie, na dodatek nie mogąc się ruszyć. Zdając sobie sprawę z grożącego jej i jej wierzchowcowi niebezpieczeństwa, dziewczyna mocno ściągnęła lejce.

- Ruszaj! - wrzasnęła. - Czy chcesz zostać stratowany, ty głupi zwierzaku?

Jedyną odpowiedzią osła było nadal głośnie chrupanie.

Z sercem uderzającym szybciej niż kopyta zbliżającego się konia Harriet prosiła Boga, by jeździec okazał się zdolny i uważny. Wiedziała, że już za chwilę może zostać rozjechana, a dalsze konsekwencje tego będą katastrofalne.

Czy powinna krzyknąć, by ostrzec jeźdźca? Czy też raczej w milczeniu oczekiwać na cud?

Nie mogąc się zdecydować, szybko rzuciła okiem na osła, by sprawdzić, czy usłyszał już hałas. Jeśli w ostatniej chwili się spłoszy i zacznie uciekać, może łatwo przewrócić powóz, pieczętując tym samym ich wspólny los pod śmiertelnościami końskimi kopytami. Nie zamierzając powierzać swego życia beztroskiemu zwierzęciu, Harriet rzuciła lejce i podciągnęła spódnicę nad kolana, by w razie konieczności mogła wyskoczyć z powozu między drzewa.

Zanim jednak zdążyła to zrobić, ujrzała nadbiegającego konia. Rzeczywiście był ogromny - wysoki na ponad pięć stóp. Piękny kasztanek dumnie galopował z grzywą powiewającą na wietrze.

Harriet z ulgą stwierdziła, że jeździec zauważył osła i powóz, kiedy znajdował się jeszcze w bezpiecznej odległości. Delikatnie dotknął ostrogami boków swego wierzchowca, pochylił się do przodu, koń odbił się do skoku i obaj z łatwością przelecieli nad niskim kamiennym murem.

Kiedy tylko niebezpieczeństwo minęło, Harriet opadła na siedzenie, trzęsąc się jak galareta. Oddychając ciężko, patrzyła, jak kasztanek galopuje przez pofałdowane pole.

- Dziękuję - wyszeptała prawie bezgłośnie, wznosząc oczy do góry, bardziej wdzięczna, niż mogła to wyrazić, że żaden człowiek ani zwierzę nie ucierpiało.

Wciąż próbując uspokoić oddech, nagle zauważyła, że jeździec wstrzymał konia, po czym zawrócił. Najwyraźniej nie nadwyreżony wymuszonym skokiem kasztanek cwałował z powrotem w kierunku muru z wyprostowaną dumnie szyją. Serce Harriet nie odzyskało

jeszcze swego normalnego rytmu, kiedy jeździec ściągnął lejce, zatrzymał wierzchowca i krzyknął w jej kierunku:

- Czy wszystko w porządku, proszę pani?

- Najzupełniej w porządku - odparła. - Serdecznie dziękuję. Ale co z panem, sir? Mam nadzieję, że nie ucierpiał pan na skutek tego nieoczekiwanego skoku.

- Ani trochę.

- A koń?

Mężczyzna wyciągnął rękę i poklepał kasztanka po karku.

- Merkury jest prawdziwym myśliwym i założę się, że w pogoni za lisem przeskakiwał ten mur już niezliczoną ilość razy.

- W takim razie jestem niezmiernie szczęśliwa. Nagle Harriet zorientowała się, że jej spódnica nadal jest uniesiona powyżej kolan. Oblała się rumieńcem, po czym pośpiesznie opuściła materiał do kostek. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że mężczyzna zeskoczył z siodła i przechodzi przez kamienny mur. Wtedy też dostrzegła, że nie ma on nakrycia głowy.

Jej zakłopotanie jeszcze wzrosło, gdy zauważyła elegancki kapelusz z futrzanym rondem leżący na zakurzonej drodze. Zapewne spadł podczas skoku. Gdy wysoki jeździec schylił się po niego, zaczęła przeproszać za całe zdarzenie.

- Jeżeli to może pana w jakikolwiek sposób pocieszyć, to obiecuję, że więcej nic takiego się nie zdarzy.

- Nigdy? - spytał nieznajomy, podnosząc kapelusz i otrzepując go z kurzu rękawem stalowoniebieskiego płaszcza.

- Nigdy. Bo już w tym momencie mam ochotę zabić tego upartego osła.

- A ma pani broń? - Mężczyzna zachichotał. - Czy może mam pani pożyczyć mój pistolet?

Harriet poczuła ulgę, słysząc żartobliwy ton głosu jeźdźca, jednak odmówiła.

- Zastrzelenie byłoby zbyt dużą łaską dla tego krnąbrnego osła. Nic innego nie przyniosłoby mi takiej satysfakcji, jak uduszenie go gołymi rękami. W końcu należy mi się jakaś rekompensata za cały strach, który...

Słowa zamarły jej na ustach. Mężczyzna wreszcie podniósł wzrok znad oczyszczonego kapelusza i Harriet po raz pierwszy dokładnie zobaczyła jego twarz.

- To pan?! - wykrzyknęła, rozpoznawszy nieznajomego, którego rany opatrywała kilka miesięcy temu. I którego pocałunku nigdy nie zapomniała.

Jego zdziwienie było równie wielkie.

- Panna Wilson?!

## Rozdział 5

- Sir - wykrztusiła Harriet, wciąż nie wierząc własnym oczom - czy to naprawdę pan, czy może jednak wpadłam pod kopyta tego pięknego wierzchowca i straciłam rozum?

Rand sam miał wątpliwości co do stanu swojego umysłu. Na pewno był to jakiś rodzaj snu na jawie. Jakim cudem Harriet Wilson mogła znajdować się w Leicestershire?

Od pamiętnej nocy sześć miesięcy temu, kiedy panna Wilson przyszła mu z pomocą i opatrzyła jego rany, wiele razy wyobrażał sobie, że ponownie ją spotyka. Jednak nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że nastąpi to właśnie w Kipworth, niecałą milę drogi od jego myśliwskiego domu.

- Pani - zapytał - co panią tutaj sprowadza?

- Tutaj? - powtórzyła. - Ma pan na myśli Leicestershire czy też tę drogę?

Jakby przypominając sobie nagle, iż nie ma prawa o nic tej kobiety pytać, lord Dunford przeprosił za niedyskrecję.

- Wszystko przez to, że jestem zadziwiony tym naszym spotkaniem.

- Co do mnie, muszę przyznać, że jestem całkowicie zaskoczona tym faktem. Gdyby ktoś mi powiedział, kiedy dziś rano wyjeżdżałam z „Róży i Korony”, że to właśnie pana spotkam na tej polnej drodze, nigdy bym nie uwierzyła.

- „Róża i Korona”, powiada pani? A zatem nie odwiedza pani nikogo w okolicy?

Harriet potrząsnęła głową.

- Nie znam tu nikogo. Czy raczej powinnam rzec - nie wiedziałam, że kogoś tu znam. Ale jeśli nasze spotkania wciąż mają przebiegać w tak niebezpiecznych okolicznościach, to może byłoby rozsądniej, gdybyśmy nie przyznawali się do tej znajomości. Któż może wiedzieć, jaką niespodziankę zszykuje nam los w trakcie trzeciego spotkania?

Aż się wzdrygnęła, jakby już przestraszona tą perspektywą. Rand jednak nie wydawał się zaniepokojony.

- Dzielna panna Wilson czegoś się obawia? Nie wierzę. Gdyby Wellington miał w swoich zastępach pół tuzina takich panien Wilson, Bonaparte zostałby pobity wieki temu.

- A gdyby biedny pan Brummel posiadał pańską umiejętność schlebiania, nadal pewnie byłby ulubieńcem Księcia Regenta.

Rand roześmiał się. Dziewczyna miała cięty język, a jemu bardzo się to podobało. Szczególnie po doświadczeniach ostatnich kilku miesięcy, podczas których był uwodzony i wręcz prześladowany przez wszystkie młode damy w Londynie, a to głównie z powodu swego tytułu i bogactwa.

- Skoro perspektywa kolejnego przypadkowego spotkania, panno Wilson, wzbudza w pani taki lęk, proponuję, abyśmy nie pozostawiali wszystkiego w rękach losu.

- Nie?



- Zdecydowanie nie. Co by pani powiedziała na moją eskortę w drodze do karczmy, o ile oczywiście zamierza pani już tam wracać? Jak tylko pozbylibyśmy się pani obecnego środka transportu, z przyjemnością pokazałbym pani atrakcje Kipworth.

- Jakie atrakcje?

Lord Dunford zmuszony był się skupić. Po ponad dwunastu latach jedynym miejscem, jakie sobie przypominał i jakie od biedy mogło uchodzić za atrakcję, był kościół stojący na końcu głównej ulicy.

- Kościół św. Agnieszki.

- Kościół? - Zarówno ton głosu, jak i delikatnie uniesione brwi jednoznacznie dawały do zrozumienia, iż dziewczyna wątpi, by jego noga kiedykolwiek postąpiła w takim miejscu.

- Nie można nie zobaczyć kościoła św. Agnieszki -kontynuował, nie zważając na oczywisty sceptycyzm swej rozmówczyni.

- A to dlaczego?

Że też musiała spytać! Rand jednak nie zamierzał się poddawać. Za wszelką cenę starał się przypomnieć sobie napis na małej tablicy wiszącej po prawej stronie ciężkich, zniszczonych drzwi kościoła.

- Ponieważ mówi się, że konstrukcja jest... eeech... Zamilkł, a Harriet zachichotała.

- Na krótką chwilę uwierzyłam panu, że naprawdę coś pan wie na temat tej świątyni.

- Bo wiem. To znaczy - wiedziałem. Dawno temu.

- Dawno temu? Tak, oczywiście. Powinnam się była domyślić. To stara śpiewka tych, którzy próbują udowodnić swe rzekome umiejętności: „kiedyś wiedziałem”.

- Chwileczkę! - wykrzyknął Rand, niezrażony jej brakiem wiary.  
- Już sobie przypomniałem. „Kościół św. Agnieszki jest dowodem pomysłowości Normanów” -wyrecytował jednym tchem niczym zawodowy przewodnik.

- Wydaje mi się, że właśnie pan to wymyślił.

- Ależ skąd! Ma pani na to moje słowo. Zacytowałem napis widniejący na małej tabliczce wiszącej obok drzwi kościoła. Byłbym szczęśliwy, mogąc ją pani pokazać, jak również inne ciekawe miejsca w Kipworth.

Lord Dunford mógł zapomnieć o wszystkich atrakcjach małego miasteczka, było jednak coś, co wyjątkowo silnie utkwilo mu w pamięci. Były to niezwykle oczy panny Wilson. A teraz te oczy lśniły z rozbawienia.

- Czy chce pan, bym uwierzyła, że jest pan miłośnikiem zabytków?

- To panią dziwi? - spytał, kładąc rękę na sercu jakby zmartwiony jej powątpiewaniem.

- Przyznaję, że tak - odparła. - Biorąc pod uwagę okoliczności naszego poprzedniego spotkania, nie wspominając już o wydarzeniach ostatniej godziny, można by sądzić, że pańskie zainteresowania są trochę innej natury. Wiele razy myślałam o panu, ale nigdy jako o kimś rozmiłowanym w sztuce.

A więc myślała o nim. Rand ucieszył się, słysząc te słowa. Jednak delikatny rumieniec, jaki zabarwił policzki dziewczyny, świadczył o tym, iż ona sama nie była specjalnie zadowolona, że wymknęła jej się taka uwaga. Obawiając się, że zakłopotanie panny Wilson może stać się zbyt wielkie, w efekcie czego może ona się nie zgodzić, aby został jej przewodnikiem po okolicy, lord Dunford szybko rzucił kolejną informację, pierwszą lepszą, jaka przyszła mu do głowy.

- Mury kościoła zostały prawie w całości wzniesione z materiałów pochodzących z ruin rzymskich budowli.

- Och, to bardzo interesujące. Zrobić użytek z rzymskich ruin, to rzeczywiście nader pomysłowe. Proszę opowiedzieć mi coś więcej.

- A więc - zaczął Rand, usiłując przywołać całą posiadaną kiedyś wiedzę - wszyscy zwiedzający, wiem to z pewnego źródła, a szczególnie panie przybyłe właśnie z Londynu, uważają ten kościół za fascynujący.

Niestety jego wysiłki na nic się nie zdały.

- Obawiam się, że nie mogę przyjąć pańskiej propozycji, choć brzmi ona kusząco.

Rand poczuł ogromne rozczarowanie, mógłby wszak przysiąc, że jego oferta nie była Harriet niemiła.

- Ale dlaczego? - zapytał.

- Ponieważ w końcu ten głupi osioł zasyci się jabłkami, a kiedy już ten szczęśliwy moment nadejdzie, będę musiała załatwić sprawę, która sprowadziła mnie do Leicestershire.

- A więc przybyła tu pani, by załatwić jakieś sprawy?

Szczerze się zatem składa, gdyż jestem w tym najlepszy.

- Dziękuję bardzo, ale...

Rand nie pozwolił jej skończyć.

- Czy zna pani tę okolicę? Jeśli nie, będę pani przewodnikiem.

Bywałem tu często jako mały chłopiec i znam tereny całkiem...

Nagle przerwał swój wywód, zauważywszy, że zakłopotanie Harriet zniknęło już bez śladu.

- Szukam domu myśliwskiego - powiedziała, jakby niechętnie ujawniając cel swojej przejażdżki. - Domu należącego do lorda Dunford.

- Lord Dunford! - wykrzyknął zaskoczony Rand. - Czego, do licha, pani u niego szuka?

Pytanie to było co najmniej impertynenckie. W momencie gdy Rand je wypowiadał, policzki panny Wilson z różowych stały się ogniste czerwone, co wyraźnie unaocznilo mu, że posunął się za daleko.

- Musiałem pozostawić moje maniery w garderobie, kiedy ubierałem się dziś rano - wybąkał przeproszającym tonem.

- Ależ proszę się nie kłopotać, sir. Przed chwilą ocalił mi pan życie, za co jestem ogromnie zobowiązana i co nie pozwala mi cenzurować pańskiego zachowania. Lecz skoro już pan pyta, odpowiem. Mam przesyłkę dla lorda Dunford.

- Przesyłkę?

- Tak, sztukę biżuterii.

W ciągu ostatniego pół roku Rand zakupił u Harriet mnóstwo biżuterii. Składanie zamówień było jedyną formą spłacenia długu wdzięczności za uratowanie go z rąk dwóch opryszków. I oczywiście pomagało uspokoić sumienie po tym, jak ją obraził, biorąc za znaną kurtyzanę, Harriette Wilson. Ale wciąż nie mógł sobie przypomnieć, co takiego mógł zamówić, by wymagało to przyjazdu dziewczyny aż do Kipworth.

- Być może zapomniał pan, ale zajmuję się projektowaniem i wyrobem biżuterii.

- Nie, pamiętam o tym. Zdziwiło mnie tylko to, że osobiście ją pani dostarcza. I to z tak daleka, z Marylebone. Czy lord Dunford pani oczekuje?

Harriet spuściła wzrok i przez moment Rand myślał, że unika odpowiedzi. Kiedy podniosła oczy, jej twarz miała bardzo poważny wyraz.

- Jego lordowska mość nic nie wie o tej sprawie. Przyjechałam tu osobiście, bo mam nadzieję uniknąć w ten sposób katastrofy.

Rand już dwukrotnie był świadkiem zachowania tej kobiety w obliczu niebezpieczeństwa, nie wątpił więc w powagę sytuacji.

-Jeżeli mógłbym w czymś pomóc, panno Wilson, proszę po prostu powiedzieć.

W kilku zdaniach Harriet wyjaśniła mu, jak sztuczna broszka została pomyłona z prawdziwą.

- Myślę, że zdaje pan sobie sprawę z konsekwencji, jakie dla mojej pozycji zawodowej czy nawet życia mogą mieć oskarżenia o fałszerstwo.

Lord Dunford doskonale rozumiał sytuację. Sam kiedyś znajdował się w podobnym położeniu. Wiedział ponadto, iż to niecierpliwość i zachłanność Sally Chadwick spowodowały całe zamieszanie. Widząc zmartwiony wyraz twarzy panny Wilson, miał ochotę rozszarpać niedawną kochankę na kawałki.

Właściwie nie sądził, by jeszcze kiedykolwiek miał oglądać Sally Chadwick. Zerwał ich związek kilka miesięcy temu, krótko po incydencie przed domem panny Wilson. Wedle krążących po mieście plotek, Sally rychło obdarzyła swoimi wdziękami jakiegoś bogatego Francuza, który właśnie powrócił z Barbadosu.

Co do jej nowego opiekuna, to... jeśli jest nim Antoine de la Croix, to postępuje głupio, licząc, iż w ten sposób wyrze zemstę na Randzie. Musiałby zrobić znacznie więcej, niż zwabić do siebie porzuconą kochankę, by wzbudzić w lordzie jakikolwiek niepokój.

- Najmniejszy skandal - ciągnęła Harriet, odwracając myśli Randa od zaprzysiężonego wroga - i moja kariera projektantki biżuterii legnie w gruzach. Nie muszę więc chyba mówić, jak bardzo się zmartwiłam, usłyszawszy, iż panna Chadwick wyjechała właśnie z miasta. Nie miałam zatem innego wyboru, jak tylko przyjechać tutaj, by osobiście wręczyć lordowi Dunford oryginalną broszę.

Nie miała wyboru. Niech to diabli! Nie takie były intencje Randa. Chciał jedynie pomóc, uczynić jej życie łatwiejszym, a nie jeszcze bardziej je skomplikować. Jak powinien się zachować?

A teraz - mówiła dalej panna Wilson, ponownie przerywając tok jego myśli - mimo iż wolałabym uniknąć spotkania z człowiekiem o reputacji lorda Dunford, muszę jechać do jego domu myśliwskiego.

To oświadczenie zadziwiło Randa.

- Nie chce pani poznać lorda Dunford?

- Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym chcieć? Z tego, co o nim słyszałam, od momentu powrotu do Anglii i odziedziczenia tytułu zajmuje się jedynie hazardem i wstawianiem różnymi ekscesami. Z całą uczciwością, czy któreś z tych osiągnięć zachęciłoby pana do poznania takiej osoby?

Na szczęście było to pytanie retoryczne, Harriet nie liczyła na odpowiedź.

- Ale niestety muszę się z nim zobaczyć, bo nie odetchnę z ulgą, zanim nie wręcę tej małej broszki Nieprzyzwoitemu Lordowi.

„Nieprzyzwoity Lord.” Rand słyszał już wcześniej to określenie, i mimo że oddawało całą prawdę o jego osobie, nie sprawiło mu przyjemności usłyszenie go z ust Harriet Wilson. Z jakiegoś powodu nie chciał, by myślała o nim źle, nawet jeśli nie wiedziała, kim naprawdę jest.

- Jeśli to pani odpowiadało, mogę dostarczyć tę broszkę jego lordowskiej mości. Tak się szczęśliwie składa, że goszczę w jego myśliwskim domu.

- Mieszka pan tam? - Dziewczyna wyrzekła to pytanie tak, jakby słowa dławily ją w gardle. - Nie miałam pojęcia, że jest pan przyjacielem lorda Dunford! Gdybym wiedziała, nie mówiłabym o nim w tak niegrzeczny sposób. Proszę mi wybaczyć!

- Nie musi pani przeproszać. Proszę mi wierzyć, nie powiedziała pani niczego, o czym wszyscy by nie wiedzieli.

- Wiem, ale i tak nie powinnam była odzywać się w ten sposób. Przebyłam tyle mil jedynie po to, by chronić własną reputację, a wypowiadam się o lordzie Dunford w sposób, w jaki nigdy bym nie chciała, aby ktoś wyrażał się o mnie. - Westchnęła.. - Musi pan uważać mnie za straszną hipokrytkę. Oceniłam jego lordowską mość jedynie na podstawie pogłosek. Plotek, które równie dobrze mogły zostać zmyślone.

Przez moment milczała, wpatrując się w lekko przykurzony rękaw płaszcza. W końcu popatrzyła na Randa i powiedziała cicho:

- Jeśli lord Dunford jest pańskim przyjacielem, jestem przekonana, że nie może być aż tak zły.

Ta naiwna uwaga zdziwiła Randa. Niewątpliwie był to komplement, mimo że trochę paradoksalny. Gdy zastanawiał się, jak właściwie powinien zareagować na tę niezwykłą ocenę swojej osoby, ponownie został zadziwiony.

- Proszę mi wybaczyć, ale ja nadal nie znam pańskiego imienia. Jego imię. Co powinien teraz zrobić? Jeśli powie prawdę, z pewnością wywoła tym wielką konsternację. Dziewczyna może nawet



nie zechcieć więcej go widzieć, a to była ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył.

Po krótkiej chwili rzekł wreszcie:

- To pani wolała, bym zachował swe imię w tajemnicy.

- Przyznaję, że tak było. Pierwszy raz gdy się spotkaliśmy, nie pozwoliłam się panu przedstawić. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Oboje przebywamy w Kipworth, które jest małym miasteczkiem, a jako że planuję zostać tu przez tydzień, istnieje duża szansa na to, że ponownie się zobaczymy.

- To prawie pewne - wtrącił Rand.

Słyszając to, Harriet uśmiechnęła się, a lord Dunford w jednej chwili postanowił odwlec najdłużej jak się da wyjawienie swojej prawdziwej tożsamości.

- A poza tym - ciągnęła - usłyszawszy tak entuzjastyczny opis kościoła św. Agnieszki, muszę wspomnieć o nim moim kuzynom, a oni z pewnością będą nalegać, byśmy go zobaczyli.

- Czy oni są wielbicielami sztuki?

W odpowiedzi Harriet stłumiła chichot.

- Może nie aż takimi jak pan, sir. W końcu oboje są jeszcze dość młodzi.

- A ile mają lat?

- Miles ma dziesięć, a jego siostra siedemnaście.

-Jeśli tak, to jest coś, co możemy zrobić. Możemy umilić im zwiedzanie kościoła św. Agnieszki obietnicą, że później udamy się do piekarza wyrabiającego najlżejsze ciastka w tym hrabstwie.

Zapewniam panią, że w tym wypadku nie jest to czcza gadanina. Gdy byłem małym chłopcem i miałem ochotę na więcej łakoci, nie kłopotalem żony piekarza, by przyniosła mi dodatkową porcję ciastek. Po prostu chwytalem jedno lub dwa unoszące się w powietrzu.

Harriet próbowała zachować powagę, ale kąci jej ust delikatnie się uniosły, co tylko zachęciło Randa do kontynuowania nalegań.

- Widziałem ten uśmiech. Proszę przyznać, ciekawość nie da pani spokoju, dopóki na własne oczy nie ujrzy pani fruujących ciastek.

Ku jego radości panna Wilson nawet nie starała się odmówić.

- Nie mamy planów na jutro - rzekła. - I bylibyśmy zaszczyceni, gdyby zechciał pan zostać naszym przewodnikiem.

- Cudownie. Czy mogę przyjechać do „Róży i Korony” o jedenastej?

- Oczywiście. Ale teraz już musi mi pan wyjawic swoje imię. Moi kuzyni uznaliby to za co najmniej dziwne, gdybym przedstawiła pana jedynie jako mężczyznę, którego refleks uchronił mnie przed bardzo przykrym wypadkiem.

- Mam na imię Randolph - odparł lord, łudząc się, że takie niedopowiedzenie będzie łatwiejsze do wybaczenia niż kłamstwo.

- A zatem, panie Randolfie - powiedziała Harriet, podając mu rękę - czekam z niecierpliwością na jutrzejsze spotkanie. A tymczasem czy byłby pan tak miły i pomógł mi odciągnąć tego słodkiego osiołka od jabłonek, tak bym mogła kontynuować podróż do domu jego lordowskiej mości?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panno Wilson, by zmusić osła do posłuszeństwa. Obawiam się jednak, że nie ma sensu, aby pani jechała dalej, jeśli tylko pani celem jest wręczeniu broszy jego lordowskiej mości. W tej chwili nie ma go w domu.

Harriet Wilson zamknęła oczy, jakby chciała ukryć malujące się w nich ogromne rozczarowanie.

- Nie ma go tam? Czy jest pan pewien?

- W zupełności.

- Co za człowiek! Czy całe życie mam spędzić na jeżdżeniu za nim?

- Oczywiście, że nie. Jeśli mogę coś zasugerować, czy nie byłoby prościej, gdybym to ja wyjaśnił lordowi Dunford całą sprawę i poprosił go, by odwiedził panią w karczmie.

Kiedy Harriet zastanawiała się nad tą propozycją, dodał jeszcze:

- Wiem na pewno, że codziennie jeździ konno i zboczenie do „Róży i Korony” nie sprawi mu wielkiego kłopotu. Chyba że ma pani ochotę nadal szarpać się z tym upartym osłem. Jeśli sprawia to pani przyjemność, nie śmiem jej pani pozbawiać.

- Pozbawiać mnie przyjemności! Proszę nie żartować. Już wiele razy mówiono mi, że jestem uparta, ale w porównaniu z tym pożeraczem jabłek jestem uosobieniem łagodności. Co więcej, zaryzykuję twierdzenie, że im mniej czasu spędzę w jego towarzystwie, tym lepszy będę miała humor.

Następnie, obdarzywszy Randa słodkim uśmiechem, dodała:

- Dziękuję za wstawiennictwo w mojej sprawie u lorda Dunford.  
To bardzo miło z pana strony.

Zmieszany zarówno własną dwulicowością, jak i niezasłużoną wdzięcznością dziewczyny, Rand już chciał wyznać prawdę.

- A może - spróbował... - może ja mógłbym dostarczyć broszkę zamiast pani, panno Wilson. Oczywiście, jeśli darzy mnie pani wystarczającym zaufaniem...

- To nie jest kwestia zaufania!

Harriet nigdy w życiu nie była tak speszona. Zabrała tego mężczyznę do swego domu. Stała przed nim w samej nocnej koszuli i szalu. Nawet pozwoliła mu się pocałować. A teraz, kiedy on uratował jej życie, ryzykowała, że go obrazi. A wszystko przez to, że chciał osobiście wręczyć broszkę jego lordowskiej gości.

Zanim zdążyła wymyślić jakiś powód odmowy, Randolph rozwiązał jej problem, ponawiając obietnicę przekazania wiadomości lordowi Dunford.

- A gdy już to uczynię, panno Wilson, nie pozostanie mi nic innego, jak tylko spędzić resztę dnia na oczekiwaniu jutrzejszych przyjemności, kiedy to zabiorę panią i pani kuzynów na zwiedzanie Kipworth.

Rand nie kłamał, mówiąc, że spotkanie będzie dla niego prawdziwą przyjemnością. Mimo iż niewielu by uwierzyło, że Nieprzyzwoity Lord może zechcieć się fatygować i dotrzymać towarzystwa dwojgu dzieciakom i kobiecie nie pierwszej już młodości, jemu samemu ten pomysł coraz bardziej się podobał.

- Jak sądzisz, co atrakcyjnego można by pokazać osobom chcącym zwiedzić Kipworth? - zapytał brata, przerywając trwające od początku kolacji milczenie.

Burton podniósł głowę znad talerza, jednak posepny wyraz jego twarzy się nie zmienił.

- Jakim osobom?

- Pewnej damie - odparł Rand po krótkiej chwili wahania.

- Masz na myśli jedną ze swoich kochanek? Zabierz ją do karczmy i porządnie upij. To powinno ci ułatwić sprawę.

- Ta kobieta jest damą - wycedził lord Dunford przez zęby.

- Ach, bardzo przepraszam za mój pochopny osąd - rzekł Burton. Udając znudzonego, podniósł serwetkę do ust i zakrył je, ziewając. - Ktoś mógłby się jednak zastanawiać, jaka dama zgodziła się spędzić czas w twoim towarzystwie.

Rand nie zaszczylił brata odpowiedzią, ale ogarniająca go złość całkowicie odebrała mu apetyt. Miał ochotę odsunąć od siebie talerz, na którym leżała niedojedzona ryba, i natychmiast wyjść. Zamiast tego podniósł dopiero co napełniony przez służącego kieliszek wina i wychylił go duszkiem.

- Czy jej rodzina ma kłopoty finansowe? - spytał Burton. - Kiedy rodziny wpadają w tego rodzaju tarapaty, często się zdarza, że córka poświęca się dla wyższych celów i łąpie bogatego męża. Jeśli tak jest i w tym przypadku, mam nadzieję, że dama ta jest odporna na twe wdzięki. Czy wspomniałeś jej już o Belle Coombs?

- Dość już, ty przeklęty szczeniaku! Dla własnego dobra zważaj na to, co mówisz!

W ciągu ostatnich czterech dni Rand poruszył chyba wszelkie możliwe tematy, usiłując nakłonić brata do podjęcia poważnej rozmowy. Gdyby mu się udało ustanowić jakiś rodzaj przyjacielskiego porozumienia między nimi, być może Burton zaufałyby mu na tyle, by powiedzieć wszystko o braciach Wexham i ich groźbach.

Niestety jak dotąd Rand niczego nie wskórał i jego cierpliwość topniała z każdą chwilą. Poza tym, że się wykąpał, przebrał, a także przestał upijać, Burton nie reagował na żadne prośby brata. Jego uparta odmowa wyzbycia się chowanych przez dwanaście lat uprzedzeń i uraz przywodziła Randowi na myśl osła panny Wilson.

Postanowił jednak spróbować po raz ostatni.

- Dama, o której mowa, oraz jej dwoje kuzynów przyjechali do Kipworth na tygodniowe wakacje. Zaoferowałem się pojechać z nimi do kościoła św. Agnieszki, ale wydaje mi się, że normańska świątynia nie za bardzo zainteresuje dziesięcioletniego chłopca.

Wybuch śmiechu utwierdził Randa w przekonaniu, że jego wysiłek znów były daremny.

- Nie jesteś wiele starszy od tego chłopca, Burtonie, nie wspominając już o tym, że lepiej wiesz, jak miasteczko zmieniało się w ciągu ostatnich kilku lat. Miałem nadzieję, że coś mi doradzisz. Może choć na chwilę zapomnisz o niechęci do mojej osoby. Tylko na tyle, by odpowiedzieć na kilka pytań.

Młodzieniec odsunął energicznie swój talerz, po czym dał znak służącemu, by napełnił jego kieliszek. Niestety, na prawie niezauważalny gest lorda Dunford, sługa udał, że niczego nie widział, i odwrócił wzrok do ściany.

- Do diabła! Nie pozwolę się traktować jak dziecko.

- W takim razie nie zachowuj się jak dziecko. Słyszac zdecydowanie w głosie brata, Burton położył łokcie na stole, oparł brodę na dłoniach i zaczął tępo wpatrywać się w pusty kieliszek.

- Zabierz ich na pole bitwy kolo Bosworth. Mali chłopcy na ogół lubią takie miejsca - powiedział po chwili.

Ta sugestia, mimo że wypowiedziana gburowatym tonem, była bardzo trafna i złagodziła trochę gniew Randa.

- Zupełnie zapomniałem o Bosworth. Dziękuję ci. Porozmawiam o tym jutro z moją znajomą.

- Problem w tym, że dla niej taka wycieczka będzie śmiertelnie nudna. Tam nie ma nic oprócz pustego pola. Jednak jeśli przypomnisz sobie kilka cytatów z „Ryszarda III” Szekspira i wyszepczesz jej do ucha, na pewno będzie zachwycona. Kobiety lubią takie rzeczy.

Rand sam nie wiedział, co go bardziej rozśmieszyło. Czy porady dziewiętnastoletniego młokosa w kwestii oczarowywania płci pięknej, czy też pomysł, by szeptać Harriet Wilson do ucha kawałki dramatów Szekspira. W każdym razie ukrył rozbawienie, nie chcąc kończyć rozmowy, która zdawała się być początkiem rozejmu.

- Jeśli dobrze pamiętam, pole bitewne znajduje się jakieś pięć, sześć mil stąd. Myślę, że na taką podróż najodpowiedniejsze byłoby lando. Gdzie mógłbym je wypożyczyć?

Burton wzruszył ramionami, jakby był już znudzony tematem.

- W naszej stajni znajduje się taki powóz. Jest stary, ale jeszcze nadaje się do użytku. Jeśli każesz go wyczyścić, powinien być dobry na jutrzejszą wyprawę.

- Świetnie. A co z posiłkiem? Czy w pobliżu jest jakaś godna polecenia gospoda? Taka, w której panie mogłyby się odświeżyć?

- Jest, ale nie mogę teraz przypomnieć sobie jej nazwy. Może powinienem pojechać z tobą i pokazać ci to miejsce?

W tym samym momencie Burton ugryzł się w język. Co, do licha, przyszło mu do głowy, by składać tak idiotyczne propozycje? Wycieczka do Bosworth zajmie przecież większą część dnia, zaś ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było spędzanie czasu w towarzystwie Randa. A sądząc po badawczym spojrzeniu starszego brata, on również nie był zachwycony tym pomysłem.

- Dziękuję ci - odparł. - Jestem jednak przekonany, że sam znajdę to miejsce. Poza tym paniom nie byłoby wygodnie, gdyby w landzie siedziało więcej niż cztery osoby.

Aha! Burton słusznie odgadł, iż brat nie miał ochoty na jego towarzystwo, lecz to tylko podsyciło jego ciekawość.

- W stajni jest pod dostatkiem wierzchowców, mogę pojechać konno.



- Może innym razem - rzucił Rand, wpatrując się w małą plamkę na białym adamaszkowym obrusie. -W każdym razie dziękuję za propozycję.

Nagle wstał, odłożył na stół serwetkę, podziękował za towarzystwo przy posiłku i wyszedł z jadalni. Było jasne, że chciał jak najszybciej zakończyć dyskusję na temat jutrzejszej wyprawy.

Jego zachowanie bardzo zaintrygowało Burtona. Z jakiegoś powodu jego brat nie chciał zdradzić mu nazbyt wiele szczegółów. Jedynym sensownym wyjaśnieniem było to, że nie chciał, by Burton spotkał tajemniczą damę.

Właściwie trudno było dociec dlaczego, zwłaszcza jeśli to w istocie była dama. Nie żeby Burtona to specjalnie obchodziło, ale nagle postanowił, że żadna siła nie powstrzyma go od wybrania się jutro do miasteczka. Perspektywa rozzłoszczenia, a może nawet wprawienia w zakłopotanie starszego brata, którego postęпки okryły hańbą nazwisko Dunfordów, wydała mu się wręcz fascynująca.

- Świetny pomysł - wymamrotał, zadziwiając służącego, który podsunął tacę z owocowym ciastem z kruszonką i kremówkami. - Nie, nie - zaprotestował Burton, odsuwając tacę. Nie chciał nawet małego kawałka. Deser wcale go nie interesował. Uśmiechając się do siebie, odsunął krzesło i wstał.

- To może okazać się całkiem interesujące - rzekł, nie zważając na to, że ktoś może go usłyszeć. - W końcu minął już rok, odkąd ostatni raz byłem w kościele św. Agnieszki.

## Rozdział 6

Następnego ranka, kiedy trójka kuzynów spożyła już śniadanie w prywatnej jadalni, Harriet poinformowała karczmarza, że oczekuje gościa.

- Ma na imię Randolf. Czy mógłby pan przysłać kogoś do pokoju pana Milesa, kiedy pan Randolf się tutaj pojawi?

- Oczywiście, panno Wilson.

Podziękowawszy gospodarzowi, Harriet ruszyła do swego pokoju po kapelusz i rękawiczki. Nie zdążyła jednak nawet wejść na schody, gdy ktoś delikatnie poklepał ją w plecy.

- Przepraszam.

Harriet była przekonana, że coś zgubiła.

- Tak? - spytała przeciągle.

- Panna Wilson?

Dama, która przed chwilą przybyła do karczmy, miała na sobie niebieski podróżny kostium z jedwabiu, który najpewniej wyszedł spod igły jednego z najlepszych londyńskich krawców. Jednak nawet znakomicie skrojony strój nie mógł ukryć faktu, że kobieta była nieprzeciętnie wysoka i chuda. Mogła mieć około trzydziestu pięciu, czterdziestu lat. Mimo że praca zmuszała ją do kontaktów z najprzeróżniejszymi ludźmi, Harriet była całkowicie pewna, że owej damy nigdy przedtem nie spotkała.

Zawsze gotowa przyjąć nowe zamówienie na biżuterię, szczególnie od kogoś, kogo prywatny powóz właśnie był odprowadzany na tyły karczmy, dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

- Dzień dobry pani. Proszę mi wybaczyć, ale czy my się znamy?

- Ależ nie - odparła przybyła, potrząsając głową, co spowodowało falowanie barwionych na złoto perkozich piór, które zdobiły rondo jej niebieskiego, jedwabnego kapelusza. - Nigdy się nie spotkałyśmy, panno Wilson. Właściwie to powinnam przeprosić, że zaczepiam panią w tak niestosowny sposób.

Na chwilę elegancki powóz kobiety, jej drogi ubiór i okalające twarz, pięknie upięte loki zmyliły Harriet. Uznała, że nieznajoma należy do wyższych sfer i najprawdopodobniej wraca do Londynu ze swej wiejskiej posiadłości. Być może jest bogata. Jednak akcent z Yorkshire zdradził, że jakakolwiek jest jej tożsamość, to bez wątpienia osoba ta nie należy do dobrego towarzystwa.

- Bardzo przepraszam, ale przez przypadek usłyszałam pani rozmowę z karczmarzem - wyznała nieznajoma. -Gdy wspomniała pani o sir Milesie, stwierdziłam, że muszę z panią porozmawiać i dowiedzieć się, czy chodzi o sir Milesa Gwynna, młodego dżentelmena, którego wujem jest pan Frederick Gwynn?

Kobieta wydawała się otwarta i szczerą, ale Harriet już dawno nauczyła się, że ludzie nie zawsze są tacy, na jakich wyglądają. Dlatego też zdecydowała się odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

- Czy zna pani Fredericka Gwynna?

- Miałam przyjemność go poznać, proszę pani. Pan Gwynn i ja spotkaliśmy się w mieście kilka tygodni temu. W ogrodach Vauxhall.

- W Vauxhall? - powtórzyła Harriet wciąż niepewna, jak ma się zachować. - Czy pan Gwynn dobrze się miewa?

- Całkiem dobrze, proszę pani. Zresztą już wkrótce sama się pani będzie mogła o tym przekonać. Tak się składa, że mam podstawy przypuszczać, iż pan Gwynn zatrzyma się w tej karczmie. Jutro lub pojutrze.

Frederick Gwynn tutaj? W „Róży i Koronie”? Harriet przeklinała go w duchu za mało trafny wybór chwili.

Z pewnością przebywał w mieście od tygodni i nawet nie pofatygował się, by odwiedzić swoich bratanków i zobaczyć, jak się miewają. A teraz musiał się pojawić w Kipworth, właśnie w tym samym miejscu, co oni.

Jako szwagier jej ciotki, Frederick Gwynn w zasadzie nie był żadnym krewnym Harriet i nie mógł mieć wpływu na jej postępowanie. Był jednak wujem i prawnym opiekunem Milesa i Anny. Nigdy co prawda nie korzystał ze swych praw, co jednak będzie, jeśli przyjdzie mu taka ochota i zacznie nalegać, by Harriet natychmiast zabrała kuzynów z powrotem do Londynu?

Jeszcze wczoraj nie miałyby mu tego za złe. W końcu przyjechała tu załatwić tylko swoje sprawy i nie zamierzała tracić czasu na przyjemności. Jednak dwadzieścia cztery godziny temu nie wiedziała jeszcze, że w pobliżu przebywa pan Randolf. Nawet się nie domyślała też, jaką radość jej przyniesie możliwość odnowienia

znajomości z tym wysokim, przystojnym dżentelmenem, którego uwodzicielski uśmiech i sposób bycia sprawiały, że jej serce biło tak, jakby należało do psotnego uczeniaka.

- I z powodu przyjazdu pana Gwynna ja również postanowiłam zatrzymać się tutaj - oświadczyła kobieta.

Na te słowa Harriet nagle ocknęła się z zamyślenia. Musi koniecznie porzucić marzenia o panu Randolfie, a także przestać rozkoszować się perspektywą spędzenia w jego towarzystwie kilku najbliższych godzin.

- Proszę wybaczyć, ale chyba się zadumałam. Czy byłaby pani tak miła i powtórzyła to, co przed chwilą powiedziała?

- Powiedziałam, iż zatrzymałam się w „Róży i Koronie” tylko po to, by pozwolić panu Gwynnowi nadrobić czas i mnie dogonić.

To ostatnie stwierdzenie wręcz odjęło Harriet mowę.

- Dogonić panią? Kobieta skinęła głową.

- Mam wszelkie podstawy przypuszczać, że jedzie on na północ tylko w jednym celu, a mianowicie, by poprosić mego ojca o moją rękę.

Harriet nie dała poznać po sobie zaskoczenia. Z trudem jednak przyszło jej wyobrazić sobie tę energiczną kobietę jako żonę człowieka, którego intelekt i siła charakteru były raczej mierne, i którego jedynym powodem do dumy mógł być nieskazitelnny gust, jeśli chodzi o dobór koszul.

- Wiem, co sobie teraz pani myśli, panno Wilson.

- Naprawdę?

- Myśli pani, że muszę się mylić co do intencji pana Gwynna. Znając go tak dobrze, uważa pani niewątpliwie, że mężczyzna z jego pozycją i koneksjami mógłby zdobyć każdą młodą pannę, której by zapragnął.

- Zapewniam panią, że nic takiego nie przeszło mi przez myśl.

Gdyby Harriet miała w zwyczaju dzielić się swymi poglądami z innymi, nie omieszkałaby zauważyć, że Frederick Gwynn zbliża się do czterdziestki i staje się coraz bardziej otyły. Co więcej jako młodszy z braci nie odziedziczył żadnego majątku ani tytułu, a jedynie małą sumkę na własne utrzymanie. W konsekwencji jego kieszenie były prawie zawsze puste. Dla rodziców nawet najmniej atrakcyjnych młodych dziewcząt mężczyzna w wieku i sytuacji finansowej Fredericka Gwynna z pewnością nie był wymarzoną kandydatem na zięcia.

- Nie chcę opowiadać pani jakiś niestworzonych historii, panno Wilson. Nie umiem kłamać i jeśli pani pozwoli, będę z panią całkowicie szczerą. - Nie oczekując nawet odpowiedzi, kobieta mówiła dalej: - Zrozumie pani zapewne zainteresowanie pana Gwynna moją osobą, gdy dowie się pani, iż moim ojcem jest Homer Shaw, właściciel dwóch dobrze prosperujących kopalni węgla.

A więc tu tkwi istota sprawy!

- Tata jest wdowcem, a ja jestem jego jedynym dzieckiem. Mój posag przekracza sumę dwudziestu tysięcy funtów, a jako że jestem jedyną spadkobierczynią, pewnego dnia stanę się bardzo bogatą kobietą.

- Och, to bardzo... bardzo miło.

Harriet nie mogła uwierzyć, że prowadzi taką rozmowę. I to jeszcze z zupełnie nieznaną kobietą! Mimo że pracowała w kupieckim fachu, była dość zaskoczona tymi przesadnie szczerymi wyznaniem na temat finansów. Prawdziwa dama nigdy by nie dyskutowała o pieniądzu poza zaciszem swego domu. Jednak nawet jeśli panna Shaw zdawała sobie sprawę z popełnionej gafy, nie dała tego po sobie poznać.

- Tak naprawdę, panno Wilson, ja i pan Gwynn bardzo dobrze się rozumiemy, a on odnosi się do mnie jak prawdziwy dżentelmen. Jest jednak człowiekiem mało zdecydowanym i pomyślałam, że może lepiej będzie, jeśli spędzimy kilka dni razem, zanim pojedziemy do mego ojca. Pomogę mu podjąć właściwą decyzję, zanim dotrzemy na miejsce.

Harriet była kompletnie zaskoczona wyznaniem kobiety, więc jedynie patrzyła na nią w milczeniu. Na szczęście panna Shaw nie zdawała się oczekiwać z jej strony jakichkolwiek komentarzy.

- Jako że Frederick jest dżentelmenem, wierzę, że nigdy by nie złamał raz danego słowa. Jak tylko założę na palec pierścienek zaręczynowy, nie będzie odwrotu. Nieważne, czy mój ojciec będzie się gniewał i próbował odwieść go od tego zamiaru.

Odwieść go od tego zamiaru? Harriet nie mogła uwierzyć własnym uszom. Może panna i jest dziedziczką fortuny Shawa, lecz nie zalicza się do piękności i przeżywa już drugą, jeśli nie trzecią



młodość. Być może Frederick Gwynn nie ma majątku, ale posiada wykwintne maniery i jest przyjmowany we wszystkich salonach.

Ludzie z wyższych sfer dobrze rozumieją potrzebę napełnienia pustych rodzinnych szkatulek i z pewnością nie potępiliby Fredericka za wybór takiego sposobu osiągnięcia wypłacalności. Nie byłby zresztą jedyną stroną, która skorzystałaby na tym mariażu. Związek z mężczyzną o jego pozycji otworzyłby pannie Shaw drzwi do najlepszego towarzystwa i zapewnił akceptację, jakiej nie mogłaby uzyskać w żaden inny sposób. Nie, Harriet nie wierzyła, że ojciec tej kobiety mógłby nie dostrzec wszystkich tych korzyści.

- Mój ojciec jest najlepszą osobą pod słońcem, ale przy całej swojej dobroci jest też bardzo stanowczy. I - dodała panna Shaw nieco konspiracyjnym tonem - ma trochę mylne przekonanie o mojej urodzie. Wysłał mnie do stolicy, instruując, abym przywiozła z powrotem jakiegoś lorda albo księcia.

Harriet o mało nie wybuchnęła śmiechem. Księcia! Od czasów słynnych sióstr Gunning, słynących z niepospolitej piękności, jeszcze żadnej kobiecie z niższej sfery nie udało się uwieść księcia.

- Zapewne wie pani - mówiła dalej panna Shaw - że nie ma aż tak wielu książąt i lordów do wyboru, nawet dla kobiety o posagu dwudziestu tysięcy funtów i przyszłej spadkobierczynie ogromnej fortuny, co czyni związek ze mną jeszcze bardziej atrakcyjnym. Poza tym od razu polubiłam pana Gwynna. Zawsze jest taki wytworny i ani trochę nienapuszony. W końcu jest dżentelmenem, synem, bratem i



wujem lorda. I przy tym wszystkim - dodała, wygładzając dłonią w rękawiczce niebieską narzutkę - ma doskonały gust.

Przynajmniej z tym jednym stwierdzeniem Harriet mogła się zgodzić.

- To pan Gwynn przedstawił mnie w zakładzie krawieckim Madame Ezelle, a potem pomógł wybrać większą część mojej nowej garderoby.

Panna Shaw zamilkła na chwilę, a Harriet zorientowała się, że kobietą oczekuje od niej jakiegoś komentarza.

- To bardzo miło z jego strony, proszę pani. Bardzo miło.

- Mój ojciec uważa, że to jednak szata zdobi człowieka. Nie jestem żadną piękną panną Wilson, i dobrze o tym wiem, ale pan Gwynn od naszego pierwszego spotkania dostrzegł we mnie coś więcej. Coś, co spodobało mu się na tyle, by kontynuować naszą znajomość.

To pewnie te dwadzieścia tysięcy funtów tak mu się spodobało, pomyślała Harriet, ale miała na tyle taktu, by głośno tego nie powiedzieć. W obawie, że może jej się wymknąć coś niestosownego na temat Fredericka Gwynna, skierowała rozmowę na neutralny grunt.

- Czy jest coś, co chciałaby pani przekazać Milesowi? Może coś na temat jego wuja?

- Tylko tyle, że jego wuj lada chwila się tu zjawi i, czego jestem pewna, ucieszy się, mogąc spotkać swego bratanka i bratanicę. Mimo że, prawdę powiedziawszy, będzie chyba bardzo zdziwiony, kiedy was tutaj zobaczy.

Harriet nie miała co do tego wątpliwości. Pozostawała tylko nadzieją, że jego zdziwienie nie będzie aż tak wielkie, by odesłał ich z powrotem do Londynu.

- Wydaje mi się jednak, że nie poruszyła pani jeszcze sprawy, którą tak naprawdę chciała pani ze mną przedyskutować - rzekła Harriet przeczuwając, że wysoka dama ma jeszcze coś do powiedzenia.

Panna Shaw po raz pierwszy lekko się zmieszła.

- Jestem szczerą osobą, panno Wilson, powiem zatem bez ogródek. Mam nadzieję, a raczej modłę się o to, by ani pani, ani pan Miles czy jego siostra nie nastawiali pana Gwynna przeciwko mnie. Moją pasją jest uprawianie ogrodu i to zajęcie zabiera mi większą część dnia. I mimo że nigdy nie jestem bardziej szczęśliwa, niż w chwili kiedy mogę się zająć pielęgnacją roślin, czy też kiedy w zaciszu szklarni pracuję nad ich nowymi krzyżówkami, to przecież to nie wszystko. Chciałabym mieć męża, i to jeszcze dopóki nie jestem zbyt stara, by dać mu potomstwo.

Nagle spuściła wzrok.

- Proszę wybaczyć, panno Wilson, że opowiadam pani o tym wszystkim.

- Ależ nie musi pani za nic przeproszać.

- Może lepiej zrozumie pani moją determinację, by zatrzymać tu pana Gwynna do czasu, aż się ostatecznie zdeklaruje, jeśli wyznam, że ojciec mój odrzucił już dwie propozycje małżeństwa. Były to jedyne

oferty, jakie do tej pory miałam, lecz jemu zależy na takim mężu, który mógłby mnie wprowadzić w najwyższe sfery towarzyskie.

Kobieta przesunęła wzrok i spojrzała Harriet w oczy.

- Z całą szczerością, dostanie się do lepszego towarzystwa nigdy nie było moją własną ambicją. Nigdy. A zatem nie musi się pani obawiać, panno Wilson, że będę panią nękać i prosić, by mnie pani gdzieś ze sobą zabierała i przedstawiała wpływowym osobom.

Bardziej zakłopotana, niż jej się wydawało, że mogła być, Harriet zapewniła kobietę, że jej opinia aż tak bardzo nie liczy się w towarzystwie.

- A co do nastawiania pana Gwynna przeciwko pani, ma pani moje słowo, że w tej kwestii nie będę wyrażać żadnej opinii. Nie mogę oczywiście ręczyć za Annę i Milesa, ale jak pani sama się przekona, oboje są miłymi i prostolinijnymi dziećmi. Jestem przekonana, że nie zrobią nic przeciwko dobru ich własnego wuja.

Na całe szczęście tę niecodzienną rozmowę przerwał przyjazd pana Randolfa. Mężczyzna stanął w drzwiach karczmy i czekał, aż Harriet sama go zauważy.

I w końcu zauważyła! Nawet gdyby nie widziała go zsiadającego z konia i podającego uzdę czekającemu już stajennemu, wiedziałaby dobrze, że jest gdzieś w pobliżu. Podpowiedziałyby jej to przyśpieszone bicie serca.

Był jeszcze przystojniejszy, niż go zapamiętała. Wysoki, w doskonale dopasowanym, ciemnozielonym surducie i kremowych bryczesach prezentował się wręcz doskonale, że aż miała ochotę mu to

wyznać. Zdawała sobie jednak sprawę, że dając wyraz swej radości i zachwytowi, mogłaby go nieco speszyć i sprawić, że pożałowałyby propozycji towarzyszenia im przez całe popołudnie. Skinęła więc jedynie w jego stronę.

- Za chwilę będę gotowa, proszę pana. Muszę tylko pójść po kapelusz.

- Och! - Panna Shaw patrzyła zdziwionym wzrokiem to na Harriet, to na Randolfa. - Widzę, panno Wilson, że jest pani umówiona, nie będę zatem dłużej pani zatrzymywać.

Harriet odpowiedziała coś pośpiesznie, bez ładu i składu, po czym szybko przeprosiła i udała się schodami na górę. Już miała wejść w ciasny, ciemny korytarzyk prowadzący do jej sypialni, kiedy usłyszała głos panny Shaw. - Witam pana, lordzie.

- Witam - odparł Randolf.

Litując się w duchu nad panną Shaw, Harriet pomyślała, że może to i lepiej, iż córka właściciela kopalni nie próbuje na siłę dostać się do lepszego towarzystwa. Szczególnie jeśli nie ma nawet na tyle rozeznania, by zwykłego pana nie nazywać lordem.

Trasa krótkiego spaceru, jaki cała czwórka odbyła z „Róży i Korony” do kościoła św. Agnieszki, wiodła obok zielonych łąk, gdzie pasło się mnóstwo owiec, a następnie uliczką, przy której znajdowała się piekarnia, zakład krawiecki oraz wytwórnia rękawiczek Simpsona, jak głosił szyld. Obie panie nie były zbyt zdziwione, że podczas całej przechadzki Miles zasypywał wszystkich najróżniejszymi

pytaniem. Zaskakujące natomiast było bezwarunkowe uwielbienie, jakie chłopiec okazywał panu Randolfowi.

Spragniony męskiego towarzystwa, Miles nie opuszczał dżentelmena od chwili, gdy Harriet ich sobie przedstawiła. Kiedy przeszli już obok zakładu rymarskiego i mijali sklep rzeźnicki, nad którego wejściem wisiały w celu zachęcenia klientów cztery tłuste kaczki, chłopiec zaczął wypytywać o mieszkańców Karaibów.

- Czy są oni niebezpieczni, proszę pana?

- Wyspiarze? Nie, skądże znowu - odparł Rand. Lecz słysząc jęk zawodu chłopca, dodał pośpiesznie: - Ale oczywiście trzeba bardzo uważać na piratów, którzy kręcą się po okolicy.

- Piraci! Czy to prawda, proszę pana?

- Oczywiście. Spacerując po plażach, można dostrzec Jolly Rogera rysującego się na horyzoncie, czarną flagę z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, która dumnie powiewa na wietrze. Tam zazwyczaj wieją pasaty. Chyba uczyłeś się w szkole o pasatach, co?

- Tak naprawdę to niezbyt wiele, proszę pana, ale postaram się nadrobić te braki, jak tylko wrócimy do domu.

- Cieszy mnie to, co mówisz, mój chłopcze. Posiadanie takiej wiedzy jest w dzisiejszych czasach koniecznością. -A znizywszy głos prawie do szeptu, dodał: - Prawdziwy mężczyzna nigdy nie wie, kiedy takie informacje okażą się decydujące dla jego życia lub śmierci.

- Życia lub śmierci - powtórzył Miles, a w jego głosie dało się wyczuć strach.

Harriet z trudem kryła uśmiech. Słyszała oczywiście, że piraci często znajdowali schronienie na wyspach, wątpiła jednak, by ich przerażający znak był tak łatwy do zauważenia. Mimo wszystko wdzięczna była panu Randolfowi, iż udało mu się w tak zręczny sposób wzbudzić zainteresowanie Milesa, a zwłaszcza skierować rozmowę na jego edukację.

Panie szły przodem, kierując się ku odległej iglicy kościoła, która służyła im za drogowskaz. Jako że szerokość chodnika nie pozwalała na to, by obok siebie mogły iść więcej niż dwie osoby, panowie zdecydowali się podążać za nimi, byli jednak na tyle blisko, że Harriet mogła słyszeć tysiące pytań, jakimi sypał jej mały kuzyn.

- Jak długo mieszkał pan na Karaibach, sir?

Mimo że Harriet wydało się, iż słyszy nutkę rezerwy w głosie mężczyzny, gdy opowiadał o swoim pobycie na Barbados, nie było to z pewnością rozdrażnienie wywołane ciekawością Milesa. W istocie pan Randolf wykazywał się wyjątkową cierpliwością, jakby rozumiał naturalną potrzebę chłopca przebywania w towarzystwie starszego mężczyzny, Harriet nie potrafiła jednak określić, co właściwie oznacza ta wyrozumiałość.

Trudno jej też było wyrazić ulgę, jaką poczuła tego ranka, jeszcze w karczmie, gdy przedstawiła swemu znajomemu kuzynkę Annę.

Jak na złość, Anna Gwynn wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Miała na sobie dopasowaną żółtą, muślinową suknię, która doskonale podkreślała jej zgrabną figurę, oraz cygański kapelusz,

spod którego niewinnie wyglądały śliczne loki. Podobnie jak jej brat dziewczyna nie mogła się wręcz doczekać wycieczki, czego dowodziły jej błyszczące z podniecenia oczy, które nie mogły kojarzyć się z niczym innym, jak tylko dwoma bezcennymi szafirami. Nawet Miles dostrzegł wyjątkową urodę siostry, wyrażając nadzieję, iż nie wszyscy mężczyźni będą się za nią oglądać.

Pan Randolph, jak inni przedstawiciele jego płci, na widok Anny zaniemówił na chwilę. Lecz ku niewymownej uldze Harriet skinął tylko grzecznie głową w jej kierunku, podał rękę bratu po czym, zwracając się do kuzynki dziewczyny, rzekł:

- Ta młoda dama nie pozostanie długo na małżeńskim rynku.
- Owszem - zgodziła się Harriet. - Jest bardzo piękna.
- Co tu kryć - dodał tonem, który Harriet poraził - jest po prostu jak z obrazka. Jak diament najlepszego szlif. Uroda wprost trudna do opisanania.

Harriet niemal przestała oddychać, a było to pierwsze uderzenie zazdrości. Musiała wiele razy przełknąć ślinę, by rozluźnić ściśnięte gardło. Zaczęła się też zastanawiać, jak zdoła wytrzymać cały dzień, jeśli pan Randolph dołączy do grona adoratorów Anny.

- Jest ideałem piękna - ciągnął. - Nie ma co do tego wątpliwości.
- Jednak dostrzegłszy ból w oczach Harriet, lekko się skłonił i cicho, tak, by tylko ona mogła to dosłyszeć, powiedział: - Uczciwość wszak nakazuje mi przyznać, że dla mężczyzny w moim wieku ideał mógłby się okazać męczący.

Nagle w cudowny sposób Harriet wrócił dobry humor.

- W pańskim wieku? - powtórzyła. - Nie sądziłam, że jest pan aż tak wiekowy, sir.

- Oczywiście, że jestem, panno Wilson. I dlatego kobieta przebywająca w moim towarzystwie również powinna posiadać jakąś wadę.

- Wadę?

- Tak, a najlepiej dwie.

Uwodzicielski ton Randolfa sprawił, że Harriet na nowo ogarnęła radość, jaką wcześniej odczuwała na samą myśl o spędzeniu dnia w jego towarzystwie.

- Jeśli mogę spytać, sir, jaki rodzaj wad pan preferuje? Rand milczał przez chwilę, jakby poważnie zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Przychodzi mi na myśl wiele możliwości, ale sądzę, że podobałyby mi się mordercze instynkty. Właściwie to nawet znam jedną kobietę o takiej skazie. Lubi jeździć powozem zaprzężonym w osła.

- Naprawdę?

- I tak się składa - dodał, uśmiechając się w sposób, który spowodował, iż pod Harriet ugięły się kolana - że owa kobieta o morderczych instynktach ma w sobie coś jeszcze bardziej niedoskonałego.

- Czyżby? - Harriet miała nadzieję, że jej głos nie zdradza jej oszołomienia. - Proszę powiedzieć, co to za niedoskonałość?

- Jej uśmiech - odparł Rand. - Jest troszeczkę krzywy?



- Krzywy? To niemożliwe!

- Obawiam się, że możliwe, proszę pani. Jest zdecydowanie krzywy. Z pewnością i pani to zauważyła, gdy za którymś razem znowu zbyt długo przeglądała się w swoim lusterku.

- Zbyt długo przeglądała się w moim... Ależ sir! Musi pan wiedzieć, że nie jestem tak zarozumiała, by...

Wyrzekłszy te słowa, zdała sobie sprawę, że właśnie połknęła przynętę, i natychmiast umilkła. Jej rozmówca obdarzył ją wówczas jednym ze swych diabelskich uśmiezków, na co Harriet odpowiedziała swoim równie uwodzicielskim.

- O tak! Właśnie o to mi chodziło! - wykrzyknął. - Prawy kącik pani ust unosi się trochę wyżej niż lewy. Jeśli mogę tak powiedzieć, to perfekcyjna niedoskonałość.

- Perfekcyjna niedoskonałość? Pan wybaczy, sir, ale o ile się orientuję, to jest to oksymoron.

- Moja droga - odparł - proszę nie mówić, że przy tym wszystkim jest pani również intelektualistką. To byłaby już trzecia wada. Ale proszę kontynuować, panno Wilson. Im więcej wad w pani odkrywam, tym bardziej zaczyna mi się to podobać.

Harriet świetnie się bawiła, jednak uznała, że ich tete a tete trwa już zbyt długo. Zauważyła ciekawskie spojrzenia zebranych w karczmie gości, a nie chcąc stać się tematem plotek na cały dzień, przywołała do siebie swoich kuzynów, decydując, że pora już ruszać w drogę.

- Tak naprawdę - rzekł Randolf, odpowiadając na kolejne pytanie Milesa i tym samym wrywając Harriet z zamyślenia - to podróże morskie wydają mi się najbardziej przyjemne. Ale oczywiście mam doświadczenia tylko jako pasażer. Z tego, co widziałem, życie członków załogi nie należy do najwygodniejszych. A zatem, jeśli chcesz zostać piratem, mój chłopcze, muszę cię przestrzec. Długie tygodnie spędzone na morzu, ciężka praca i kiepskie jedzenie to tylko niektóre niedogodności, jakie trzeba znieść.

- Ależ proszę pana! - zaprotestował Miles, który najwyraźniej nie miał ochoty porzucić swego romantycznego wyobrażenia o życiu na morzu. - Proszę pomyśleć o wszystkich przygodach, które czekają nawet na zwykłego żeglarza.

- Masz rację, mój chłopcze. Czekają go niezliczone przygody. Niezliczone godziny szorowania pokładu. Niezliczone poranki wypełnione opróżnianiem pułapek na szczury. Niezliczone popołudnia spędzone na wybieraniu wody z zęzy. I nie zapomnijmy przy tym, że suchary zawsze pełne są robactwa, a woda do picia pokryta pleśnią. Rzeczywiście, wspaniała przygoda.

Anną wstrząsnął dreszcz, a Harriet, która spożyła dość obfite śniadanie, modliła się w duchu, by Miles zmienił temat na jakiś bardziej przyjazny dla trawienia.

W końcu minęli sklep aptekarza, ostatni na tej ulicy, i zbliżyli się do kamiennego ogrodzenia otaczającego dziedziniec kościoła, więc rozmowa się urwała. Cała czwórka przeszła przez otwartą bramę, po czym ruszyła kamienistą ścieżką ku wejściu do świątyni. Harriet tak

bardzo chciała zobaczyć miedzianą tabliczkę, o której wspominał pan Randolph, a która miała wisieć na prawo od ciężkich, starych drzwi, że prawie zderzyła się ze smukłym młodzieńcem, który nagle wyszedł z kościoła.

- Bardzo przepraszam, sir!

- To moja wina - rzekł mężczyzna. - Obawiam się, że powinienem był bardziej uważać... - Nieoczekiwanie zamilkł, ujrawszy Annę Gwynn. Mogło się wydawać, że wręcz skamieniał.

A kiedy tak wpatrywał się w dziewczynę z otwartymi ustami i miną człowieka, który stracił władzę nad swoimi zmysłami, nadeszli Randolph i Miles.

- Burton! - wykrzyknął lord Dunford, spoglądając groźnie na młodzieńca. - Co ty tu robisz?

Odzyskawszy wreszcie głos, mężczyzna wyjąkał coś w rodzaju odpowiedzi:

- Ja właśnie, ech.. Rand! To znaczy, co za niespodzianka!

## Rozdział 7

Przekonany, że wzajemna prezentacja jest nieunikniona, Rand postąpił krok do przodu.

- Panno Wilson, panno Gwynn, sir Milesie, czy mogę przedstawić pana Burtona Dunforda? Burton jest bratem mojego przyjaciela i gospodarza.

Jeszcze jedno kłamstwo dodane do wciąż wydłużającej się listy.

Rand przenosił wzrok z brata na pannę Wilson, czekając, które z nich pierwsze zareaguje na wypowiedziane przed chwilą nazwisko jego rzekomego gospodarza. Na szczęście jego brat był tak zapatrzony w Annę Gwynn, że nie zauważył całej dziwaczności sytuacji. Panna Wilson tylko na moment wstrzymała oddech.

W milczeniu przypatrywała się Burtonowi, jakby się zastanawiała, czy ma tak samo okropny charakter jak jego starszy brat. W końcu zdecydowała się dać mu szansę i wyciągnęła rękę.

- Jak się pan miewa, panie Dunford. Pan Randolf był tak miły i zgodził się oprowadzić nas po tym kościele. A pan widział go już może czy też chciałby do nas dołączyć?

Burton ujął podaną mu dłoń i lekko się skłonił. Oprzytomniał na tyle wcześnie, by usłyszeć ostatnie słowa kobiety. Z jej tonu wyczytał zaproszenie, by pójść z resztą towarzystwa, na co przystał bez wahania. W ciągu całego swego dziewiętnastoletniego życia nie widział kogoś równie pięknego, jak Anna Gwynn, i nie miał już teraz

żadnych wątpliwości, co do rzeczywistej przyczyny przyjazdu swego brata do Kipworth.

A więc tak naprawdę wygląda braterska troska!

Mimo iż Burton nie był w stanie odgadnąć, jakie zamiary ma jego brat wobec pięknej damy, było dla niego jasne, że to właśnie o niej wspominał wczoraj wieczorem przy kolacji. Nic dziwnego, że tak bardzo starał się znaleźć coś, co zaciekałoby jej młodszego brata. Niewątpliwie był zainteresowany uroczą panną Gwynn i planował wkraść się w jej łaski przy pomocy tego małego chłopca.

Co prawda dziewczyna była bardzo młoda, zdecydowanie zbyt młoda dla Randa, w wieku stosownym raczej dla dziewiętnastoletniego dżentelmena. Pomijając już jego złą reputację, lord Dunford nie był odpowiednim kandydatem dla tego anioła.

W jednej chwili Burton zdecydował, iż honor rodziny zależy od jego umiejętności pokrzyżowania niemoralnych planów starszego brata, i szybko podsunął młodej damie swoje ramię.

- Czy można, panno Gwynn?

- Oczywiście - odparła, obdarzając go tak słodkim, anielskim uśmiechem, że młodzieniec nagle zaczął się zastanawiać, jak kiedykolwiek mógł być się zakochać w kimś tak mało wyrafinowanym, jak Flo Wexham.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił. Prowadząc piękność do wnętrza starej, cichej świątyni,

Burton musiał wręcz powstrzymywać się od śmiechu. Dobrze wiedział, że trafił swego brata w czuły punkt. Dzięki bystrości zyskał

dla siebie towarzystwo panny Gwynn, zmuszając Randa, by prowadził tę drugą, raczej przeciętnej urody damę.

Ku uldze Randolfa jego brat okazał się zbyt oszołomiony urodą panny Gwynn, by zapamiętać cokolwiek z ostatnio prowadzonej rozmowy. Wizyta w kościele św. Agnieszki przebiegła raczej bez przeszkód. Rand tylko raz musiał szturchnąć brata, by ten nie zdradził jego tożsamości.

- Byłem jeszcze w Eton - odparł Burton na pytanie Anny o to, kiedy stracił rodziców.

- Biedne dziecko - westchnęła, a do jej oczu napłynęły łzy szczerego współczucia. - Jak dobrze, że miał pana wsparcie ze strony brata.

- Właściwie to mojego brata tu nie było. Był wtedy na Barbad... eeech!

- Mury tej budowli pochodzą z czasów normańskich - pospiesznie wtrącił lord Dunford, szybko oddalając się od brata - i zostały wzniesione gdzieś w trzynastym wieku. Przy czym - dodał, wskazując na główną nawę zbudowanego na planie krzyża kościoła - ta część jest saksońska i powstała, jak mi się wydaje, w wieku jedenastym.

Panna Wilson wpatrywała się właśnie w mały, dość mocno zanieczyszczony witraż przedstawiający Ryszarda III obok leżącego konia, lecz słysząc zaimprovizowany wykład Randa, odwróciła się do niego z uśmiechem.

- A więc jednak postanowił pan spróbować swoich sił jako nauczyciel? Proszę nie zapomnieć o rzymskich ruinach. Nie chciałabym, aby nasz przewodnik nie wypowiedział tej uczonej uwagi, zanim opuścimy ów uroczy zabytek.

- No nie! - wymamrotał lord Dunford. - Widzę, że ma pani ochotę przyłapać mnie na jakimś oszustwie.

- Ach nie, skądże znowu. Myślę, że prędzej czy później pan sam zdradzi się ze swą prawdziwą naturą. Bez żadnej pomocy z mojej strony.

Rand zachichotał ujęty jej bystrością. Z każdym spotkaniem towarzystwo Harriet cieszyło go bardziej. W przeciwieństwie do większości kobiet, które znał, była szczerą i prostolinijną, nie miała w sobie cienia fałszu czy dwulicowości. Harriet również podobało się przebywanie z nim - to znaczy ze zwyczajnym panem Randolfem - i wcale nie starała się ukrywać tego faktu.

Rand ze swej strony rozkoszował się tym, że ktoś lubił go za to, jaki jest. Było to dla niego coś nowego. Kiedy wrócił do Anglii, już jako lord Dunford, spotkał się z dwojakim zachowaniem: uniżonym schlebaniem ze strony ludzi, którzy coś od niego chcieli, i całkowitym odrzuceniem ze strony swojego brata.

Zachowanie Harriet Wilson nie pasowało do żadnej z tych kategorii.

Już na samym początku zaofiarowała mu swoją przyjaźń, i to całkiem bezinteresownie. A ponieważ tak wiele czasu upłynęło od momentu, kiedy miał przyjaciela, przyjął jej ofertę z radością. Panna

Wilson była odważna i uczciwa, i inaczej aniżeli on nie pozwoliła przeciwnościom losu pozbawić się tych cech. Rand lubił ją i nie chciał widzieć rozczarowania w jej oczach, kiedy dowie się, że to on jest lordem Dunford.

Chcąc odwlec tę chwilę tak długo, jak to tylko możliwe, uważnie słuchał słów brata, by mu przerwać, jeśli Burton powiedziałby coś, co mogłoby go zdradzić. Na szczęście więcej nie wspomiano o jego lordowskiej mości i dopiero kiedy po wspaniałej herbacie w miejscowej cukierni powrócili do „Róży i Korony”, jego imię padło ponownie.

Stali na dziedzińcu karczmy, ustalając szczegóły wycieczki na pole bitwy koło Bosworth, którą mieli zamiar odbyć następnego dnia, kiedy Rand zwrócił się do Milesa, by ten poprosił stajennego o przygotowanie do drogi jego konia.

- Oczywiście, proszę pana.

Ledwo chłopiec zdążył odejść, Burton spojrzał w górę na mniejszy z napisów nad drzwiami karczmy.

- Na Jowisza! - wykrzyknął. - Jaki to dzień mamy dzisiaj?

- Wtorek - odparła Anna. - Dlaczego pan pyta? Wskazał na napis na tablicy.

- Czy pojutrze mamy czwartek wykładów i deklamacji poezji, czy też spotkania dobroczynnego?

- Chyba spotkania stałych członków - odparła Anna po chwili zastanowienia, uśmiechając się przy tym słodko. - A co by pan wołał, panie Dunford?



- To pierwsze, rzecz jasna. Oczywiście, jeśli pani również by przyszła, panno Gwynn.

Anna spojrzała pytająco na Harriet, ale uwagę kuzynki przyciągnął Miles, który biegł w jej kierunku, trzymając w ręku jakiś list.

- Kuzynko Harriet - wołał, z trudem łapiąc oddech - to dla ciebie.

- Dla mnie. Ale kto...

- Ktoś zostawił u stajennego - wyjaśnił chłopiec. - I musi to być coś ważnego, bo ten dżentelmen dał stajennemu całą gwineę, by być pewnym, iż dostaniesz ten list zaraz po powrocie.

- Gwineę? Tak jak mówisz, musi to być coś ważnego. Ale kto mógł... - Harriet urwała nagle, a z wyrazu jej twarzy można było odczytać wielkie zdenerwowanie nieoczekiwaną przesyłką. Przeprosiwszy wszystkich zgromadzonych, rozdarła kopertę i rozłożyła pojedynczą kartkę papieru.

- Mam nadzieję, że to nic niepokojącego - rzekł Rand.

- Dzięki Bogu nie. Choć przez chwilę bałam się, że to jakieś złe wiadomości z domu. Tymczasem to jest list od lorda Dunford.

- Dunford? - Burton nagle stał się podejrzliwy i spojrzał wprost na Randa. Twarz mężczyzny była jednak jak z kamienia. - Co też mogło przyjść do głowy mojemu bratu, by zostawiać listy u stajennego? Z naszej rozmowy wywnioskowałem, proszę pani, że pani i lord Dunford się nie znacie.

- Ma pan w zupełności rację, sir. Ja i jego lordowska mość nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jak pan może sobie wyobrazić,

obracamy się w zupełnie różnych kręgach i nasze drogi nigdy się nie przecięły.

- Nigdy? Prawdę mówiąc, to trochę dziwne. Przecież świat jest taki mały.

Rand odchrząknął, a potem spojrzał na Burtona tak, jakby chciał powiedzieć, że nie ujdzie mu to na sucho.

- Co za pech - odezwał się - że znowu minęła się pani z lordem Dunford. Czy wspomina może coś o spotkaniu z panią?

Panna Wilson pokiwała głową.

- Pisze, iż bardzo mu przykro, że mnie nie zastał, i prosi, bym to panu powierzyła broszkę, panie Randolfie. A potem jeszcze dodaje, że docenia moją, jak to nazywa, sumienność. Kończy stwierdzeniem, że nie mam powodu więcej niepokoić się tą sprawą.

- Mam nadzieję, że zastosuje się pani do jego sugestii - powiedział Randolf. - Ta głupia broszka zabrała już zbyt dużo pani czasu i energii.

Harriet nie odpowiedziała. Złożywszy list, zapytała jedynie, czy byłby tak miły i zaczekał, aż ona przyniesie broszkę. Rand skinął głową, a Harriet przeprosiła wszystkich i udała się pośpiesznie na górę. Po kilku minutach powróciła, niosąc małą sakiewkę z czarnego aksamitu, którą wręczyła Randowi.

Dotykając delikatnie ciepłymi palcami jego dłoni, wyszeptała cicho:

- Czy zrobi pan coś dla mnie, przyjacielu?
- Cokolwiek, o co pani poprosi.

- Może to zabrzmie głupio, ale dla spokoju mojego sumienia, czy mógłby pan dostarczyć broszkę lordowi Dunford do rąk własnych?

- Proszę uważać to za załatwione, panno Wilson.

Opuściwszy karczmę, przez większą część drogi do domu myśliwskiego lord Dunford jechał wolno na swym kasztanku. Miał nadzieję, że jego brat pogalopuje do przodu, Burton jednak z jakiegoś powodu jechał tak samo wolno jak on. W tym momencie miał chociaż tyle przyzwoitości, by nie zadawać zbędnych pytań.

Rand potrzebował spokoju, by poukładać swoje myśli -myśli, w których delikatnie mówiąc panował chaos. Od momentu, w którym Harriet wręczyła mu małą, aksamitną sakiewkę, a potem zacisnęła palce na jego dłoni, okazując mu tym samym całe swoje zaufanie, doświadczał uczuć, jakie już od bardzo dawna były mu obce. A najsilniejszymi z nich były wyrzuty sumienia.

Co takiego ma w sobie ta kobieta, że zdołała poruszyć jego sumienie? Sumienie, o którego istnieniu dawno już zapomniał.

Przez ostatnie dwanaście lat popełnił wiele złych uczynków, większość po to tylko, by przeżyć. Popełniał je więc bez żadnego poczucia winy. Jak zatem to się stało, że bezgraniczne zaufanie widoczne w pięknych oczach kobiety oraz fakt, że nazywa go ona swoim przyjacielem, wzbudziły w Randzie potrzebę zanurzenia się w magicznej rzece, której wody zmyłyby z niego wszystkie grzechy?

I nie chodziło tylko o grzechy przeszłości. Przecież nadal ją okłamywał. Powiedzmy, że był to grzech przemilczenia części prawdy. Kłamstwo pozostawało kłamstwem, a prawda prawdą. Kiedy

Harriet Wilson odkryje jego prawdziwą tożsamość, rezultat i tak będzie jeden. Nigdy nie uwierzy, iż Rand nie chciał jej zranić.

Wtedy straci jej przyjaźń, a wraz z tym znikną resztki prawego, młodego mężczyzny, którym niegdyś był.

Jednak w tym momencie stracił przede wszystkim to, o czym mówił jego młodszy brat. Tak głęboko pogrążył się w rozważaniach nad tym, jak wyrwać się z pułapki własnych kłamstw, iż nie dosłyszał wcześniejszych słów Burtona.

- A zatem - ciągnął młodzieniec - czuję, że muszę powiedzieć, co o tym wszystkim myślę. Sumienie nie pozwala mi milczeć.

Z tonu jego głosu wynikało, iż w trakcie jazdy z miasteczka zdążył się solidnie rozgniewać. Rand starał się opanować własną irytację, gdyż w tym momencie nie miał najmniejszej ochoty wysłuchiwać krytyki ze strony brata.

- O co chodzi, Burtonie?

- Chodzi o tę damę.

Lord Dunford był zaskoczony poruszeniem tematu, o którym cały czas tak intensywnie myślał. Zważywszy na to, jak natrętnie jego brat przypatrywał się Annie Gwynn, nie sądził, że w ogóle zauważył on Harriet Wilson.

- No więc, co z tą damą?

Burton zawahał się, a Rand przez moment myślał, że brat zmienił zdanie. Mylił się jednak, bo wzięwszy głęboki oddech, tak jakby chciał się dobrze przygotować do przedstawienia argumentów, młodzieniec wyrzucił z siebie:

- Właśnie o to, że jest damą!

- I?

- I - zaczął Burton, ważąc każde słowo - nawet mężczyzna z twoją pozycją musi wiedzieć, kiedy kobieta jest poza jego zasięgiem.

Uwaga była słuszna, lecz Rand nie zareagował. Zastanawiał się właśnie, do czego ma prowadzić ta rozmowa, kiedy obok jego głowy świsnęła kula, omijając ją zaledwie o kilka cali. Przestraszony kasztanek zarżał, po czym zerwał się do galopu.

Przez kilka sekund lord Dunford starał się uspokoić przerażone zwierzę.

- Merkury! - wołał, usiłując powściągnąć ogiera. - Wolniej! Wszystko w porządku! Dobry konik.

Wystrzał z pistoletu spłoszył również wierzchowca Burtona, jednak jego reakcja nie była tak gwałtowna. Rand myślał, że brat pozwoli koniowi ponieść się i pogalopuje w kierunku domu. Lecz tym razem pomylił się co do młodego dżentelmena. Kiedy Burton zdołał uspokoić swego ogiera, poczekał, aż również Merkury się zatrzyma, po czym podjechał do brata.

- Do diabła! - powiedział. - Mało brakowało. Jesteś ranny?

Rand potrząsnął głową.

- Czy widziałeś, kto strzelał?

- Nie, ale ośmielę się przypuszczać, że człowiek ten jest teraz już w połowie drogi do Newcastle i nadal ucieka. Prawdopodobnie tak samo wystraszył się przypadkowym strzałem jak my. Nie powinniśmy zawracać sobie nim głowy. To pewnie jakiś okoliczny kłusownik.

- Albo jakiś polujący na mnie Francuz!

Strzał został oddany z pistoletu, a nie z myśliwskiej strzelby. Rand słyszał wyraźną różnicę, nawet jeśli jego brat twierdził, że było inaczej. Zdecydował co prawda nie rozmawiać więcej na ten temat, ale i tak postanowił donieść o całym zdarzeniu londyńskiej policji. Niektórzy interesowali się tam poczynaniami Antoine'a de la Croix.

Dochodzące z psiarni zawroźnienie ogarów wyrwało Randa z zamyślenia. Końskie kopyta zadudniły na brukowanym podjeździe, w momencie kiedy jego brat znalazł się przy wąskim ganku prowadzącym do myśliwskiego domu, od strony stajni nadbiegł chłopak.

Burton oddał konia służącemu i powrócił do tematu, który przerwał nieoczekiwany strzał.

- Co do tej damy - zaczął - to ona...

- Dość! - uciął Rand. O mały włos nie stracił życia i nie miał teraz nastroju do kłótni. Minał brata i ruszył do domu.

- Lepiej zostaw ją w spokoju! - wykrzyknął za nim Burton. - Jest zbyt ładna, zbyt słodka dla kogoś takiego jak ty.

Lord Dunford nawet się nie obejrzał. Chociaż raz on i jego brat zgadzali się całkowicie.

Niestety, tego samego nie można było powiedzieć o panie Eunice Shaw i jej adoratorze, Fredericku Gwynnie.

Przez ostatnie pół godziny, czyli od momentu gdy tłusty jegomość w średnim wieku zawitał do „Róży i Korony”, para

siedziała obok małego kominka w jadalnej izbie, pozostając w niezgodzie.

- Niech mnie piorun strzeli! Musiałaś się pomylić, Eunice.

- Ależ powtarzam ci, Fredericku, że widziałam jego lordowską mość na własne oczy. Nawet się przywitaliśmy. To prawda, że nigdy nas sobie nie przedstawiono, przecież nie obracam się w tak szacownych kręgach, ale kiedy byłam w mieście, pokazywano mi go przy wielu okazjach.

- Ja z kolei wiem, że Dunford nigdy nie wychodzi z klubów i domów gier. Nawet po to, by nadzorować swe posiadłości. W takim razie, po co, u diabła, mężczyzna o jego pozycji, ktoś, kto uwielbia miejskie życie i hazard, miałby pokonywać wiele mil i tracić czas w małej mieścinie?. Szczególnie w miejscu tak nudnym jak Kipworth. - Nie czekając na odpowiedź Eunice, Gwynn kontynuował: - Mógłbym to zrozumieć, gdyby był właśnie sezon polowań. Dobrze wiem, iż ojciec lorda był aktywnym członkiem koła myśliwskiego w Quarn, a z jego sforą psów i stajnią pełną wyjątkowych wierzchowców, ale...

- Freddy, wiem, co mówię. I powtarzam ci, nie przyjechałeś ani o minutę za wcześnie.

- Ale nawet jeśli masz rację, moja droga, to co to może mieć wspólnego ze mną?

Panna Shaw uniosła oczy do góry.

- Kiedy po raz ostatni widziałeś swoją bratanicę?

- Annę?

- A czy masz jeszcze jakąś? - zapytała Eunice z nutą rezygnacji w głosie.

- Żadnej, o której bym wiedział - odparł grzecznie. - Ale co Anna ma wspólnego z...

- Ona tu jest. W tej gospodzie. Ona, sir Miles i ich kuzynka, Harriet Wilson.

- Harriet tutaj? Z dziećmi?

- Dzieckiem jest być może sir Miles, ale zapewniam cię, iż to określenie nie pasuje już do panny Anny Gwynn. Ona nie jest już pensjonarką. Nie wspomnę nawet, że jest najpiękniejszą młodą damą, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Zawsze była urocza. Lecz nawet jeśli jest tak, jak mówisz, moja droga, to co to wszystko ma wspólnego z pobytem lorda Dunford w tej okolicy?

- Chwileczkę, Freddy. Widziałam twoją bratanicę i bratanka, jak razem z panną Wilson opuszczali karczmę i jechali za miasto.

- No i? Cóż w tym dziwnego?

- Towarzyszył im sam lord Dunford.

- Dunford! Niech mnie kule biją! Czy jesteś całkowicie pewna?

- Nie musisz wątpić, już ja umiem patrzeć.

Nie będąc nigdy człowiekiem zbyt bystrym, Frederick Gwynn musiał jeszcze raz przemyśleć wszystko, co właśnie usłyszał. Po całych trzech minutach najwyższego skupienia odezwał się wreszcie.

- Chcesz mi zatem powiedzieć, iż podejrzewasz, że lord Dunford ma jakieś zamiary względem mojej bratanicy?



Jego informatorka skinęła głową.

- Jak już wcześniej zauważyłeś, mój drogi, jego lordowska mość nigdy nie rusza się z miasta, a sezon myśliwski jeszcze nie nadszedł. Dodaj do tego fakt, iż panna Gwynn przybyła do karczmy na dzień przed pojawieniem się lorda w okolicy, i sam już dopowiesz sobie resztę.

Przekonany nareszcie, Frederick Gwynn nie ukrywał zdziwienia.

- Nasza mała Anna i lord Dunford! Na Jowisza! Co za szczęśliwe zrządzenie losu!

- Szczęśliwe zrządzenie losu? Freddy, jak możesz w ogóle tak myśleć? Twoja bratanica jest taka niewinna, a ten człowiek znany jest jako Nieprzyzwoity Lord.

- Ale jest bajecznie bogaty. Dziewczyna nie ma żadnego posagu i...

- Nawet jeśli Dunford jest... - Cokolwiek Eunice chciała dodać, była zmuszona przerwać w pół zdania, gdyż w tym momencie młoda dama zeszła ze schodów i spostrzegła swego opiekuna.

- Wujek Freddy!

Na widok piękności w bladoniebieskiej sukni, Frederick Gwynn wstał z otwartymi ustami.

- Dobry Boże, Eunice! Nie mów mi, że to moja mała Anna...

Potwierdzenie nie było jednak potrzebne, gdyż dziewczyna podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Wyczuwała go, a kiedy on znowu spojrzał na pannę Shaw, ta rzuciła tylko:

- A nie mówiłam?

- Niech mnie kule biją!

Później, kiedy panna Shaw i pan Gwynn zostali ponownie sami, adorator musiał przyznać, iż jego wybranka miała całkowitą rację.

- Miałaś prawo tak twierdzić, Eunice. Nie ulega wątpliwości, iż lord Dunford przybył tu dla naszej Anny.

- Skoro sam się już przekonałeś, to wiedz, iż mnie to nie cieszy. W końcu ktoś o reputacji Dunforda nie może mieć czystych intencji. A może on chce tylko zawrócić jej w głowie?

- Zawrócić jej w głowie! Ale Anna jest damą! Dunford musi zdawać sobie z tego sprawę.

- A co jeśli wie o tym, ale nic sobie z tego nie robi? Doszedłszy wreszcie do zasadniczego powodu, dla którego poruszyła ten temat, panna Shaw zadała pytanie:

- Jeśli tak właśnie jest, co zamierzasz z tym wszystkim zrobić?

- Że co? Ja, eeeech... - Nieprzyzwyczajony, aby musiał robić cokolwiek w związku ze swoją bratanicą i bratankiem, Gwynn popatrzył na Eunice pytającym wzrokiem.

- Oczekuję - zaczęła, jakby Frederick wypowiedział już swoją opinię - że zachowasz się, jak przystało na człowieka odpowiedzialnego. Zostaniesz tu i dopilnujesz, aby nic złego się nie wydarzyło.

Po kilku minutach ciszy, Frederick odparł:

- A co z twoim ojcem? Wysłałem mu list, w którym pytam, czy mógłbym porozmawiać z nim osobiście w prywatnej sprawie. On oczekuje mnie najpóźniej jutro.

- Jeśli o to chodzi, mój drogi Freddy, możesz posłać mu jeszcze jeden list. Wziąwszy pod uwagę zaistniałe okoliczności, mój ojciec z pewnością zrozumie, że twoje rodzinne zobowiązania mają większą wagę.

- Czy zatem sugerujesz, że powinienem opóźnić podróż na północ?

Panna Shaw spuściła wzrok, Gwynn jednak zdołał dostrzec błysk triumfu w jej oczach.

- Musisz oczywiście rozstrzygnąć tę kwestię we własnym sumieniu. Jeśli jednak miałabym wyrazić swoją opinię, to zaryzykowałbym stwierdzenie, że gdybyś teraz wyjechał, to naruszyłbyś zobowiązania względem panny Gwynn jako jej prawny opiekun i zarazem jako głowa rodziny.

- Och, rozumiem. Głowa rodziny... nigdy nie myślałem o sobie w ten sposób.

Podobny do pawia, który właśnie odkrył jak piękny posiada ogon, Frederick Gwynn nie usiadł, lecz zaczął się nerwowo przechadzać po pokoju. W końcu ponownie zajął miejsce obok kominka.

- A zatem, jaka jest twoja decyzja?

- Tak jak już mówiłem, moja droga. Nie wolno mi w takiej sytuacji pozostawić bratanicy jedynie pod opieką kuzynki. Kobiety zawsze potrzebują męskiej opieki.

- Masz rację, Freddy.

Kiedy tak delectował się swoją nową rolą mężczyzny, do którego inni zwracają się po pomoc, jego narzeczona zasugerowała coś jeszcze.

- Jeśli zgadzasz się na takie rozwiązanie, mój drogi, mogę tylko podziwiać twoje poświęcenie dla spraw rodzinnych. Może chciałbyś zatem odprawić wynajęty powóz? Kiedy sprawy się wyjaśnią, pojedziemy do domu moją wygodną karetą.

Frederick był nieopisanie szczęśliwy, mogąc odprawić swój mało wytworny środek transportu i zamienić go na bardziej wygodny, a przy tym nic go nie kosztujący powóz. Szybko więc zawołał karczmarza:

- Shimmerhorn!

- Tak, panie?

- Nie będę już dziś kontynuował podróży. - Gwynn rzucił mężczyźnie małą sakiewkę. - Zapłać woźnicy, jest porządnym człowiekiem. A potem zajmij się moimi bagażami. I przynieś butelkę najlepszej madery, jaką masz.

- W tej chwili, sir.

Zadowolony, że inni zajęli się już najważniejszymi kwestiami, Gwynn wyciągnął nogi w wypolerowanych butach w kierunku kominka.

- Jak to dobrze, moja droga, że zatrzymałaś się właśnie w tej karczmie. Inaczej pojechałbym na północ, nic nie wiedząc o zamiarach lorda Dunford wobec mojej bratanicy.

- Tak jak mówisz, to szczęśliwe zrządzenie losu, iż zdecydowałam się przerwać moją podróż w tym właśnie miejscu. Zarazem jest to dobra okazja, by lepiej poznać członków twojej rodziny.

- Świetny pomysł. Jeśli już jestem zmuszony zostać tu, w Kipworth, by pilnować interesów kochanej małej Anny, miło mi będzie mieć cię za towarzyszkę.

- A skąd to nagle zainteresowanie sprawami Anny? - spytała Harriet, która zeszła właśnie po schodach i usłyszała ostatnie słowa Fredericka Gwynna.

Mężczyzna ponownie się podniósł, jednak tym razem nie groził mu wylew czułości. Panna Wilson jedynie uściśniła jego dłoń.

Frederick, który zdążył był już zapomnieć o sile osobowości Harriet, poczuł się tak, jakby stracił grunt pod nogami.

- To wszystko, eech... przez lorda Dunford.

- Lorda Dunford? A co on, na Boga, może mieć wspólnego z Anną?

- Wydaje mi się, że bardzo wiele. Przecież lord Dunford stara się o moją bratanicę.

- Ależ... - jakby przypominając sobie dopiero w tym momencie, z kim rozmawia, Harriet zamilkła. - Jeśli mogę spytać, Fredericku, to na jakiej podstawie wyciągnąłeś taki wniosek - odezwała się po chwili ciszy.

Frederick Gwynn nie był zadowolony, iż ktoś, kto powinien wierzyć mu bez słowa, kwestionuje jego opinie.

- Nie musisz się tym kłopotać - odparł buńczucznie. -Zapewniam cię, że informacje te pochodzą z wiarygodnego źródła. I... i jako głowa rodziny uznałem, że moim obowiązkiem jest pozostać w Kipworth do czasu, aż ujrzę pierścioneł zaręczynowy na palcu dziewczyny.

Scandalous

## Rozdział 8

„Aż ujrzę pierścionek zaręczynowy na palcu dziewczyny.

To zdanie brzmiało dziwnie znajomo i Harriet bez problemu odgadła, kto wypowiedział je pierwszy. Aby upewnić się w swym podejrzeniu, odwróciła się w stronę panny Shaw, której znaczące spojrzenie niemal sprowokowało ją do ujawnienia szczegółów ich wcześniejszej rozmowy.

- Jestem przekonana, panno Wilson, że wszystko będzie dobrze. Nie ma potrzeby, by pani i pani podopieczni skracali sobie wakacje. Pan Gwynn natomiast może skorzystać z doskonałej okazji spędzenia czasu w towarzystwie rodziny. Z pewnością nic nie można zarzucić temu planowi.

- Nie - zgodziła się Harriet. - Nie można mu nic zarzucić.

Przynajmniej Frederick nie powziął myśli o natychmiastowym odesłaniu Milesa i Anny z powrotem do Londynu. I chociaż Harriet cieszyła się z takiego obrotu sprawy, nie była zadowolona z tego, że po wieczornym posiłku mężczyzna poprosił ją o pogawędkę w cztery oczy. Nie mogąc uniknąć spotkania na osobności, przeszła z nim pod kasztanowca, który niemal zasłaniał dziedziniec karczmy. Ledwie zdążyła usiąść na prostej drewnianej ławce, Gwynn zaczął jej wypominać, że nie pilnuje dostatecznie jego bratanicy.

- Zapewniam cię - powiedziała nie po raz pierwszy - że lord Dunford nie zbliżał się do Anny.

- Słyszałem co innego. I prawdę mówiąc, dziwi mnie twoja pobłażliwość. Po kobiecie w twoim wieku można by oczekiwać dość rozsądku, by nie dopuszczać kogoś o reputacji Dunforda w pobliże niewinnej młodziutkiej dziewczyny.

„Po kobiecie w twoim wieku!”

Harriet przygryzła usta, by powstrzymać gniewną odpowiedź, która się na nie cisnęła. Prawdę mówiąc, nie była pewna, co ją bardziej złości: czy to, że człowiek przynajmniej szesnaście lat starszy od niej robił przytyk do jej wieku, zupełnie jakby była już staruszką, czy też to, że człowiek ledwie w połowie tak rozsądny jak ona kwestionował jej rozwagę.

Musiła wziąć głęboki oddech, a potem policzyć wstecz od dziesięciu, by opanować wściekłość.

- Jak już wcześniej mówiłam, Fredericku, jednym z mężczyzn, którzy towarzyszyli nam podczas naszej wizyty w kościele św. Agnieszki, był młodszy brat jego lordowskiej mości, pan Burton Dunford. Możliwe, że twój informator wziął jednego z braci za drugiego. Nie mogę nic powiedzieć na temat ich rodzinnego podobieństwa, jako że osobiście nigdy nie spotkałam jego lordowskiej mości. Mogę cię jednak zapewnić, że drugi mężczyzna nie był lordem Dunford.

Zupełnie ignorując jej wytłumaczenie, Frederick zaskoczył Harriet nagłą zmianą tematu.

- Dziewczyna o jej urodzie i mężczyzna z jego bogactwem. Jakie połączenie mogłoby być bardziej fortunne?



- Niektórzy powiedzieliby, że uczucie między obojgiem byłoby pożądane.

- Uczucia! Ha! Naczytałaś się za dużo poezji, moja droga. Posłuchaj kogoś doświadczonego: uczucia, jak lody, szybko topnieją.

Pamiętając, że Frederick Gwynn zamierzał właśnie poprosić o rękę kobietę, której atrakcyjność sprowadzała się do posiadania majątku, Harriet zdecydowała się nie komentować tej wypowiedzi. Zamiast tego, w nadziei na zakończenie rozmowy, zaproponowała mu, by dołączył do nich podczas wycieczki następnego dnia.

- Mógłbyś się spotkać z panem Randolfem i tym sposobem z łatwością się uspokoić. Jestem przekonana, że nasz przewodnik nie miałby nic przeciwko jeszcze jednemu panu w grupie.

Dobrze wiedząc, że Frederick Gwynn jest sknerą, nie bez pewnej przyjemności dodała:

- Oczywiście, musiałbyś wynająć jakiś pojazd, ponieważ w landzie nie pomieści się wygodnie więcej niż cztery osoby.

Gdy na dźwięk tych słów oblicze mężczyzny zbladło, Harriet uśmiechnęła się słodko, zadowolona, że chociaż częściowo zemściła się za uwagę o jej wieku. Uznawszy, że już dość się z Gwynnem podroczyła, przyjęła jego wymówkę, że zmęczenie dwudniową podróżą skłoni go do pozostania w łóżku przynajmniej do południa.

- A zatem dobranoc, Fredericku. Niech mi będzie wolno życzyć ci przyjemnych snów.

Lord Dunford, nieświadom tego, że uniknął właśnie konfrontacji twarzą w twarz z Frederickiem Gwynnem, który zdemaskowałby go

od razu, skończył swój wieczorny posiłek, po czym przespacerował się w stronę psiarni. Potrzebował odrobiny ciszy i spokoju, by przemyśleć sprawę pocisku, który omal go nie trafił.

Naturalnie, ujadanie ogarów oznajmiło jego zbliżanie się i zanim doszedł do ogrodzonego płotem wybiegu, Eli Porter otworzył bramę i wyszedł na zewnątrz.

- Dobry wieczór waszej lordowskiej mości.

- Ty tutaj o tej porze, Eli?

- Tak jest. Lida, jedna z suk, powiła przed tygodniem trójkę szczeniąt.

- I musiałeś się upewnić, czy wszystko w porządku. Podobny do gnoma człowieczek zarechotał.

- Zna mnie pan zbyt dobrze, paniczu Rand.

- Czy coś jest nie tak?

Zarządca potrząsnął posiwiałą głową.

- Nie z Lidą. Ona zalicza się do dobrych matek. Oddałaby życie za swoje dzieci. Dla samej przyjemności patrzyłem sobie na małe, jak z brzuskami pełnymi mleka śpią spokojnie, wtulone w ciepłe futro mamy.

Nie chcąc rozmawiać o tym, o czym akurat myślał, Rand powiedział:

- A ja patrzyłem właśnie na księżyc. Zdążyłem już zapomnieć, jak o tej porze roku chowa się za chmurami, a potem nagle wydostaje się zza nich, zalewając ziemię srebrzystym światłem.

- To prawda. - Po dłuższej chwili ciszy, podczas której obaj mężczyźni wpatrywali się w nocne niebo, Eli zapytał: - Na Barbados nie było księżyca?

- Był, ale taki, którego wolałbym więcej nie oglądać.

Pomarszczony stary myśliwy ruszył wraz ze swym panem i obaj spacerowali przez jakiś czas w milczeniu, podobnie jak wtedy, kiedy Rand był chłopakiem nie wyższym od Eliego. Tak jak przed laty, Porter dzielił się ze swymi przemyśleniami.

- Lida należy do najlepszego rodzaju matek. Przeważnie wszystko zdaje się przychodzić naturalnie. Suki wiedzą, co powinny zrobić dla swoich szczeniąt. Oczywiście, czasem zdarzy się jedna czy druga, której trzeba pokazać drogę przy pierwszym miocie. Ale przy drugim już wszystko idzie dobrze.

Zawahał się przez chwilę, lecz Rand milczał, wiedząc z doświadczenia, że to jeszcze nie koniec. Po prostu Eli zastanawiał się nad najlepszym doborem słów.

- Mieliliśmy raz taką jedną sukę, jakieś dziesięć lat temu, szczeniła się regularnie, ale nigdy nie zadawała sobie trudu, by zatroszczyć się o małe. To było dziwne. Nigdy nie mogłem tego pojąć. Myślę, że ona po prostu nie miała tego w sobie. Tak samo nie mogłem jej nauczyć opiekować się szczeniętami, jak nie mógłbym zmienić koloru jej oczu.

Lord Dunford czuł, że spokój wieczoru rozwiewa się. W jakiś sposób domyślał się, że Eli zamierza mówić o rzeczach, o których się nie mówi, jednak nie był w stanie go powstrzymać.

- To było bez serca ze strony jego lordowskiej mości, paniczu Rand, że pana tak odprawił. I to był wielki ciężar dla mojego sumienia.

- Dla ciebie? Czemu?

- Bo wiedziałem, jaki on jest, i powinienem był uważać na pana.

- Nie, Eli. To nie była twoja wina.

Stary człowiek wyciągnął chusteczkę z rękawa i wydmuchał nos.

- Jego lordowska mość był twardym człowiekiem. Nigdy nie dawał drugiej szansy. Wiedziałem o tym. Jeśli pies zgubił trop, tylko raz, jego lordowska mość nakazywał: „Zabierz go z powrotem do budy, Eli, i zastrzel go!”

Zarządca odchrząknął, jakby to wspomnienie wciąż go bolało.

- Tak po prostu mówił: zastrzel go. Zdawało się, że rzecz lub osoba musi być doskonała, inaczej jego lordowska mość nie chciał jej widzieć.

- Ludzie rzadko są doskonali - wtrącił Rand.

- To prawda. Ale panicz był dobrym chłopcem i powinien był dostać drugą szansę. Nie żebym wierzył, że miał panicz do czynienia z córką tego łajdaka Jema Coombsa. Chociaż Belle była urodziwą dziewczyną, panicz zawsze był zbyt wybredny, żeby spojrzeć na taką jak ona.

- Wierzyłeś mi?

- Tak jest. Ale przecież ja panicza znałem.

Lord Dunford z trudem łapał oddech. „Ale przecież ja panicza znałem.” Nie mógł uwierzyć, jakie to jedno zdanie zrobiło na nim wrażenie.

Jako dziecko podziwiał tego malutkiego mężczyznę, zdając sobie sprawę, że pomimo niskiego stanu to człowiek godny szacunku. Odkrycie, że Eli cały czas był przekonany o jego niewinności i ufał mu, kiedy rodzony ojciec uwierzył w najgorsze, było czymś tak niesamowitym, że zabrakło mu słów, aby to wyrazić.

Zarządca przypuszczalnie nie oczekiwał odpowiedzi, więc przez pewien czas szli dalej w milczeniu, aż dotarli do stajni, gdzie Eli i pozostali służący zajmowali pokoje na poddaszu. Zanim lord Dunford powiedział staremu myśliwemu dobranoc, Eli zadarł głowę do góry, by móc spojrzeć na panicza, który tak wyrósł.

- Jego lordowska mość nie kazał pana zastrzelić, paniczu Rand, więc myślę, że wciąż jest dla pana nadzieja. Odrzuć złość, chłopcze, i otwórz swoje serce, póki jeszcze możesz. Daj sobie drugą szansę.

Słowa Eliego wciąż dźwięczały Randowi w uszach, gdy wrócił do domu. Marząc o położeniu się do łóżka i szybkim zaśnięciu, ruszył ku schodom, gdzie natknął się na schodzącego na dół Burtona. Brat skinął mu nieznacznie głową, wyraźnie chcąc uniknąć rozmowy, ale Rand, uznawszy, że miejsce to jest równie dobre, jak każde inne, żeby dać sobie drugą szansę, zatrzymał go.

- Czego chcesz? - zapytał Burton niezbyt zachęcającym tonem.

- Chcę ci powiedzieć, że jestem tutaj, gdybyś mnie potrzebował.

Tylko tyle.

- A czemuż miałbym cię potrzebować?

- Byłem w Oksfordzie, zanim tu przyjechałem - odparł Rand. -  
Wiem o braciach Wexham i ich próbach wymuszenia na tobie  
pieniędzy.

- Niech cię diabli! Od rozpusty musiało ci się w głowie  
pomieszać. Inaczej zrozumiałbyś, że nie życzę sobie, żebyś wtrącał się  
w moje sprawy.

Rozpusta!

Opanowując rozczarowanie, wywołane tak kiepskim  
początkiem, lord Dunford rzekł cicho:

- Odłóżmy moje postęпки na bok, Burtonie. Rozumiem cię  
wystarczająco dobrze. Wierz w to lub nie, jesteśmy do siebie bardziej  
podobni, niż chciałbyś przyznać. Byłem tam, gdzie ty jesteś teraz.  
Byłem kiedyś młodym człowiekiem bez żadnego doświadczenia, bez  
pieniędzy, które ułatwiłyby mi egzystencję w surowych realiach życia,  
i bez rodziny, która podtrzymałaby mnie w trudnych chwilach. I,  
może cię to ucieszy, nie raz dostałem lanie od ludzi pokroju  
Wexhamów.

Burton nie odpowiedział. Stał niczym posąg, spoglądając na  
raczej krwawą scenę polowania wiszącą u dołu schodów,  
ostentacyjnie okazując brak zainteresowania słowami brata.

- Skończyłeś? - zapytał po długim milczeniu.

- Niezupełnie, młody głupcze. Chcę, żebyś wiedział, tak jak ja  
nie wiedziałem, że masz rodzinę, do której możesz się zwrócić. Masz  
mnie. Jestem twoim bratem i chociaż wyraźnie chciałbyś, bym był

gdziekolwiek, byle nie tu, zamierzam uczepić się ciebie niczym rzep, przynajmniej dopóki tych trzech rzezimieszków ci zagraża.

- A jeśli ja nie życzę sobie twojego, hm, rzepowatego towarzystwa?

Rand uśmiechnął się, rozbawiony zarówno elokwencją brata, jak i jego neologizmem.

- Niestety, twoje życzenia znaczą bardzo niewiele. Jestem tutaj i tu zostanę.

- Idź do diabła!

- To bardzo prawdopodobne miejsce mojego ostatecznego przeznaczenia. Jednakże...

Cokolwiek chciał powiedzieć, pozostało to tylko zamiarem. Burton bowiem pobiegł w dół schodów, skacząc co drugi stopień. Ignorując lokaja, który stał obok i udawał ślup, rozwścieczony młodzieniec gwałtownie otworzył drzwi, pozwalając im uderzyć w ścianę, i nie oglądając się za siebie, wybiegł w ciemność.

Po pewnym czasie Rand odwrócił się i ruszył na górę. Dochodząc do sypialni, wciąż mruczał pod nosem.

- Niezłego zamieszania narobiłeś, stary.

- Słucham pana? - zapytał zaskoczony służący. Pragnąc zostać sam, lord Dunford odprawił służącego, po czym usiadł przy biurku na obitym skórą krześle. Podarłszy list, który pisał wcześniej, znalazł pióro, atrament i papier i napisał kolejny list do zaufanego człowieka w Londynie. Tak jak poprzednio zlecił mu przesłanie ostatniego raportu policji dotyczącego Francuza.

Chociaż był przekonany, że to de la Croix zorganizował zamach na niego, istniał cień szansy, że to Burton, a nie Rand był celem. Z tego powodu dodał ostatni akapit, w którym zlecił wysłanie gońca do Oksfordu, aby ten dowiedział się czegoś o braciach Wexham.

Gdy już skończył list i zapieczętował go wiśniowym lakiem, wyciągnął się z rękami pod głową na rzeźbionym łóżku z baldachimem i ponownie wrócił myślami do tego, co powiedział mu Eli Porter. Niestety, jego rozmyślania zakończyły się wspomnieniem konfrontacji z Burtonem na schodach.

Z każdą próbą pojednania młodszy brat pogardzał nim coraz bardziej. I właściwie czemu miałyby tak nie być? Cóż Rand wiedział o miłości braterskiej? W przeciwieństwie do Lidy, która instynktownie wiedziała, jak troszczyć się o swoje szczenięta, on nie był stworzony do roli opiekuna. Najwyraźniej był jednym z tych psów, którym trzeba wskazać drogę.

Następnego dnia Rand obudził się pełen nadziei. Przez lata nie czuł się tak dobrze, zupełnie jakby całkowicie panował nad swoim losem. Eli radził mu, by dał sobie drugą szansę, i lord Dunford miał zamiar zastosować się do tej rady.

Ubrany w najnowszą kurtkę w kolorze ochry, która dobrze pasowała do orzechowych bryczesów i butów z cholewami, nieco fałszywie pogwizdując, wsiadł do świeżo umytego i wypolerowanego landa. Siedzący na siwku Burton bez słowa ustawił się za powozem. Było oczywiste, że zamierza towarzyszyć starszemu bratu do



Bosworth, lecz nie zamierza wymieniać z nim uprzejmości, ani wtedy, kiedy byli sami, ani przy żadnej innej okazji.

Niech i tak będzie! Przynajmniej na razie. Niech sobie Burton pomilczy. Rand radził już sobie ze znacznie bardziej upartymi ludźmi. Poza tym nic nie mogło ostudzić jego zapału, z jakim zapatrywał się na ten dzień - dzień, który miał spędzić w towarzystwie najbardziej zachwycającej kobiety, jaką kiedykolwiek spotkał.

Nie, Harriet Wilson była więcej niż zachwycająca. Była bystra, uczciwa i miła - z tymi cechami lord Dunford rzadko spotykał się w swym życiu - i uczyniła mu ten zaszczyt, że nazwała go swoim przyjacielem.

Oczywiście, radując się perspektywą towarzyszenia owej damie, musiał pamiętać o obecności jej dwojga młodych kuzynów, ale nie było to niczym przykrym. Miles Gwynn i jego siostra byli całkiem sympatyczni i Rand z wielką chęcią pokazywał im okolicę. W przypadku człowieka znanego jako pan „Nie Zważam na Nic” radość sprawiania przyjemności innym była przypuszczalnie oznaką dania sobie drugiej szansy.

Miles, o którym kuzynka twierdziła, że szaleje na punkcie armii, najwyraźniej czekał już od pewnego czasu na dziedzińcu karczmy na rozpoczęcie wycieczki. Ledwie woźnica zatrzymał dobraną parę koni ciągnących lando, chłopiec podbiegł i stanął przed powozem, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

- Pan Randolf - powiedział, dotykając daszka czapki. -Dzień dobry panu. Jestem gotów do drogi.

- Widzę, mój chłopcze. W istocie - rzekł Rand, przybierając poważny wyraz twarzy, by nie zdradzić rozbawienia żywością chłopca - wygląda na to, że jesteś osobą odznaczającą się cnotą punktualności. Cecha godna podziwu, z pewnością. Niestety, jako że jest ona wyłącznie męskim atrybutem, obawiam się, że będziemy musieli poczekać na twoją siostrę i pannę Wil...

- Za to oszczerstwo rzucone pod adresem kobiet -przerwała mu Harriet od drzwi - należałoby dać panu nauczkę. Powinnyśmy z Anną wrócić do naszych sypialni i kazać wam marznąć przynajmniej pół godziny.

Ponieważ mówiąc to, uśmiechała się i równocześnie otwierała zieloną parasolkę, lord Dunford nie wziął tej groźby poważnie. Podeszedł do drzwi, podał damie ramię i skomplementował jej dobry słuch.

- Widzę, że muszę nauczyć się ciszej mówić.

- Albo ciszej mówić, albo dosładzać moje słowa. Przecież zwykle musi je pan przełknąć.

Zaśmiał się głośno.

- Jak na przykład teraz?

Zamiast odpowiedzieć, Harriet spojrzała przez ramię na swą śliczną kuzynkę, która właśnie wyłoniła się z karczmy - uosobienie dziewczęcego piękna na tle pierwiosnkowej parasolki z marszczonego jedwabiu z maleńkimi kokardkami.

- Ach, Anno - powiedziała - jesteś punktualna jak zawsze.

Widząc uniesione ze zdziwienia brwi młodej damy, poinformowała ją, że pan Randolph ceni punktualność.

- Można nawet powiedzieć, że uważa punktualność za smakowitą cechę.

- Żmijka - rzucił Rand cicho.

W odpowiedzi usłyszał jej niski i cudownie gardłowy śmiech. Nawet nie usiłowała ukryć swej wesołości, on natomiast musiał zwalczyć w sobie nieodpartą pokusę wzięcia jej w ramiona i zamknięcia tych uśmiechniętych ust własnymi. Ostatecznie wsunął lekko rękę pod jej łokieć i pomógł jej wsiąść do landa.

- Panno Gwynn - zawołał Burton, spiesząc z podaniem ramienia młodej damie, - Cóż za piękna parasolka! Już nigdy nie spojrzę na żółty kolor, nie myśląc o nim inaczej jako o pani kolorze.

- Mnie się podoba parasolka kuzynki Harriet - wtrącił Miles, jakby uważał, że urażono jego krewną. - Ma ją od wieków, oczywiście, ale zielony to mój ulubiony kolor.

Dama z antycznym ekwipunkiem pochyliła się i dla żartu naciągnęła chłopcu czapkę na oczy.

- Zawsze mogę liczyć na to, Milesie, że podniesiesz mnie na duchu.

Wszyscy się roześmiali, zaś Burton, jakby nagle przypominając sobie o dobrych manierach, uklonił się pannie Wilson.

- Niezależnie od wieku tej parasolki, pani, daje ona piękny cień pięknej damie.

- Ach, dziękuję panu, panie Dunford. A skoro już jesteśmy przy komplementach, proszę pozwolić mi wyrazić zachwyt nad pięknym siwkim. Pańska stajnia musi być dobrze zaopatrzona, bo nie wydaje mi się, by jechał pan wczoraj na tym koniu.

-Jeżeli chodzi o stajnie, czy też konie, które się w nich znajdują, to należą one do mojego brata i do niego winna pani skierować komplementy na ich temat.

- Jak tylko go pani spotka - dodał Rand.

Dawszy siwkowi Burtona niezbyt uprzejmego klapsa, lord Dunford zajął miejsce w powozie obok Milesa i polecił woźnicy, by ruszał.

- Bosworth - westchnął Miles, szczęśliwy, że w końcu tam jedzie. - Nadciągamy.

Ponad godzinę później, gdy powóz przejechał przez Market Bosworth i przemierzył około dwóch mil na południe, chłopiec zaczął się rozglądać za śladami bitwy. Nie znajdując żadnych, zapytał o nie.

- Miles! - upomniała go siostra. - Pamiętaj o dobrym wychowaniu!

- Przepraszam pana.

- Nie ma za co, mój chłopcze. To dobre pytanie, bo o ile pamiętam, pole nie jest oznaczone. Żadnego znaku dla uczczenia wagi wydarzenia.

Przez ostatni kwadrans jechali koło kęp krzewów i niskich drzew, które rosły tam za sprawą polujących na lisy farmerów, bardziej zainteresowanych zapewnieniem lisom siedziby niż ochroną

miejsca bitwy, która zakończyła Wojnę Dwóch Róż. Rand rozumiał to. W końcu wojna, która ciągnęła się wiek, wybuchła ponad trzysta lat temu. Farmerzy musieli żyć chwilą obecną, a dla mieszkańców Leicestershire dostatnia teraźniejszość była równoznaczna z polowaniami.

Gdy powóz dotarł do wzniesienia znanego jako Ambien Hill, lord Dunford polecił woźnicy zatrzymać się.

- Tam - powiedział do Milesa, zataczając łuk ręką, jakby ofiarowywał chłopcu rozpościerające się przed nimi akry zielonej łąki i rozrzucone wokół drzewa. - Oto właśnie pola Bosworth.

Ciszę nad polami mąciło jedynie odległe, smutne gruchanie gołębia i odgłosy gonitwy pary wiewiórek na jednym z pradawnych rozłożystych dębów na pierwszym planie.

Nie można było oczekiwać, że podekscytowany dziesięciolatek uszanuje spokój tego miejsca. Chłopiec niemal wyskoczył z powozu. Za nim mniej spiesznym krokiem wysiadł Rand, który zaraz odwrócił się, by pomóc damom. Po chwili Burton zsiadł z konia i dołączył do nich, spiesząc do Anny, by służyć jej ramieniem podczas spaceru po nierównym podłożu.

- Stąd - powiedział Rand, kierując słowa do ogarniętego podziwem Milesa - zejdziemy zboczem wzgórza, podążając drogą pokonaną przez Ryszarda III i jego żołnierzy owego pamiętnego dnia w 1485 roku.

- A było ich dziesięć tysięcy - dodał chłopiec, by pokazać przewodnikowi, że nie jest zupełnie niezorientowany.

- Zgadza się, chłopcze. Królowi towarzyszyło kilku znamienitych lordów, rycerze, giermkowie i chmara zwykłych ludzi. Wielu z nich było poddanymi lordów.

- Potężna armia - rzekł chłopiec - maszerowała przeciwko oddziałom Henryka Tudora, które liczyły ledwie pięć tysięcy.

Harriet, która skorzystała z ramienia Randa, nie była zdziwiona wiadomościami kuzyna na temat bitwy, ale udała zaskoczenie wiedząc ich przewodnika.

- Cóż za interesujący wykład, panie Randolfie. Można by pomyśleć, że przed wycieczką przejrzał pan podręcznik historii!

- Zdemaskowała mnie pani - zaśmiał się. - Czy jest pani rozczarowana? Miała pani nadzieję, że znów zarzuci mi błagę?

- Skądże znowu! Prawdę mówiąc, jestem podekscytowana niemal tak samo jak Miles. Dlatego jeśli tylko ma pan jakieś informacje, proszę, niech nic, co powiedziałam kiedyś przy różnych okazjach, nie powstrzymuje pana od podzielenia się nimi!

Szczęśliwy, że może spełnić jej prośbę, Rand zaczął mówić głośniej, by również Anna i Burton mogli go słyszeć.

- Wyobraźcie sobie królewskich rycerzy w zbrojach na przedzie, wymachujących toporami bojowymi, maczugami i cepami. Noszący jajowate hełmy i zbroje płytowe stanowili kiepski cel dla łuczników Henryka. Tymczasem lewą i prawą stroną posuwali się do przodu łucznicy Ryszarda, ubrani w lekkie tuniki sięgające do ud, pozwalające szybko się poruszać w sierpniowych upałach.

- Sierpniowych? - spytała Anna. - Zatem pogoda musiała być całkiem jak dzisiaj. Słonecznie i gorąco.

- Zgadza się - potwierdził Burton, wpatrując się w młodą damę rozanielonym wzrokiem, który jego bratu kojarzył się z wyrazem oczu obłąkanego. - Niestety, królewscy żołnierze nie mieli parasolek.

Wyraz obrzydzenia na twarzy Milesa świadczył o tym, że chłopiec nie jest zachwycony powrotem tematu damskich fatalaszków.

- Za łucznikami - powiedział, zwracając się wyłącznie do Harriet i Randolfa - podążali miecznicy z bronią w jednej ręce i tarczą w drugiej.

Bawiąc się entuzjazmem chłopca, lord Dunford przemówił przyciszonym głosem, jaki słyszał u aktorów chcących dodać swej wypowiedzi dramatyzmu.

- W końcu - zaczął - ludzie Ryszarda, ruszając do ataku w tradycyjnym ustawieniu w klin, napotkali przednią straż wojsk Henryka. - Po krótkiej pauzie dla zwiększenia napięcia, kontynuował opowieść, stopniowo wznosząc głos: - Wreszcie nadeszła chwila prawdy i wywiązała się zaciekle bitwa.

- Naprzód! - wrzasnął Miles,

Zupełnie jakby brał udział w bitwie, zbiegł w dół ku rozległej, płaskiej łące, wymachując wyimaginowanym mieczem i od czasu do czasu wykrzykując do zmyślonych przeciwników: - A masz, łajdaku!

Harriet i Rand podążyli jego śladem, ciesząc się jego entuzjazmem, chociaż nie byli do końca pewni, po czyjej stronie walczy: króla czy uzurpatora.

- Minał się pan z powołaniem - stwierdziła Harriet. - Powinien był pan zostać aktorem. Jeszcze teraz mam gęsią skórę na karku.

Rand wiedział, że dziewczyna kpi, więc poczuł się upoważniony do zajrzenia pod parasolkę, niby celem sprawdzenia prawdziwości jej słów. Zobaczył piękną łabędzią szyję o atlasowej skórze, bez śladu gęsiej skóry.

To była szyja stworzona do głaskania. Do całowania. I przez krótką chwilę wyobraził sobie scenę, w której długie, gęste pukle Harriet opadałyby swobodnie na ramiona. Ona uśmiechałaby się do niego, a on wsunąłby rękę pod jej włosy, by ująć ją za szyję, potem nachyliłby głowę do jej głowy, a ich usta...

- Naprzód! - wrzasnął znów Miles, przywołując do porządku myśli lorda, choć nie bicie jego serca.

Najwidoczniej dama nie była wplątana w wizje Randa pieszczącego jej szyję i, jakby nagle zdała sobie sprawę, gdzie weszła, spojrzała w dół na swoje półbuty. Powoli podniosła na swego towarzysza pełne zakłopotania zielone oczy.

- Proszę, niech mi pan powie, że nie stąkam teraz po ziemi zroszonej ongi krwią poległych żołnierzy!

- Któż to może wiedzieć? - A zniżając głos, dodał: - Być może to w ogóle niewłaściwe miejsce.



- Co?! Cóż, panie Randolfie, miałam pana za człowieka honoru, tymczasem ku mojemu rozczarowaniu, okazuje się, że jest pan oszustem!

Przez krótką chwilę Rand czuł, że kołnierzyk go dusi. Harriet znów z niego kpiła, oczywiście, ale co powiedziała by później, gdyby odkryła, że oszukiwał ją, udając zwykłego jegomościa? Nie chcąc psuć tej przyjemnej wycieczki rozmyślaniami o ostatecznej demaskacji, przytknął palec do ust.

- Sza! Chciałaby pani, żeby ten żołnierz panią usłyszał?

- Za nic w świecie! - odparła, przykładając palec do swych ust.

- Tak myślałem. Zgódźmy się więc być konspiratorami. Chyba że życzy pani sobie wrócić do powozu i poszukać innego miejsca bitwy.

Panna Wilson w odpowiedzi szybko pokręciła głową, po czym pociągnęła swego przewodnika za ramię, żeby zadać mu kolejne pytanie.

Mając świadomość, że jej usta znajdują się tuż koło jego ucha, lord Dunford wdychał delikatny, czysty, cytrynowy zapach jej skóry. Niech Bóg ma go w swojej opiece! Pachniała cudownie. Nie potrafił w tej chwili myśleć o niczym innym poza tym, jak łatwo byłoby obrócić głowę i skosztować tych jakże kuszących ust.

Nieświadoma, jak ciężkiej poddaje próbie jego wytrzymałość, Harriet zapytała szeptem:

- Gdzie jest prawdziwe pole bitwy?

Przez moment Rand nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż powiew jej ciepłego oddechu obudził w jego wnętrzu cały ogrom niepożądanych emocji.

Wreszcie, wsunawszy palec pod kołnierz koszuli, by go nieco rozluźnić, zdołał odetchnąć.

- Jak to się zdarza, chociaż bitwa na polach Bosworth okazała się rozstrzygającą potyczką między domami Yorków i Lancasterów, kładącą kres linii Plantagenetów i wyznaczającą początek panowania Tudorów, kronikarze z tych czasów nie zapisali niemal nic na jej temat.

- Och! - westchnęła Harriet.

Niestety, wymawiając jedno słowo musiała znowu otworzyć usta. Ta okoliczność zmusiła Randa do podjęcia wręcz heroicznego wysiłku, by myśleć wyłącznie o pradawnej bitwie, a nie o walce aktualnie rozgrywającej się w jego wnętrzu.

- Prawdę mówiąc - zaczął, usiłując pozbyć się chropawej nutki, która zakradła się do jego głosu - tak niewiele zostało zapisane o miejscu potyczki, że nie jest możliwe narysowanie dokładnej mapy. Jedyne, co wiadomo na pewno, to że bitwa miała miejsce gdzieś w tej okolicy i że koń Ryszarda utknął w nisko położonym wilgotnym miejscu - niektórzy mówią, że były to moczary. I, oczywiście, że w następstwie tego Ryszard został zabity.

Jak na zawołanie Miles, porzucając karierę miecznika, by objąć funkcję samego króla, upadł na kolana. Trzymając się za bok w próbie

zatomowania wymagowanej krwi wypływającej z wymagowanej rany, wykrzyknął:

- Konia, konia! Królestwo za konia!

Gdy żaden lojalny poddany nie przybył z zapasowym wierzchowcem, chłopak upadł plecami na ziemię z szeroko rozłożonymi ramionami. Z ostatnim, gwałtownym oddechem, zawołał:

- Zabito mnie. Żegnaj, Anglio. Żegnaj.

Scandalous

## Rozdział 9

Zostali na polach Bosworth dobre dwie godziny, mniej więcej tyle, ile trwała bitwa. Potem całe towarzystwo udało się do pobliskiej wsi Wigby, do gospody „Pod białą sową”. Właściciel tego zadbanego, choć niezbyt atrakcyjnego lokalu z radością powitał tak wytwornych gości i wyraził zadowolenie z powodu możliwości udostępnienia paniom osobnego pokoju dla ich wygody.

Po kilku minutach, dokonawszy ablucji i pozostawiwszy parasolki, torebki, kapelusze i rękawiczki na łóżku, obie damy dołączyły do panów w małej jadalni. Po poranku, który upłynął na spacerze po nierównym terenie, Harriet z ochotą zgodziła się na zajęcie miejsca przy okrągłym, przykrytym obrusem stole, na którym czekał już dzbanek z aromatyczną herbatą. Po pierwszych ożywczych łykach gorącego naparu Harriet oznajmiła, że jest zachwycona.

- Gdyby oberżysta nie zaserwował nam nic oprócz zimnej rzepy i czerstwego chleba, nie usłyszałyby narzekania z moich ust.

- Rzepa! - zawołał Miles z odrazą malującą się na twarzy. - Kuzynko, przecież wiesz, że nie znoszę tej okropnej jarzyny!

Tym razem chłopiec miał szczęście, bo nie przyniesiono ani jednego kawałka rzepy. Co więcej, smakowitość posiłku dalece przerosła ich oczekiwania. Podano wyborny filet z soli w sosie z białego wina z grzybami, do tego placek z jarzynami, którego skórka była tak krucha, że wręcz rozpuszczała się w ustach, oraz budyń

wymieszany z prażonymi migdałami, rodzynkami i konfiturami z moreli.

Dobłą godzinę później Miles skończył ostatni deser -swoją trzecią porcję - nie pozostawiając nawet okruszka, po czym oblizał cukier z palców.

- Ślubuję - oznajmił- że już nigdy nie będę jadł.

- Też coś - odezwała się jego siostra. - Chciałabym to zobaczyć!

Zwłaszcza że sprawiasz wrażenie, jakbyś chciał przejeść cały dom naszej biednej kuzynki.

- Czyżbym naprawdę przejadał cały twój dom, kuzynko?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Harriet. - Kiedy patrzyłam ostatnio, tylna ściana domu jeszcze stała.

Wszyscy roześmiali się na pełne oburzenia westchnięcie chłopca.

- Wybiera się pani do przytułku dla biedaków? - zapytał Rand.

Harriet potrząsnęła głową.

- Nie dzisiaj w każdym razie. Ale nawet gdybym musiała, nie byłoby to spowodowane karmieniem jednego, co prawda brudnego, dziesięcioletniego chłopca.

- Dziękuję - powiedział Miles. Odsunął swoje krzesło i wstał, a następnie okazał wdzięczność dla swojej dobrodziejki, chwytając łyżkę z budyniem z jej talerza i wpychając ją do ust.

Rand i Burton obserwowali jego zachowanie ze zdumieniem, ale panna Wilson tylko się zaśmiała.

- Masz szczęście, Milesie Gwynnie, że odłożyłam już widelec. Inaczej rana króla Ryszarda byłaby niczym w porównaniu z tymi, które byś otrzymał..

Anna Gwynn westchnęła.

- Panie Randolfie, panie Dunfordzie, muszą panowie wiedzieć, że moja kuzynka zawsze straszy tragicznymi konsekwencjami. Niestety, nigdy nie realizuje swoich gróźb, w rezultacie czego mój brat jest zupełnie niepoprawny.

Harriet Wilson mrugnęła do chłopca, który objął ręką jej ramiona i przytulił się do jej boku.

- Daję ci następną szansę - powiedziała. - Więc strzeż się, ty niepoprawny smarkaczu, bo następnym razem z pewnością dostaniesz za swoje.

Groźba ta była wyraźnie nazbyt często powtarzana, bo panna Gwynn wzniosła oczy ku niebu.

- To też chciałabym zobaczyć!

- Błagam, wybaczcie nam nasze niemądre zachowanie - powiedziała Harriet, ściskając Milesa, a następnie każąc mu usiąść, dopóki wszyscy nie skończą posiłku. - Panowie pomyślą sobie, że moi kuzynowie i ja jesteśmy całkowicie pozbawieni dobrych manier.

- Skądże znowu - zaprzeczył Burton.

- Właściwie - dodał Rand w zamyśleniu - zastanawiałem się, czy mogłaby pani mieć na drugie imię Lida.

- Kto to jest Lida? - zapytała Anna nieco później, gdy wraz z kuzynką wróciła do ich pokoju celem odświeżenia się i zabrania torebek i parasolek.

- Nie mam pojęcia.

- Zatem to bardzo dziwne, że pan Randolf pomyślał, że to mogłoby być twoje drugie imię.

Układając kapelusz na swych pięknych lokach i zawiązując wstążeczki pod brodą, dziewczyna cały czas obserwowała Harriet w zwierciadle.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi to, co powiem, kuzynko, ale...

- Ale co?

- Po prostu pewnych rzeczy dotyczących pana Randolfa nie rozumiem.

- Och - rzekła Harriet, zdecydowanie zbyt nonszalancko. - Proszę, cóż to takiego?

- Po pierwsze pamiętam, że powiedziałaś, iż poznałaś pana Randolfa kilka miesięcy temu, ale nigdy nie wspomniałaś o żadnych szczegółach. Na przykład, jak się poznaliście. Albo gdzie.

- Nic o tym nie mówiłam?

- Wiesz dobrze, że nie. I wnioskując z twojej lakoniczności, niczego więcej się na ten temat nie dowiem.

Ponieważ panna Wilson milczała, jej kuzynka kontynuowała.

- Jest dżentelmenem, wszyscy to widzą, i chyba tylko ktoś wyjątkowo nieżyczliwy mógłby coś zarzucić jego manierom czy

obejściu. Jednakże nie mogę wyzbyć się wrażenia, że on ukrywa o sobie coś ważnego. Czy nie dostrzegasz w nim niczego tajemniczego?

- Tajemniczego? Czemu? Czy dlatego, że mieszkał kiedyś na Barbados? Anno, moja droga, te historie o piratach, które opowiadał Milesowi, były w całości zmyślane. Proszę, nie pozwól, by twoja wyobraźnia wzięła górę nad rozsądkiem!

- Ależ... ja wcale na to nie pozwalałam.

- A jednak, moja droga. Inaczej nie mówiłabyś, że coś jest nie w porządku z panem Randolfem.

Anna z zawstydzeniem spojrzała w dół na swoje ręce, przyjmując jednak naganę bez urazy.

- Wiem, że jestem bardzo młoda - rzekła cicho - i nie mam nawet połowy twojego życiowego doświadczenia, ale nie uważam się za osobę bujającą w obłokach. I oczywiście chętnie przyznam, że byłam niemądra, jeśli powiesz mi, kuzynko, że wiesz, kim on jest. Albo choćby gdzie mieszka.

- Cóż...

- Poza tym, że jest gościem w domu myśliwskim lorda Dunford - wtrąciła dziewczyna, gdy Harriet zawahała się - czy mówił coś o swoich innych przyjaciółach? O rodzinie?

Harriet potrząsnęła głową, niezadowolona z obrotu rozmowy.

- O nikim nie wspominał. A ja nie pytałam, bo wcale nie mam ochoty wtrącać się w jego prywatne sprawy. A czy ty wypytywałaś pana Dunforda o jego przyjaciół? -zapytała, odwracając sytuację.



- Nie. Ale nie ma powodu, dla którego miałabym go wypytywać. Nie jestem zadurzona w panu Dunfordzie. I nie przypuszczam, bym miała się w nim kiedykolwiek zadurzyć. Moja matka, świeć Panie nad jej duszą, włożyła całe serce w to, by pomyślnie wprowadzić mnie w świat, i jestem zdecydowana nie psuć jej planów.

Nie usłyszawszy nic oprócz słowa „zadurzona”, Harriet poczuła, jak czerwienieje.

- Zapewniam cię, Anno, że nie jestem zadurzona w panu Randolfie.

Młoda dama milczała przez pewien czas, jakby przygotowując kolejne uwagi.

- Mam nadzieję, że wiesz, kuzynko, że kocham cię i podziwiam i za nic w świecie nie chciałabym, byś pomyślała, że jestem impertynencka, albo że cała ta rozmowa ma tylko zaspokoić mą pustą ciekawość. Wierz mi, byłoby to bardzo dalekie od prawdy.

- Oczywiście, Anno.

- Twoje szczęście - kontynuowała dziewczyna - jest dla mnie najważniejsze, i to nie tylko dlatego, że ja i Miles mieszkamy z tobą w jednym domu, choć jest to jeden z powodów. I dbając o przyszłe losy moje i Milesa, muszę spytać, czy masz słabość do pana Randolfa.

- Czy mam do niego słabość?! Moja droga, ja go ledwie znam!

- A co to ma do rzeczy?

- Bardzo wiele, jak mi się zdaje.

- Nie - zauważyła Anna - jeśli go kochasz.

- Zapewniam cię, że tak nie jest.

Wyraźnie nie wierząc zaprzeczeniom Harriet, Anna przemierzyła pokój i schwyciła ją za rękę.

- A czy masz nadzieję, że twoje uczucia zostaną odwzajemnione?

Jeśli policzki Harriet były przedtem zaczerwienione, to teraz wprost płonęły. Te pytania były uzasadnione i nikt nie był bardziej upoważniony do ich zadawania niż Anna, która była dla niej bardziej przyjaciółką niż kuzynką. Jednak niełatwo było na nie odpowiedzieć.

- Nie mogę ci tego rzec, moja droga, bo sama nie wiem. Nie dając się zbyć, dziewczyna pytała dalej.

- Czego dokładnie nie jesteś pewna? Że czujesz coś do niego? Czy że owo uczucie zostanie odwzajemnione?

- Ani jedno, ani drugie. I jedno, i drugie. Ach, skąd mam wiedzieć? A właściwie, to ja powinnam zadawać takie pytania tobie. Zwłaszcza że twój wuj dowiedział się, że interesuje się tobą mężczyzna o raczej wątpliwej reputacji, a mianowicie brat pana Burtona Dunforda.

Tym razem Anna była zaskoczona.

- Lord Dunford? Wujek Freddy myśli... - Roześmiała się tak donośnie, że aż zasłoniła usta. - A to dobry żart, faktycznie, zwłaszcza że nigdy nie widziałam jego lordowskiej mości. Jedyne, co o nim wiem, to to, co mówiłaś mi ty, kuzynko, i wierz mi, to wcale nie zachęca do zawarcia z nim znajomości.

- Masz rację - rzekła Harriet. - Lord Dunford jest ostatnią osobą na świecie, jaką ja również chciałabym znać.

Było już dobrze po czwartej, gdy woźnica podjechał landem przed gospodę „Pod białą sową”. Podczas gdy Rand załatwiał rachunek z oberżystą, panie przechadzały się po małym ogródku znajdującym się z tyłu gospody.

Uregulowawszy należność, Rand wyszedł do ogródka. Ku jego radości, Miles i Burton gdzieś sobie poszli, zaś panna Gwynn zajęta była jasnożółtym motylem, który zainteresował się jej szkarłatnym pantoflem. Jej kuzynka zaś stała sama w pobliżu jabłoni o wciąż niedojrzałych, jasnozielonych owocach.

Uradowany perspektywą spędzenia paru chwil na osobności z panną Wilson, lord Dunford zdjął kapelusz i uklonił się w przesadny sposób.

- Mam nadzieję, droga pani, że nie przeszkadzam pani w czułych wspomnieniach pewnego osła?

Harriet zaśmiała się.

- Chociaż zadał pan tylko jedno pytanie, moja odpowiedź musi być dwuczęściowa. Po pierwsze, moje wspomnienia przywołanego zwierzęcia dalekie są od czułości. Po drugie, nie przeszkadza mi pan.

- Przynajmniej tę drugą część miło mi słyszeć, ponieważ chciałbym panią prosić o pewną przysługę.

Panna Wilson westchnęła niby rozczarowana.

- Jakże to podobne do przedstawicieli pańskiej płci! Najpierw funduje pan mnie i mojej rodzinie wprost cudowną wycieczkę. Potem dołącza pan do tego wspaniałego posiłek. Wreszcie, upewniony już, że jestem wobec pana zobowiązana, przychodzi pan prosić mnie o

przysługę. - Westchnęła znowu. - Powinnam była wiedzieć, że tak będzie. Cóż chciałby pan, bym dla pana uczyniła? Mam zabić smoka? Napisać sonet? A może po prostu chce pan, bym wróciła na piechotę, żeby pan Dunford mógł pojechać powozem?

Tym razem to Rand się roześmiał.

- Nic tak nierycerskiego, zapewniam panią. Chciałem tylko zapytać panią, czy byłaby pani tak miła i zarezerwowała dla mnie taniec jutrzejszego wieczoru? To jest, czy pójdzie pani ze mną na bal?

Nic nie sprawiłoby Harriet większej przyjemności niż taniec z panem Randolfem. Nie uczestniczyła w żadnym balu od czasu śmierci ojca i wpadła w zachwyty na samą myśl o wirowaniu po sali, jakby wciąż była beztroską panienką. Oczywiście, nie była już tą panienką, ale nie przeszkadzało jej to specjalnie. Jeśliby tylko orkiestra zagrała walca, puściłaby się w ten śmiały taniec, nie zważając na to, że zostanie potępiona.

Perspektywa tańczenia walca z panem Randolfem wprost zaparła jej dech w piersiach. Jej serce biło żywiej na samą myśl o romantycznym uścisku, gdy jej ręka spoczywałaby na jego barczystym ramieniu, a jego dłoń, obejmując ją w talii, władczo obracałaby ją w obranym przez niego kierunku.

Jakby odgadując jej myśli, Rand zapytał.

- Czy sądzi pani, że zagrają walca?

- Nie wiem... W każdym razie nie spodziewałam się, że w tak małym miasteczku jest sala balowa, i nie zabrałam odpowiedniego stroju.

Wyraz rozczarowania malującego się w szarych męskich oczach wystarczył, by Harriet zechciała wziąć udział w balu choćby w nocnej koszuli, gdyby zaszła taka konieczność.

- Jak sama pani powiedziała, to małe miasto. Z tego powodu nie sądzę, by ktokolwiek uznał, że jest pani nieodpowiednio ubrana, jakkolwiek suknię by pani włożyła.

Mieszkając przez całe życie w stolicy, Harriet nie orientowała się, jakie stroje są przyjęte w Kipworth, ale z bijącym w zawrotnym tempie sercem postanowiła uwierzyć zapewnieniom swego towarzysza.

- Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, to będę bardzo szczęśliwa, mogąc zarezerwować taniec dla pana.

- Dziękuję - szepnął lord Dunford, po czym ujął jej dłoń i uniósł ją do ust. Gest ten przypomniał Harriet ich pierwsze spotkanie, wówczas ten mężczyzna przycisnął wargi do jej ust. To był magiczny pocałunek i Harriet nie zapomniała o nim.

Najwyraźniej pan Randolf myślał o czymś bardzo poważnym, bo stał się jakby nieobecny.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała.

- Od naszego pierwszego spotkania - rzekł - od tej nocy, gdy zabrała mnie pani do swojego domu i opatrzyła moje rany, zapytywałem siebie, którym moim czynem zasłużyłem sobie na takie szczęście. Poznanie pani było najlepszym, co mnie dotąd spotkało w życiu.

- Doprawdy?

- Bez cienia wątpliwości. Niestety, jeżeli w ogóle czegokolwiek nauczyłem się w swoim dość burzliwym życiu, to tego, że za wszystko trzeba kiedyś zapłacić.

- Zapłacić? Nie rozumiem. Nie żądałam od pana niczego.

- To prawda, nie żądała pani. Przez to moja sytuacja jest jeszcze bardziej nieznośna. Ofiarowała mi pani swą przyjaźń za darmo i nawet się pani nie domyśla, ile dla mnie znaczył ten dar.

Wciąż nie puścił jej dłoni, a teraz przyglądał się jej uważnie, przesuwając kciukiem po smukłych palcach.

- Cenę, którą muszę zapłacić, sam sobie wyznaczyłem. A walutą jest uczciwość.

Harriet nawet nie domyślała się, co chciał jej powiedzieć, ale z jego powagi wnioskuje, że uważał to za coś istotnego.

- Panno Wilson - zaczął - muszę pani coś wyznać...

- Czy nie czas już wracać? - zapytała Anna, zaskakując oboje swym nagłym pojawieniem.

Lord Dunford zmiął w ustach przekleństwo. Rozczarowanie z powodu przerwanej rozmowy musiało odmalować się na jego twarzy, ponieważ młoda dama zarumieniła się i przeprosiła.

- Zdaje się... zdaje się, że przeszkodziłam w osobistej rozmowie...

Oczywiście, że przeszkodziła i to akurat wtedy, gdy Rand doszedł w końcu do wniosku, że musi skończyć z zakłamaniem, i zamierzał ujawnić swoją faktyczną tożsamość. Panna Wilson zasługiwała na to.

Naturalnie to, co chciał jej wyznać, wymagało, aby byli sami. Nie mógł podjąć tego tematu w obecności panny Gwynn. Tak samo, jak nie mógł odłożyć na bok dobrych manier i powiedzieć młodej damie, że życzy sobie, by się oddaliła. Poszła poszukać następnego motylka, czy gdziekolwiek, byle tylko zostawiła ich samych jeszcze przez parę minut.

Zmartwiony, że musi odwlec wyznanie, które było dlań tak niewiarygodnie trudne, Rand odpowiedział na pierwsze pytanie młodej damy, niewiele się zastanawiając.

- Powóz jest gotowy, panno Gwynn, ale nie możemy wyruszyć bez naszych zagubionych braci.

Ledwie słowa te wyszły z jego ust, zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Anna nie dostrzegła w jego odpowiedzi nic niezwykłego, ale Harriet spojrzała nań ze zdziwieniem.

- Nie wiedziałam, że ma pan bra...

- Proszę - rzekł łagodnie, zaglądając jej w oczy tak głęboko, że nie mogłaby się odwrócić, choćby od tego zależało jej życie - czy zechciałaby pani uczynić mi ten zaszczyt i mówić do mnie Rand?

Ta niespodziewana prośba sprawiła, że serce Harriet zabiło żywiej. Zwracanie się do mężczyzny po imieniu, publiczne okazywanie takiej poufałości wyraża bardzo bliską więź. Pań Randolf przebywał dwanaście lat poza Anglią. Przypuszczalnie nie pojmował doniosłości własnej prośby. A jeśli pojmował?

Te zaskakujące uwagi, że poznanie jej było najlepszym, co go w życiu spotkało, że wszystko ma swoją cenę... Czy w ten sposób chciał



rozpocząć inną, bardziej osobistą rozmowę? Powiedział, że chciałby jej coś wyznać. Czy chciał przez to powiedzieć: zapytać? Czy... Czyżby chciał jej złożyć jakąś propozycję?

Na samą myśl, że mógłby jej zaproponować małżeństwo, Harriet zawirowało w głowie. Ledwie godzinę wcześniej odrzuciła twierdzenie Anny, jakoby miała słabość do pana Randolfa lub była w nim zakochana. Jednakże, co musiała przyznać, nigdy wcześniej nie odczuwała takiej przyjemności w niczyim towarzystwie. Nigdy wcześniej sama obecność mężczyzny nie sprawiała, że niebo stawało się bardziej błękitne, odległe wzgórza zieleńsze, a powietrze słodsze. Nigdy wcześniej również jej serce nie wydzierało się z piersi na sam dźwięk czyjegoś głosu, a jej kolana nie miękły za każdym czymś uśmiechem. Czy to może być miłość?

Odkąd go poznała, nigdy nie opuścił jej myśli. Sześć miesięcy temu jawił się w nich jako najbardziej fascynujący mężczyzna, jakiego kiedykolwiek znała, a czas, który spędziła z nim w ciągu ostatnich kilku dni, tylko spotęgował owo wrażenie.

Czy to może być prawda? Czy jednak ma słabość do pana Randolfa? Czy jest w nim zakochana?

Odpowiedzią było bezsprzeczne: tak!

Podróż powrotna do Kipworth dostarczyła Harriet najwspanialszych w życiu wrażeń. Zdawało się jej, iż powóz ma skrzydła, na których unoszą się tylko ona i mężczyzna, którego kocha. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko o tym, jak Rand całował jej palce, i o tym, że jutrzejszego wieczoru będzie z nią tańczyć, że



będzie ją trzymał w swych objęciach, a potem, być może, znajda jakieś ustronne miejsce, gdzie będzie mógł ją trzymać jeszcze bliżej i całować jej chętnie usta.

- Czy ty tak nie uważasz? - zapytała Anna, sprowadzając swą kuzynkę na chwilę na ziemię.

- O... oczywiście - odrzekła Harriet. Nie miała zielonego pojęcia, o czym jest mowa, ale jej odpowiedź musiała pasować, bo nikt nie spojrzał się na nią podejrzliwie.

Prawdę mówiąc, jej zmysły odmówiły jej posłuszeństwa. Jej uszy były głuche na wszystkie głosy, z wyjątkiem głębokiego barytonu Randa, tak jak jej oczy były ślepe na wszystkie twarze oprócz jego. Był tak niewiarygodnie przystojny! A ona była najszczęśliwszą kobietą na świecie, bo zdobyła uczucie tak wspaniałego mężczyzny.

To prawda, że wiedziała o nim niewiele, ale jakież to miało znaczenie, gdzie mieszka i kim są jego przyjaciele. Wiedziała dwie najważniejsze rzeczy: że jest człowiekiem honoru i że kocha go z całego serca. Będzie miała całe dni, tygodnie, lata, by poznać wszystkie te nieistotne szczegóły. W końcu ma spędzić z nim całe życie!

Rand. Na sam dźwięk jego imienia ciarki przechodziły jej po plecach.

Nawet nie zauważyła, że dojechali już do „Róży i Korony”. Gdy tylko woźnica wprowadził lando na dziedziniec karczmy, natychmiast zjawił się jeden ze stajennych i stanął koło łbów koni. Miles zeskokczył

z powozu pierwszy, potem pomógł wsiąść siostrze. Następnie wysiadł Rand i pomógł Harriet. Ku jej radości nie puścił jej dłoni i podczas gdy ona nie mogła się nadziwić, jak znajome zdają się już jego palce i jak są silne, a zarazem delikatne, on drugą ręką szukał napiwku dla stajennego.

Zafascynowana każdym ruchem ukochanego, Harriet patrzyła, jak rozchyła poły ochrowej kurtki, ukazując doskonale dopasowaną kremową kamizelkę. A kiedy w jednej z kieszonek szukał monety, dostrzegła jeszcze elegancko wyszywaną wstążkę zwisającą z kieszonki na zegarek.

Miał znakomity gust. Pełen prostoty, ale bardzo elegancki. Cóż nawet wstążka była...

Nagle przestała myśleć o wstążce, bo jej uwagę przykuł złoty breloczek do niej przyczepiony. Był to naprawdę niezwykły wyrób złotniczy - sokół wędrowny siedzący na bezlistnym konarze. Oczy ptaka wykonano z dwóch maleńkich bursztynów, a żeby lepiej oddać rdzawy kolor piersi, do złota dodano odrobinę miedzi.

Harriet bez trudu rozpoznała dodatek miedzi. Musiała rozpoznać, bo to ona jej dodała. To ona była złotnikiem, który stworzył tego sokoła.

Przez moment nie mogła złapać oddechu, nie mogła pozbierać myśli. Wykonała ten breloczek dla lorda Dunford, najslawniejszego libertyna Londynu. W jaki więc sposób dostał się w ręce pana Randolfa?

Gdy tak stała w milczeniu, nie mogąc skupić się na niczym, Rand odnalazł monetę, wręczył ją stajennemu, po czym odwrócił się, by pożegnać się z Harriet.

- Dziękuję - powiedział głosem przepelnionym ciepłem - za wspaniały dzień.

Uśmiechnął się do niej, lecz tym razem kolana nie ugięły się pod nią. Mając przed oczami jego doskonale wyrzeźbione usta i silne, białe zęby, przypomniała sobie, jak kiedyś pomyślała, iż ten człowiek ma uśmiech diabła. Jak proroczo? Jak przenikliwie?

Harriet przygryzła dolną wargę, by powstrzymać jej drżenie, bo w tym momencie знаła już prawdę. Bez cienia wątpliwości. Nie było żadnego pana Randolfa. Nigdy go nie było. Człowiek stojący przed nią - uśmiechający się do niej i czarujący ją, jak to tylko on potrafi - to nie kto inny, tylko pan „Nie Zważam na Nic”.

## Rozdział 10

Podczas krótkiej jazdy z „Róży i Korony” do domu myśliwskiego Rand układał w głowie list - list do Harriet Wilson, w którym objaśniał, jak doszło do tego, że zataił przed nią swoją tożsamość. Nigdy w całym swoim życiu nie tworzył równie doniosłego dokumentu, w którym każde słowo waży.

Konieczne było, aby panna Wilson otrzymała list przed jutrzejszym wieczorem, albowiem mały Miles wspomniał, że jego wujek Freddy zatrzymał się w karczmie. Chociaż Frederick Gwynn był niezbyt rozgarnięty i w normalnych warunkach zupełnie niegroźny, mógł jednak wyrządzić Randowi sporą szkodę. Zwłaszcza gdyby porozmawiał z Harriet, zanim przeczytałaby list.

Gdyby Gwynn poinformował ją, że jej przyjaciel, pan Randolph, to nie kto inny, tylko lord Dunford, Harriet nigdy by nie uwierzyła, że Rand nie chciał jej oszukać. A on nie mógł się pogodzić z myślą, że mógłby ją utracić.

- Nigdy! - wymamrotał.

Gdy woźnica zatrzymał konie, by lord Dunford mógł wysiąść przed gankiem domu myśliwskiego, Burton Dunford zdążył już oddać konia stajennemu i teraz stał przy orzechowych drzwiach, jakby czekał na brata.

- Czy dołączyłbyś do mnie na partyjkę bilardu? - zapytał cicho, tak jakby zadawał podobne pytanie codziennie.

Chociaż Rand zdecydowanie wołałby dokończyć układanie listu, oczywiście natychmiast się zgodził. To była pierwsza gałązka oliwna wyciągnięta przez jego brata i nic nie powstrzymałoby go od przyjęcia jej.

- Pozwól mi wstąpić na chwilę na górę. Potem dołączę do ciebie, powiedzmy, za kwadrans?

- Za kwadrans - zgodził się Burton raczej nieśmiało, nie podnosząc wzroku.

Po umówionych piętnastu minutach obaj bracia spotkali się w sali ze stołem bilardowym, rzucili kurtki na oparcie wytartej, skórzanej kanapy i podwinęli rękawy koszul do łokci.

Gdy wybierali kije z polerowanego orzechowego stojaka przymocowanego do ściany, Rand zapytał brata, o czym myśli. Ku jego zdumieniu pytanie nie zostało pominięte milczeniem.

- Czy pamiętasz - zapytał Burton - jak to było, kiedy byłeś chłopcem w wieku Milesa?

Rand zachichotał.

- Pamiętam. I chociaż może ci się to wydać dziwne, nie czuję, jakby to było dawno. Czemu o to pytasz?

Jego brat nie odpowiedział, ale zadał kolejne pytanie.

- Czy gdy miałeś dziesięć lat, jadałeś przy stole z naszą matką?

Rand musiał powstrzymać się od drwiny.

- Żartujesz? Dopóki nie byłem w odpowiednim wieku, by uczęszczać do Eton, przebywałem w obecności matki tylko pod okiem służącego, który mógł mnie zabrać na jedną jej uwagę. Najpierw była

to pokojówka, potem guwernantka, wreszcie prywatny nauczyciel. I w żadnym razie, niezależnie od tego, jak przykładne było moje zachowanie, nie byłem zapraszany do wzięcia udziału w posiłku. Nawet w herbacie.

Burton nic na to nie rzekł. Odnalazł bile i umieścił je na pokrytym suknem stole.

- Ja też pamiętam moje wczesne lata - odezwał się w końcu. - I też nie mogę sobie przypomnieć, bym jadł przy stole z naszą matką. Pomijając podkradanie cukierków z jej talerza. I chociaż nie byłem bardziej brudny niż przeciętny dziesięcioletni chłopiec - dodał cicho - nie przypominam sobie, żeby chociaż raz objęła mnie ramieniem albo żeby pozwoliła, bym ją objął.

Nagle odwrócił się plecami, udając zainteresowanie właściwym ustawieniem bil na stole, lecz Rand nie dał się zwieść: usłyszał nieznaczne łamanie się w głosie młodszego brata.

- Myślisz o naszym obiedzie - powiedział łagodnie - i o więzi łączącej pannę Wilson, Milesa i pannę Gwynn.

- Nigdy nie sądziłem, że taki związek między dorosłymi a dziećmi może mieć miejsce. I nawet nie wyobrażałem sobie, że coś takiego mogłoby być tolerowane przez dorosłych. Więcej, mile widziane.

Przynajmniej minuta upłynęła, nim przemówił ponownie.

- Jaka to wspaniała kobieta!

- Panna Gwynn?

Burton wyglądał na zdziwionego tym pytaniem.

- Panna Anna Gwynn jest bez wątpienia najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem, ale mówiłem o jej kuzynce. Panna Wilson jest wyjątkową kobietą.

- To prawda - przyznał Rand, nie mogąc ukryć uśmiechu, który zakradł mu się na usta. - Panna Harriet Wilson jest bezcenną perłą.

Burton nic nie rzekł i dopiero gdy oddał pierwszy niecelny strzał, nie trafiając nawet w poblizę bili, w którą mierzył, spojrzął ponownie na brata.

- Rand?

-Tak?

- Myślałem, że interesujesz się panną Gwynn, ale myliłem się, jak mniemam. To panna Wilson przykuła twoją uwagę, nieprawdaż?

- Każdy, kto zna pannę Wilson, musi ją uwielbiać.

- To prawda, ale... - Burton odchrząknął, jakby obawiając się kontynuować. Wreszcie wyrzucił z siebie: - Nie zamierzasz chyba wyrządzić jej krzywdy?

Rand pochylił się już nad stołem, przygotowując się do strzału, ale na to pytanie wyprostował się. Było ono uzasadnione, jednak nie tylko nie pogniewał się na brata, że je zadał, ale wręcz był mu za nie wdzięczny.

- Uroczyście przysięgam - powiedział - że nigdy nie sprawię jej choćby odrobiny bólu.

Harriet była odrętwiała z bólu. Nie zauważyła nawet, jak znalazła się w karczmie ani jak weszła po schodach. Jedyne, co

wiedziała na pewno, to że wreszcie dotarła do swojej sypialni, gdzie mogła się zamknąć na klucz.

Rzuciwszy parasol, kapelusz i torebkę na dębową toaletkę, wyciągnęła się na łóżku i zakryła twarz jedną z poduszek, by stłumić łkanie, którego nie mogła już dłużej wstrzymać. Niebawem poduszka była całkiem mokra od łez, a ona wciąż płakała. Nawet nie próbowała się opanować, aż jej skronie zaczęły pulsować, a tył głowy boleć, jakby grupka złośliwych elfów stuknęła swymi małymi młotkami w jej czaszkę.

Oczywiście ból ten był niczym w porównaniu z bólem w jej sercu!

Gdy tak leżała z zamkniętymi oczyma, a cierpienie pozbawiało ją resztek sił, przypomniała sobie coś, co przeczytała w przewodniku, który karczmarz Shimmerhorn trzymał koło drzwi wejściowych. Autor tej książki wychwalał cuda miasta Leicester, położonego w odległości popołudniowej przejażdżki z Kipworth, a będącego ponoć siedzibą legendarnego króla Leara.

- Król Lear - mruknęła Harriet, wspominając historię starego króla i trzech córek, które go oszukały. - Jak to dobrze pasuje.

Zupełnie tak jak ów król Harriet okazała się niesamowicie naiwna. Ale w przeciwieństwie do Leara nie mogła się usprawiedliwiać sędziwym wiekiem i zmęczeniem. Zakochała się w przystojnej twarzy i postawnej sylwetce, by nie wspomnieć o uśmiechu, niewątpliwie wyćwiczonym w celu omamiania nierozsądnych przedstawicielek jej płci.



Zaufała mu w pełni, a teraz pozostało jej tylko rozmyślanie, jak bardzo była niemądra. Czy gdyby oszust był mniej przystojny, mniej czarujący, byłaby mniej naiwna?

Myślała, że są przyjaciółmi. Ale jak może istnieć przyjaźń bez uczciwości? Powiedział jej, że jest panem Randolfem i uwierzyła mu. Chciała mu wierzyć. Jak odurzona przekonywała nawet samą siebie, że zamierzał poprosić ją o rękę.

Ha! Ten mężczyzna to libertyn. Tacy ludzie nie żenią się z pannami bez posagu.

Jednakże cóż miała znaczyć ta dziwna rozmowa w ogródku gospody? Ta uwaga o płaceniu za wszystko - jeśli nie był to wstęp do propozycji małżeństwa, to co to było?

Ledwie zadała sobie to pytanie, w jej duszy powstało straszne podejrzenie. Czyżby chciał zaproponować jej *carte blanche*? Czy chciał, by została jego kochanką?

Pomimo szoku, pomimo bólu, nieoczekiwanie w jej głowie pojawiła się myśl tak paradoksalna, że Harriet musiała się uśmiechnąć, aczkolwiek przez łzy. Gdyby lord Dunford faktycznie osiągnął to, że zostałaby jego kochanką, kogo wybrałby do zaprojektowania jej biżuterii?

W istocie, kogo?

Jej wesołość była bardzo krótkotrwała, gdyż kolejna myśl uderzyła ją i sprawiła, że aż się wyprostowała, odrzucając mokrą poduszkę na bok. Jej zakład złotniczy! Przyjechała do Kipworth, by

dostarczyć broszę, a tym samym ocalić reputację swoją i zakładu. Tymczasem wpakowała się z deszczu pod rynnę!

Gdyby dotarło do Londynu, że podróżowała po okolicy w towarzystwie lorda Dunford, jej reputacja ległaby w gruzach. A bez reputacji mogłaby się pożegnać z wszelkimi zamówieniami.

Jęknęła, po czym rzuciła przemoczoną łzami poduszką przez pokój, strącając przy okazji cynowy świecznik. Ponieważ świeca nie była zapalona, więc Harriet nie zwróciła na to uwagi. Zdjęła półbuty i rzuciła je w ślad za poduszką, po czym położyła się na plecach i naciągnęła kołdrę na głowę.

W tej chwili jej jedynym życzeniem było już nigdy nie opuszczać tego pokoju.

## Rozdział 11

Naturalnie życzenie Harriet nie spełniło się. Wieczorem wymówiła się bólem głowy i nie zeszła na kolację, ale z nastaniem ranka zdała sobie sprawę, że nie może ukrywać się wiecznie. Nie zamierzali opuszczać Kipworth przez najbliższe trzy dni, a z doświadczenia wiedziała, że odwlekanie nieuniknionego niczego nie ułatwia.

Pogodzona z losem, umyła się, uczesała włosy i spięła je na czubku głowy, przywdziała swą najładniejszą sukienkę - w kolorze morelowym, z falbankami u rąbka i miniaturowymi liśćmi bluszczu wyszywanymi na bufiastych rękawach. Zadowolona ze swego wyglądu zeszła na dół zjeść śniadanie. Jej kuzyni czekali już na nią przy stole. Czekał też na nią gruby, doręczony przez posłańca list.

- Dostałaś następny list - poinformował ją Miles w chwili, gdy weszła do ich prywatnej jadalni. - To już drugi w tym tygodniu. To dziwne w Londynie nie dostawałaś nawet dwóch listów w miesiącu!

- Tak - odpowiedziała głosem pozbawionym wszelkiego zainteresowania. - Bardzo dziwne.

Nie dzielając entuzjazmu chłopca dla niespodziewanego przyrostu korespondencji, Harriet ledwie zerknęła na nazwisko i adres na liście. Rozpoznała charakter pisma, nie wspominając już o prostej, wiśniowej pieczęci przymocowanej do złożonych arkuszy papieru. Identyczny list otrzymała dwa dni wcześniej, bez problemu więc odgadła tożsamość nadawcy.

Właśnie teraz odgadła jego tożsamość! Cóż za ironia losu!  
Gdyby nie czuła się tak, jakby na jej serce nastąpił jakiś olbrzym,  
mogłaby się roześmiać.

- Cóż - zapytał Miles - nie zamierzasz go przeczytać?

- Później - skłamała, usiłując nadać swemu głosowi niedbały ton.

W istocie, gdyby nie groziło to wywołaniem komentarzy, Harriet już w tej chwili najchętniej wrzuciłaby te kartki do ognia. Czytanie kręactw jego lordowskiej mości było ostatnią rzeczą w świecie, jaką chciałyby robić. Przykrywszy zatem serwetką nie otwarty list, żeby nie musieć na niego patrzeć, zwróciła się do Milesa.

- Obecnie - powiedziała - chciałabym omówić z twoją siostrą sprawę dzisiejszego balu. I jako że jestem przekonana, iż ta rozmowa nie wyda ci się interesująca, może przeszedłbyś się do stajni, zobaczyć, jak się miewają małe kotki.

- Zdecydowanie wolałbym pójść do domu myśliwskiego lorda Dunford. Burton mówił, że mają w psiarni nowy miot szczeniąt.

Zauważywszy, jak w tym momencie twarz kuzynki wykrzywił skurcz, Anna nakazała chłopakowi zabierać się.

- To znaczy oczywiście, jeśli skończyłeś już jeść śniadanie.

- Skończyłem - odpowiedział. - Prawdę mówiąc, nie mogłbym zjeść już ani odrobiny.

Jednak wbrew temu oświadczeniu, zanim odszedł od stołu, schwycił jeszcze dwie bułeczki z rodzynkami. Jedną ukrył w kieszeni kurtki jako zabezpieczenie od śmierci głodowej przed obiadem, drugą zaś zaczął pochłaniać jeszcze przed opuszczeniem pokoju.

W chwilę po jego wyjściu Anna zapytała, czy może podać Harriet któryś z sześciu półmisków z jedzeniem stojących na kredensie.

- Polecam jajka na maśle i śledzie.

Otrząsając się z obrzydzenia, Harriet odparła, że nie ma ochoty na nic z wyjątkiem filiżanki gorącej czekolady.

Dzbanek z czekoladą stał w zasięgu ręki Anny, jednak ona zignorowała ten fakt. Wstała natomiast z krzesła i przyklękła przy kuzynce, chwytając jej obie dłonie.

- Co jest nie w porządku, kuzynko?

- Nie w porządku? Dlaczego? Wszystko jest...

- Proszę cię, nie próbuj mnie zbywać. Nie tym razem. Mam oczy i potrafię rozpoznać, kiedy ktoś spędził większość nocy na płakaniu w poduszkę. Czy twoja rozpacz ma coś wspólnego z panem Randolfem?

Harriet uwolniła dłonie z uścisku dziewczyny, po czym, uznawszy, że najlepiej wyznać wszystko od razu, powiedziała:

- Nie ma żadnego pana Randolfa. Nigdy kogoś takiego nie było.

Anna gapiła się na nią z najwyższym zdumieniem.

- Chyba się przesłyszałam, czy ty powiedziałaś...

- Dobrze usłyszałaś, moja droga. Prawda jest taka, że pan Randolf to nie kto inny, jak lord Dunford.

- Co?!

- Twój wuj Freddy miał rację, człowiek, który towarzyszył nam w wycieczce do kościoła św. Agnieszki, to właśnie jego lordowska mość. Twój wuj upierał się przy tym, ale ja nie dawałam mu wiary. A

teraz - dodała, zamykając oczy- tak jakby ból w moim sercu i zawstydzenie, które odczuwam, nie były wystarczającą karą, będę musiała wysłuchać kazania Fredericka Gwynna na temat łatwowości kobiet w moim wieku.

- Ale przecież nie zrobiłaś nic złego!

- Niestety, ten fakt będzie dla niego nieistotny.

- Mój wuj to głupiec - powiedziała nagle rozzłoszczona Anna.

- Anno!

- Przepraszam, kuzynko, ale to prawda i nie widzę powodu, dla którego miałabyś wysłuchiwać jego reprimend. -Spojrzała w stronę drzwi, jakby chcąc się upewnić, czy nadal są same. - Lubię wuja, mimo że nie jest on zbyt bystry. Ty jesteś od niego znacznie mądrzejsza i on o tym wie. Dopóki ty sama mu nie powiesz, że zostałaś oszukana przez lorda Dunford, wuj Freddy nigdy nie będzie miał pewności, czy w istocie tak się stało A więc nie będzie mógł czynić ci jakichkolwiek wyrzutów.

W tym rozumowaniu była pewna logika i Harriet skłonna była skorzystać z rady. Niestety sprawa dotyczyła nie tylko Fredericka Gwynna.

- A co z panną Shaw i tymi z gości, którzy widzieli mnie w towarzystwie jego lordowskiej mości?

- Nie jesteś nic winna pannie Shaw. A jeśliby ona lub którakolwiek z tych plotkarek, które nas szpiegowały, była na tyle niegrzeczna, by wspomnieć ci o lordzie Dunford, musisz tylko

zamrużyć oczyma, poudawać nieco zakłopotaną i powiedzieć coś w rodzaju: „Ach, więc to jest lord Dunford? Jakże to interesujące!”

Zdumiona przebiegłością dziewczyny, Harriet zapytała:

- W jaki sposób stałaś się taka mądra?

- To oczywiste - odparła Anna, obejmując ją. - Po prostu obserwując ciebie.

Gdy się uściskały, Anna wróciła na swoje miejsce i naląła Harriet gorącej czekolady, o którą ta wcześniej prosiła. Podając jej filiżankę, zapytała o list.

- Od jego lordowskiej mości, prawda? Harriet nieznacznie skinęła głową.

- Czy zamierzasz go przeczytać?

- Nie.

- Może powinnaś. Być może wyjaśnił w tym liście wszystko. Jest wystarczająco gruby.

- Nie chcę żadnych jego wyjaśnień. Czas na nie minął. Lepiej by było, gdyby je złożył trzy dni temu.

- Ależ kuzynko, widziałam, jak on na ciebie patrzył i jak ty patrzyłaś na niego. Jestem przekonana, że...

- Proszę - przerwała jej Harriet, a drżenie jej głosu wskazywało, że bliska jest kolejnego wybuchu płaczu. - Nie mówmy już więcej na ten temat.

Dziewczyna wyraźnie chciała zaprotestować, ale Harriet powstrzymała ją, podejmując temat wieczornego balu.

- Wiem, że obiecałam, że będziesz mogła pójść, moja droga, ale sama rozumiesz, że nie mogę ci towarzyszyć.

- A co będziesz robić przez ten czas? Chować się w swojej sypialni? Czy chcesz, by lord Dunford pomyślał, że leczysz zranione serce?

Harriet potrząsnęła głową.

- Tego bym nie zniosła.

- A zatem musisz przynajmniej na chwilę pojawić się dzisiejszego wieczoru. Zwłaszcza że było wiadomo, że miałaś zamiar wziąć udział w balu.

- Oczywiście masz rację, ale nie wytrzymam całego wieczoru.

- Jeżeli o to chodzi - powiedziała Anna - to nie musimy zostawać dłużej niż godzinę. Po tym czasie powiem, że rozboleła mnie głowa, a ty, jako osoba pełna współczucia, będziesz nalegać, by towarzyszyć mi do mojej sypialni.

- Tylko godzinę?

- Nie dłużej. Jak tylko opuścimy salę balową, będziesz mogła wrócić do siebie i zapomnieć o moim wuju, pannie Shaw i wszystkich wścibskich plotkarkach, które kiedykolwiek gościły w „Róży i Koronie”.

Harriet skinęła głową na zgodę. Ten plan był dobry. Niestety miał jedną podstawową wadę: jeżeli już zapomni o wszystkich ludziach, jak zdoła zapomnieć o człowieku, który złamał jej serce?

- Złamała go pani - powiedziała Lucy.



Harriet popatrzyła na piękny wachlarz z kości słoniowej i koronek. Wraz ze zbliżaniem się godziny rozpoczęcia balu stawała się coraz bardziej nerwowa. Czekała, aż pokojówka skończy układać włosy Annie, musiała czymś zająć ręce, zaczęła więc otwierać i zamykać delikatny wachlarz. Dopiero gdy usłyszała charakterystyczny trzask jednej z cienkich listewek, zorientowała się, co robi.

- Jaka szkoda. Czy chce pani, bym pobiegła do pani pokoju i poszukała drugiego?

Harriet pokręciła głową. Po co? W jej obecnym stanie przypuszczalnie złamałaby następny wachlarz. Poza tym jedyne, czego chciała, to udać się do sali balowej, spędzić tam ustaloną godzinę, a potem uciec.

- Panienka jest piękna jak obrazek - powiedziała Lucy, gdy Anna wreszcie wstała od toaletki. - Pani też - dodała, włączając do komplementu swoją pracodawczynię.

Oceniając wygląd Anny, pokojówka nie przesadziła. Smukła dziewczyna o złocistych włosach i oczach błękitnych niczym u syjamskiego kota jeszcze nigdy nie wyglądała tak ślicznie. Nałożenie śnieżnobiałej spódnicy na bladoniebieską jedwabną suknię zamieniło ją w toaletę wieczorową, choć odpowiednio skromną jak na pierwszy wieczór taneczny młodej damy. Nie miało to zresztą większego znaczenia, gdyż Anna była tak piękna, że prawdopodobnie mało kto zwróci uwagę na to, w co jest ubrana.

Jeżeli chodzi o strój jej kuzynki, był on wyjątkowo skromny. Prostokątny dekolt jej dwuletniej żorzetowej sukni był wprawdzie

dość odważny, odsłaniał krągłości piersi, ale tego wieczoru Harriet zrezygnowała z koronkowego szalu, który zwykle nosiła, przyozdobiła natomiast szyję srebrnym grawerowanym naszyjnikiem w kształcie półksiężyca - dziełem rąk własnych.

- Lucy ma rację - powiedziała Anna. - Wyglądasz wspaniale.

- Ale nie czuję się wspaniale. Czuję się jak baranek ofiarny składany na ołtarzu dobrego wychowania. Zastanawiam się tylko, kto pierwszy podejdzie i zapali ogień, który mnie strawi.

- Odwagi - rzekła dziewczyna, przytulając policzek do twarzy kuzynki. - Godzina ma tylko sześćdziesiąt minut. Nawet sam Książę Walii nie może jej przedłużyć.

- Za co - rzekła Harriet - jestem niepomiernie wdzięczna. Anna ostatni raz spojrzała w lustro, po czym wyszły z pokoju. A gdy zmierzały po schodach na trzecie piętro do sali balowej, Harriet pomyślała, że kuzynka jest bardzo podekscytowana. To był jej pierwszy dorosły wieczór i z pewnością marzyła o długich godzinach tańców i przyjemnych rozmów. Tymczasem to niezwykle wydarzenie w jej życiu potrwa ledwie godzinę.

Był to kolejny grzech, którym należało obciążyć pana „Nie Zważam na Nic”.

Gdy weszły na salę balową, Harriet odetchnęła z ulgą, gdyż jego lordowskiej mości nie było jeszcze wśród około czterdziestu elegancko odzianych gości. Zaczęły się już tańce, do których przygrywało dwóch zaskakująco uzdolnionych skrzypków, i połowa zgromadzonych brała właśnie udział w żywym szkockim pląsie.

Reszta gości stała w małych grupkach lub siedziała na krzesłach, których rząd ustawiono pod najdalszą ścianą.

Harriet i Anna nie знаły nikogo z gości, lecz w tych okolicznościach, w tak wąskim gronie, dozwolone było pewne rozluźnienie obowiązujących zasad. Toteż gdy mistrz ceremonii, który przedstawił się jako Squire Thrumby, zapytał, czy może przyprowadzić Annie partnera do następnego tańca, Harriet wyraziła zgodę.

Partner, pan Vickers, był przeraźliwie chudym, rudym młodzieńcem, który dopiero co ukończył studia w Cambridge. Chociaż zdawał się oszołomiony, jakby nie mógł uwierzyć w szczęście tańczenia z tak piękną partnerką, pochylił się grzecznie nad ręką Harriet.

- To dla mnie zaszczyt panią poznać, panno Watson. Nie zadała sobie trudu, by go poprawić. Jakież to ma znaczenie, jak ją nazywa? Zresztą i tak już za pięćdziesiąt siedem minut zniknie wszystkim z oczu.

Pan Vickers i Anna ustawiali się do kotyliona, gdy Harriet dostrzegła pannę Eunice Shaw, usadowioną obok innej goszczącej w karczmie damy. Przyszła spadkobierczyni fortuny wyraźnie starała się zwrócić uwagę Harriet, gdyż zamachała do niej wachlarzem, zapraszając do przyłączenia się do niej. W każdej innej sytuacji Harriet przypuszczalnie udałaby, że niczego nie zauważa. W tej chwili jednak była szczęśliwa, że ją wzywano, ponieważ lord Dunford i jego brat weszli właśnie na salę. Freddy Gwynn musiał spotkać ich w

korytarzu, bo zdążył wciągnąć jego lordowska mość w rozmowę i wyraźnie nie zamierzał prędko pozwolić mu odejść.

Z nadzieją na zwiększenie odległości dzielącej ją od lorda Dunford Harriet przemierzyła długą, wąską salę, uważając, by nie zderzyć się z tańczącymi. Powietrze było już nieprzyjemnie rozgrzane od świec płonących w kinkietach i od wysiłku tancerzy, toteż gdy Harriet zbliżyła się do panny Shaw zrozumiała, dlaczego wybrała ona takie oddalone miejsce. Zawsze bardzo praktyczna, Eunice Shaw zajęła krzesło przy oknie.

- Dobry wieczór, panno Wilson.

- Jak się pani miewa, panno Shaw?

- Ja? Całkiem dobrze - odpowiedziała dama, otwierając wachlarz i gwałtownie nim machając. - Lecz słyszałam, że pani była niedysponowana ostatniego wieczoru. Jednak widząc dziś panią w świetnej formie, zgaduję, że dolegliwość nie była bardzo poważna.

- Za dużo słońca, proszę pani. Nic poważnego.

- Ach, tak - powiedziała panna Shaw, rzucając spojrzenie w stronę drzwi, gdzie jej wybranek wciąż trzymał w niewoli lorda Dunford. - Chyba przypominam sobie, że pan Miles wspominał coś o wycieczce do Bosworth.

Na te słowa dama siedząca obok panny Shaw zrezygnowała z nie - wtrącania się do nie swoich spraw.

- Byliście gośćmi lorda Dunford, nieprawdaż?

Nareszcie. Rękawica została rzucona i Harriet musiała albo podjąć wyzwanie, albo umknąć niczym tchórz. Zawahała się przez

chwilę. Pamiętając jednak, że unikanie kwestii nie powoduje jej zniknięcia, wyprostowała ramiona i uśmiechnęła się słodko do wścibskiej rozmówczyni.

- W naszej wycieczce uczestniczyli zarówno jego lordowska mość, jak i pan Burton Dunford, jego młodszy brat. W istocie - dodała, wskazując głową w stronę drzwi - obaj panowie stoją w tej chwili z panem Frederickiem Gwynnem. Pan Gwynn, jak może już pani wie, jest wujem moich kuzynów. On i lord Dunford znają się już od pewnego czasu.

Aby podkreślić swe znudzenie tym tematem, Harriet uniosła do ust wachlarz, by ukryć ziewnięcie, którego nie mogła powstrzymać. Gdy skończyła ziewać, zwróciła uwagę panny Shaw na tancerzy.

- Czy widziała pani tego wieczoru Annę? Wygląda naprawdę pięknie, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Dziedziczka nawet nie spojrzała na tancerzy. Wciąż patrzyła wprost na Harriet.

- Powiedzieć, że panna Anna Gwynn jest piękna, to jakby nazwać Tamizę sadzawką.

Analogia była bardzo trafna i tym razem Harriet uniosła wachlarz, by zakryć uśmiech.

- Co więcej - kontynuowała cicho panna Shaw, spojrzawszy w prawą stronę i upewniwszy się, że ich towarzyszką jest pochłonięta konwersacją z jedną z miejscowych dam - jako że tylko głupiec nie zauważyłby, że pragnie pani odwrócić rozmowę od pewnego dżentelmena, wyświadczyć pani tę przysługę.

- Dziękuję pani.

- Nie ma za co. Czy pani w to wierzy, czy nie, panno Wilson, nie mam wobec pani złych zamiarów. - Zniżyła głos jeszcze bardziej. - W istocie, skoro moja przyszłość jest już zapewniona i stanowimy już poniekąd rodzinę, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pani i panna Anna były odpowiednio... - Zauważając coś lub kogoś w drugim końcu sali, Eunice zamknęła nagle swój wachlarz z trzaskiem. - A niech to! - wykrzyknęła.

Zdumiona tym niepasującym do damy zachowaniem Harriet spojrzała w stronę drzwi. Freddy Gwynn i lord Dunford wciąż rozmawiali, z kolei Burton gdzieś zniknął, zaś w jego miejscu stał mężczyzna o nader zdrowym wyglądzie, ubrany w kremowe bryczesy i purpurową atlasową kurtkę. Lat przypuszczalnie około sześćdziesięciu pięciu, nowo przybyły był najbardziej rzucającym się w oczy mężczyzną, jakiego Harriet kiedykolwiek widziała - wysoki i wyprostowany, przyciągał uwagę nawet z oddalenia.

Jego nos przywodził na myśl orli dziób, jednak nawet ten zdumiewający dodatek był przyćmiony przez najwspanialsze wąsy, jakie Harriet miała okazję oglądać. Gęste i nawoskowane sterczały tak sztywno, że najbardziej przypominały rogi byka; musiały być długie na przynajmniej sześć cali każdy. Podobnie jak imponująca grzywa były śnieżnobiałe i drżały, gdy mężczyzna mówił. Akurat w tej chwili „rogi” niemal tańczyły - ich właściciel bowiem wyjątkowo żywo dyskutował z Freddym.

- Kto to jest? - spytała Harriet. Panna Shaw westchnęła.

- To mój ojciec. Mogłam się spodziewać, że mnie tu znajdzie, a ja wciąż nie mam pierścionka zaręczynowego od Freddy'ego na palcu.

Harriet nie była jedyną osobą, która zauważyła coś, co wyglądało na spór, jako że kilkoro ludzi stojących obok przerwało rozmowy i patrzyło w stronę dwóch mężczyzn.

- Proszę mi wybaczyć, panno Shaw, ale z tego miejsca wygląda to tak, jakby pani ojciec i Freddy kłócili się.

- To bardzo prawdopodobne - odparła Eunice z rezygnacją w głosie.

Bez cienia zdziwienia Harriet powiedziała:

- Nie myślałam, że oni się znają.

- Uprzednia znajomość nie ma żadnego znaczenia dla mojego ojca. On kłóci się ze wszystkimi.

Wzmoczony ruch fantastycznych wąsów wskazywał, że człowiek ten istotnie ma doświadczenie w zatargach.

- Modłę się tylko - kontynuowała panna Shaw - by Freddy nie uczynił czegoś głupiego.

Nagła wizja korpulentnego Freddy'ego Gwynna biorącego udział w bijatyce zmusiła Harriet do pokrycia chichotu kaszlem.

- Jestem przekonana, że nie musimy się obawiać, by kłótnia przerodziła się w wymianę ciosów.

- Ciosów? Freddy? Na niebiosa, nie! - Wyraz twarzy panny Shaw był tak pełen niedowierzania, że Harriet ponownie uciekła się do kasłania. - Obawiam się tylko - powiedziała dziedziczka - że



Freddy może, dla odwrócenia uwagi ojca, przedstawić mu lorda Dunford.

Na wzmiankę o jego lordowskiej mości rozbawienie Harriet natychmiast zniknęło.

- Czy to byłoby aż tak straszne?

- Katastrofalne. Może mi pani wierzyć. Niech tylko Homer Shaw dowie się, że jest wśród nas lord, a poruszy niebo i ziemię, by skłonić jego lordowską mość do złożenia mi propozycji.

„Do złożenia mi propozycji!”

Pomysł był niedorzeczny. Niestety, jako że nie tak znowu odmienna myśl powstała ostatnio w głowie Harriet, wywołując zamęt w jej sercu, poczuła, jak rumieniec zawstydzienia rozlewa się po jej twarzy. Jedyne, co powstrzymało ją od ucieczki z sali, to fakt, że musiałaby przebiec obok mężczyzny, który odegrał główną rolę w jej oszukiwaniu samej siebie.

Pomimo obaw panny Shaw Harriet powątpiewała jednak, by doszło do oświadczeń. Zwłaszcza, że właściciel kopalni powiedział właśnie coś, z czym lord Dunford najwyraźniej się nie zgadzał. Ku zaskoczeniu przynajmniej połowy zgromadzonych jego lordowska mość odpowiedział na uwagę starszego pana, chwytając go za klapy purpurowej kurtki i potrząsając nim w sposób nie tak różny od tego, w jaki terier szarpie szczura.

Lord Dunford był kimś całkowicie innym niż tchórzliwy Freddy Gwynn, a jako że ani Harriet, ani panna Shaw nie wiedziały, do czego może się on posunąć dostatecznie sprowokowany, obie ruszyły w



stronę drzwi, torując sobie drogę pomiędzy wystraszonymi tancerzami.

Rand wypatrzył Harriet ledwie wszedł na salę i gdyby tylko ten idiota Freddy Gwynn nie trzymał go za rękaw, podszedłby natychmiast do panny Wilson i poprosił o obiecany taniec. Miała już do tej pory dość czasu, by przeczytać jego list choćby i tuzin razy, a Rand rozpaczliwie chciał poznać jej reakcję. Czy zrozumiała jego motywy i przebaczyła mu? Czy nadal była wściekła z powodu oszustwa?

Miał nadzieję, że nie jest już na niego zła, ale gdyby była, sprawiłoby mu wielką przyjemność wyprowadzenie jej ze złego nastroju. Wyglądała tego wieczoru tak pięknie, że żaden mężczyzna, póki krew płynie w jego żyłach, nie odrzuciłby wyzwania. Ubrana w prostą suknię z żorzęty w kolorze miodu, ozdobioną srebrnym naszyjnikiem, przypuszczalnie jej własnego projektu, była bez wątpienia najbardziej elegancką kobietą na sali.

Rand sam nie wiedział kiedy, ale w którymś momencie ich krótkiej znajomości doszedł do wniosku, że Harriet Wilson to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkał. I gdyby nawet miał jej suknię i mógł posłać ją do najlepszych zakładów krawieckich w mieście, w całym kraju nie znalazłaby się kobieta godniejsza jej noszenia. Ze swą urodą i dobrym gustem, wspartymi jego fortuną, byłaby...

- Harriet Wilson? - doszedł go głos dziwnie wyglądającego człowieka stojącego obok Freddy'ego Gwynna. -Nie mówi pan tego poważnie.

Rand nie miał pojęcia, kto to był, przypuszczalnie jakiś znajomy Gwynna, bo ledwie wszedł, zaczął z nim rozmawiać. Sądząc po jego wyglądzie i sposobie bycia, ów hałaśliwy jegomość o groteskowych wąsach wyraźnie oczekiwał, że wszyscy będą się przed nim rozstępować. Przypuszczalnie lokalny dziedzic. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie dla Randa. Był wdzięczny, że ktoś wreszcie przyszedł uwolnić go z objęć Gwynna. Jednakże na dźwięk imienia Harriet pozostał w miejscu.

- Z Londynu? - zapytał wąsacz.

- Owszem - odparł Freddy. - Zamieszkuje w Londynie.

- Czy my na pewno mówimy o tej samej osobie? Pytałem o tę piękną kobietę o brązowych włosach. Tę noszącą ów niezwykle srebrny naszyjnik.

- A ja wyjaśniłem panu - rzekł Freddy, jakby zwracał się do osoby niespełna rozumu - że to Harriet Wilson.

- No cóż! Muszę przyznać, że jestem zaskoczony, bo to całkiem słodkie stworzenie. I wygląda bardzo wytwornie. Nie ma w sobie nic pospolitego ani aroganckiego. -Przerwał na chwilę. - Ale jak, u licha, doszło do tego, że moja córka rozmawia z najsłynniejszą dziwką w Londynie, przysięgam, nie wiem!

- Pańska córka?! - wydyszał Freddy. - Jest pan ojcem Eunice?

Niestety Gwynn nie doczekał się odpowiedzi, gdyż lord Dunford, niczym furia, schwycił Homera Shawa -bogatego właściciela kopalni, którego Freddy miał nadzieję zostać wkrótce zięciem i na którego pomoc finansową liczył - i zaczął nim gwałtownie potrząsać.

- Stul pysk - warknął tuż przy uchu wścicza - bo nawet twój wiek nie uchroni cię przed moim gniewem.

Freddy był przerażony takim biegiem wydarzeń. Chociaż zupełnie nie czuł się na siłach, czuł, że musi coś zrobić. Chwyciwszy lorda za rękę, starał się oswobodzić wystraszonego pana Shawa z morderczego uścisku.

- Dunford! Tak nie można! Musisz go puścić. Wybacz, stary druhu, ale to jest w bardzo złym tonie.

Chociaż Rand przestał potrząsać Homerem Shawem, nie uwolnił go z uścisku.

- Proszę, milordzie. Błagam, przestań, bo ten człowiek jest moim przyszłym teściem.

Obaj siłujący się mężczyźni przemówili jednocześnie, młodszy z zaskoczeniem, a starszy z wyraźnym zachwytem.

- Twoim teściem?!

- On jest lordem?

Wciąż unieruchomiony właściciel kopalni spojrzał ponad ramieniem Dunforda na Freddy'ego.

- Jesteś pewien, że jest parem? - A gdy Gwynn skinął głową, zapytał: - Jakim dokładnie?

- Baronem - odpowiedział Freddy, wciąż usiłując wyswobodzić siwego mężczyznę z rąk lorda.

W tej chwili, ku uldze Freddy'ego, zjawiała się Eunice a w ślad za nią Harriet. Bogu dzięki! Obie były sprytnymi kobietami, wspólnie powinny poradzić sobie z rozwiązaniem tej bardzo kłopotliwej sytuacji.

Ujrzawszy Harriet, Rand, jakby odzyskał panowanie nad sobą i uwolnił Shawa.

- Tato - wybuchnęła Eunice - co ty zrobiłeś?

- Oczywiście więcej niż ty! - odparł jej ojciec bez cienia skruchy, wygładzając pogniecione kłapy. - Bo poznałem lorda.

Jakby zdarzenia poprzednich kilku minut nie miały miejsca, Homer Shaw uklonił się grzecznie Randowi.

- Proszę, milordzie, pozwól że przedstawię ci moją małą dziewczynkę. - Przerywając na chwilę, zwrócił się znów do Freddy'ego: - Jak, mówiłeś, nazywa się baron?

- Dunford! Ale to nie ma żadnego znaczenia, panie, bo to ja, Frederick Gwynn, chcę poślubić pańską małą... to jest, pańską córkę. Jak pan sobie przypomina, wysłałem panu list w tej sprawie i...

- Bzdura! - powiedział Homer Shaw, machnąwszy niedbale ręką w stronę Freddy'ego, jakby odpędzając dokuczliwego komara. - Dlaczegożby Eunice miała poślubić szaraka, skoro może mieć lorda?

- Ale nie może go mieć! - zawołał sfrustrowany Gwynn i dodał: - Chcę przez to powiedzieć, że Eunice chce wyjść za mnie. Tak naprawdę oboje chcemy. Poza tym lord Dunford jest zajęty. Uganiał

się za moją siostrzenicą, panną Anną Gwynn, przez ostatni tydzień i nieco wcześniej.

- Nie uganiał się! - zaprotestował Burton Dunford, materializując się nagle znikąd przy łokciu Freddy'ego. - Rand nie jest zainteresowany panną Gwynn ani ona nim.

- Mylisz się - odparł Gwynn - bo z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że...

- Panna Gwynn jest śliczną młodą damą - rzekł Burton -i każdy, kto ją pozna, musi ją uwielbiać, ale mój brat jest zainteresowany panną Wilson.

- Co?! -Pytanie to zostało zadane jednocześnie przez Harriet, Freddy'ego i pana Shawa i jak to się czasem zdarza, po ich zdumionej reakcji nastąpiła nagle i kompletna cisza. Całe zgromadzone na sali towarzystwo zdawało się oddychać wspólnymi płucami. Tancerze już dawno porzucili wszelkie próby udawania, że tańczą, a teraz dwaj muzycy odłożyli skrzypce i zbliżyli się, by lepiej słyszeć.

Homer Shaw jednak nie należał do ludzi, których straciliby rezon z powodu chwili ciszy.

- Ale jego lordowska mość nie może jej poślubić! - rzekł, spoglądając na Harriet niczym na towar na półce sklepowej.

- A czemuż by nie? - zapytał Burton tonem tak lodowatym, że można by nim schłodzić szampana.

- Po prostu nie może i już. Owszem, jest wystarczająco słodkim stworzeniem - powiedział Shaw. - Bez wątpienia.

Ale niezależnie od dobrego wyglądu i widocznej wytworności wciąż pozostaje kurtyzana. A lordowie nie poślubiają kobiet, które może mieć każdy, kto tylko zapłaci.

Pomruk zgorszenia przeszedł po sali. Nikt z obecnych jednak nie chciał stracić ani słowa z przedstawienia, które się toczyło.

Ku przerażeniu Freddy'ego lord Dunford ponownie schwyił Homera Shawa za klapy.

- Ty stary durniu! - krzyknął Rand. - To nie jest **t a** Harriet Wilson!

W ciszy, która zapanowała po przebrzmieniu nowej rewelacji, drzwi sali balowej otwały się ponownie. Wszystkie oczy odwróciły się w ich stronę. Stała w nich bardzo modnie ubrana para. Ciemnowłosa mężczyzna o ponurych oczach, lat przypuszczalnie czterdziestu, oraz kobieta, sprawiająca wrażenie wyjątkowo przebiegłej, której uroda wiele zawdzięczała dużej ilości różu i pudru.

- Mesdammes et messieurs - odezwał się mężczyzna, kłaniając się uprzejmie wszystkim obecnym. - Życzę państwu, bon soir.

- De la Croix!

- Milordzie - rzekł Francuz, skinąwszy Randowi. - Cóż za radość znów cię widzieć, mon ami. I cóż za niespodzianka znaleźć cię właśnie tutaj. Świat jest mały, n'est-ce pas?

Oczy Dunforda zwięziły się do zimnych szarych szparek.

- Znacznie za mały.

Podczas gdy dwaj mężczyźni spoglądali na siebie z nienawiścią, a ich oczy ciskały błyskawice, Sally Chadwick rozejrzała się wokół.

- Ty! - wykrzyknęła, dostrzegłszy Harriet, i wskazała na nią oskarżycielsko palcem. - Myślałaś, że oszukawszy mnie, uciekniesz? Cóż, jestem tu i chcę moją broszę z powrotem, złodziejko!

Scandalous

## Rozdział 12

- Kuzynko! - zawołała panna Anna Gwynn, próbując przedostać się przez tłum podnieconych gapiów. - Rozboliła mnie głowa!

- Nareszcie - westchnęła Harriet.

Randowi wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć tę dziwną reakcję. Harriet była w szoku. Jej twarz pobladła, usta zauważalnie drżały, a jeżeli o cokolwiek myślała w tej chwili, to chyba tylko o tym, żeby trzymać powieki szeroko otwarte, bo gdyby tylko mrugnęła, łzy popłynęłyby strumieniami po jej policzkach.

- Proszę - rzekł Rand, podchodząc do niej i podejmując pod ramię. - Niech pani pozwoli, bym odprowadził obie panie bezpiecznie do pokojów.

Nawet nie spojrzała w jego stronę. Uwolniła ramię z jego uchwytu, mamrocząc, że sama zajmie się kuzynką. A powiedziawszy to, odwróciła się i wybiegła z sali, kompletnie zapominając o dziewczynie, którą miała odprowadzić.

Zmieniona nie do poznania, Harriet uniosła rąbek spódnicy i zbiegła po schodach na drugie piętro. Chociaż pędziła co sił w nogach, Rand dogonił ją u końca słabo oświetlonego korytarza, przy samych drzwiach jej sypialni.

- Panno Wilson! Harriet. Zaczekaj, proszę.

Nie łudząc się, że go posłucha, okrążył ją i mocno chwycił lewą ręką za klamkę. Harriet, nie chcąc robić kolejnej sceny, pozostała



nieruchoma, zwrócona twarzą ku drzwiom, a plecami ku prześladowcy.

- Z pewnością zawstydził mnie pan już dość jak na jeden wieczór - powiedziała głosem zachrypłym od wstrzymywanego szlochu. - Proszę pozwolić mi przejść.

Nie usłuchał jej prośby. Co gorsze, objął ją prawą ręką i przyciągnął ku sobie, tak, że jej plecy zetknęły się z jego twardą jak skała pierśią.

- Harriet - wyszeptał, a jego ciepły oddech musnął skórę na jej skroni. - Musisz wiedzieć, że nie chciałem, żeby to wszystko się stało.

Czuła jego twarde, muskularne ciało i chociaż w myślach nazywała się idiotką, pragnęła oprzeć się p nie, pragnęła, by objął ją swymi silnymi ramionami i trzymał ją tak, jakby była dla niego kimś wyjątkowym. Tak wyjątkowym, jak kiedyś on był dla niej.

Jakby czytając w jej myślach, Rand położył obie ręce na jej ramionach i obrócił przodem do siebie. Nie napotykając oporu, zsunął ręce w dół jej pleców i przyciągnął ją do siebie, obejmując dokładnie tak, jak tego chciała. Na korytarzu paliło się tylko parę świec i w ich nikłym blasku Harriet studiowała ostrą linię podbródka człowieka, którego kochała.

Tak, na niebios! Ona go wciąż kochała!

Był taki silny, taki przystojny - mężczyzna, jakiego pokochałaby każda kobieta.

Podczas gdy jej oczy błędziły po jego szyi, szare oczy Randa wpatrywały się w jej usta. I wreszcie, tak jak przewidywała, nachylił się ku niej i zażądał jej ust.

W jednej chwili zatoneła w ciepłe i namiętności jego pocałunku. Serce łomotało jej w piersiach i poczuła, jak kolana uginają się pod nią, zmuszając ją do oparcia się o Randolfa. W momencie gdy to uczyniła, pogłębił pocałunek i wieki później, gdy odchylił głowę, Harriet była słaba z wrażenia.

Nie mogła się poruszać, nie mogła oddychać. Mogła jedynie czuć i czerpać radość z każdej jego pieśczoły.

Delikatnie całował kąćki jej ust. Nie zadowalając się tym, składał ciepłe, zmysłowe pocałunki na jej gardle, potem wzdłuż szyi, aż odnalazł pulsującą wściekle tętnicę tuż za jej uchem. Dopiero gdy zniżył głowę, by złożyć gorący, wilgotny pocałunek na lekko odsłoniętej wypukłości piersi, przypomniała sobie, że ów mężczyzna jest doświadczonym uwodzicielem.

Chociaż pragnęła poczuć znów jego usta na swoich, poddać się pierwotnej potrzebie, wzbierającej w głębi jej serca, jakimś sposobem odnalazła w sobie dość sił, by odepchnąć się od jego piersi i zmusić go tym samym do wypuszczenia jej z objęć.

- Czy chcesz mnie uwieść tu, na korytarzu? - zapytała. -

Kompletnie mnie skompromitować? Czy to była część twojego planu?

Rand zdawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Mojego planu? - Uśmiechnął się, jakby rozbawiony jej naiwnością. - Harriet, mój skarbie, chyba nie sądzisz, że wszystko to

było częścią jakiegoś planu obmyślonego tylko po to, by cię osiąść!  
Poszedłem za tobą, by cię pocieszyć.

Zesztywniała. Czyżby całował ją przez litość? Na niebiosy, oby nie! Tego by nie zniosła.

Chociaż była bliska płaczu, odezwała się w niej duma, która sprawiła, że jej oczy pozostały suche, a plecy proste.

- Czy przyszło ci do głowy - zapytała - że nie potrzebowałabym pocieszenia, gdybyś nie wystawił mnie na pośmiewisko? Gdybyś zachowywał się jak dżentelmen, zamiast jak zwykle nie-zważać-na-nic, to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło.

- Ale ten stary dureń myślał...

- Wiem, co myślał. W tej chwili całe Kipworth to wie. Ale czemu zrobiłeś z tego widowisko, nie wiem. W końcu ty doszedłeś do identycznego wniosku, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

- Przyznaję się do winy. Ale ja nigdy...

- Co nigdy? - zapytała. - Nigdy mnie nie okłamałeś?

Nigdy nie sprawiłeś, bym wierzyła, że jesteś kimś innym? Nigdy nie zламаłeś mi serca?

Żałując, że wymknęły się jej te ostatnie słowa, otworzyła drzwi pokoju, po czym podeszła do stolika, gdzie zostawiła list, który Rand przysłał jej tego ranka.

- Masz - powiedziała, wkładając nie otwarte pismo w rękę lorda.

- Zabieraj te swoje kłamstwa, zarówno pisane, jak i mówione, i idź sobie. Zostaw mnie samą. Proszę. Zanim pozbawisz mnie tych resztek reputacji, jakie mi pozostały.

- Po ostatnim wieczorze - powiedziała Harriet do panny Shaw, gdy oba ranne ptaszki udały się na spacer z „Róży i Korony” w stronę łąk - moja reputacja jest w strzępach. A po wystąpieniu panny Chadwick i tego Francuza o raczej złowrogim wyglądzie nie będę zdziwiona, jeśli po powrocie do domu przekonam się, że straciłam wszystkich klientów.

- Nigdy - zaprotestowała Eunice. - W ostateczności mój ojciec da pani tyle zleceń, że wystarczy ich pani na długie lata. Jest to pani winien.

Harriet zeszywniała, gdyż miała już dość pokutnych zamówień. To z takiego właśnie powodu przyjechała najpierw do Kipworth.

- Pani ojciec nie jest mi nic winny.

- Jest, ale nie będziemy się o to kłócić. A zwłaszcza nie dziś, bo jestem zbyt szczęśliwa. I chciałabym, by cały świat dzielił ze mną szczęście.

Pomimo bólu, który niczym wielki głaz zalegał w jej piersiach, Harriet potrafiła radować się czymś szczęśliwym losem. Panna Shaw, jej nowy narzeczony i jej ojciec mieli za godzinę ruszyć do domu, by rozpocząć przygotowania do wesela.

- Freddy jest bardzo szczęśliwym człowiekiem.

- Nie bardziej szczęśliwym ode mnie - odpowiedziała

Eunice, a radość w jej oczach sprawiała, że wyglądała prawie pięknie. - I zawdzięczam to całemu zamieszaniu, jakiego narobił mój tata na wczorajszym balu. A dokładniej jego chęci zamienienia porażki w sukces. I chociaż pragnęłabym, by nie przyniosło to pani

tyle wstydu, panno Wilson, tylko coś tak drastycznego mogło sprawić, by tata porzucił swe marzenia o lordzie w rodzinie.

Rosa ciągle jeszcze lśniła na trawie, a ponieważ żadna z panien nie chciała zamoczyć sukni, pozostały na drodze i z daleka podziwiała czarnogłową owcę. Gdy ten sielankowy widok znudził je, Harriet i jej nowa przyjaciółka zgodnie odwróciły się i zaczęły wracać po własnych śladach.

Zbliżały się do siodłami, gdy pan Burton Dunford wyszedł z warsztatu z płaskim, długim na ponad dwie stopy pakunkiem, owiniętym w brązowy papier i zagiętym na obu końcach.

- Pan Dunford!

- Panna Wilson! Co pani... Chciałem powiedzieć, nie spodziewałem się... - Zdając sobie sprawę, że zaraz popełni gafę, młodzieniec zdjął kapelusz i uklonił się damom. -Dzień dobry, panno Wilson, panno Shaw. Jak się panie miewają?

- Dobrze - odpowiedziała Harriet.

- A panna Gwynn? Czy ból głowy już minął? Ponieważ Harriet stanowczo nie chciała rozmawiać o żadnym z wydarzeń wczorajszego wieczoru, pospiesznie poprosiła młodego dżentelmena, by towarzyszył im w drodze powrotnej do „Róży i Korony”.

- Będzie mi miło móc zaproponować panu filiżankę herbaty, a jeśli Anna jest na miejscu, to sam pan się przekona o jej stanie zdrowia.

Burton był jeszcze na tyle młody, że się zarumienił. Ciemnoblond włosy i oczy szare jak u brata powodowały, że Harriet

odnosiła wrażenie, jakby miała przed sobą Randa w wieku lat dziewiętnastu. Gdy był jeszcze niewinny i świeży - zanim wywieziono go na Barbados niczym kupę śmieci.

- Dziękuję pani za zaproszenie. Z przyjemnością towarzyszyłbym paniom, ale zdecydowałem, że pora wracać do Oksfordu, a mam jeszcze parę spraw do załatwienia w miasteczku. Między innymi muszę zarezerwować miejsce w jutrzejszym dyliżansie. I jeszcze to - dodał. Rumieniąc się ponownie, wyciągnął spod pachy zawiniątko i pokazał je Harriet. - To dla Milesa - wyjaśnił. - Żeby nie zapomniał swojej wizyty w Leicestershire.

- Cóż, panie Dunford, to bardzo miło z pana strony!

- To drobiazg, proszę pani. To tylko stara szpicruta, której używałem, gdy byłem w jego wieku. Umieściłem na niej jego inicjały.

- Jestem pewna, że Miles będzie ją bardzo cenił. Młody człowiek zaśmiał się na te słowa.

- Tak naprawdę, proszę pani, z tego, co wiem od chłopca, to wolałby, żebym podarował mu jednego z nowych szczeniaków. Niestety, szczeniaki nie są moje. Szpicruta tak... Dostałem ją od brata na szóste urodziny i przez lata nie rozstawałem się z nią. Jeździła wszędzie tam gdzie ja.

Coś - może nuta smutku w jego głosie - skłoniła Harriet do nachylenia się i ucałowania Burtona w policzek.

- Jako jedynaczka, zazdrozczę panu. Chciałabym mieć brata.

Właśnie odsuwała się od młodzieńca, gdy wypadł na nią znikąd ciemnowłosy chłopak o brudnej twarzy, może dwa, trzy lata starszy od Milesa. Upadłaby, gdyby Dunford jej nie podtrzymał.

- Co u... - Niezależnie od tego, co chciał powiedzieć, na widok chłopaka, którego za małe, wytarte rzeczy odsłaniały kościste nadgarstki i kostki, zamknął usta.

- Kurde! - jęknął chłopak, spoglądając na Harriet oskarżycielsko swymi obsydianowymi oczyma. - Nadepłaś mię specjalnie, ty niezdarna stara krowo!

- Młody - odezwała się stojąca za nim kobieta. - Tak gadasz przed tymi damami i tym wspaniałym młodzieńcem? Wstydź się.

Nie wyglądała na zakłopotaną w najmniejszym stopniu. Prawdę mówiąc, w jej niebieskich oczach można było dostrzec jakieś złośliwe zadowolenie.

Jasnowłosa kobieta, lat przypuszczalnie trzydziestu paru, była pewnie kiedyś bardzo piękna i mogłaby nadal być, gdyby zadała sobie trud umycia twarzy i rozczesania pozlepianych włosów. Śmierdziała zastarzałym potem i o ile Harriet się nie myliła, śniadanie popiła szklaneczką taniego ginu. Oczywiście nie powinna pić, bo wnioskując z zaokrąglenia wielkości dyni pod poplamioną sukienką, miała wkrótce urodzić chłopakowi braciszka lub siostrzyczkę.

Dygnawszy w sposób, któremu daleko było do uprzejmego, rzuciła Burtonowi chytre spojrzenie.

- Pewnie mnie pan nie poznaje, młodzieńcze, ale ja pana znam. Wyglądasz pan jak twój brat. Nie to, żebyśmy widzieli jego lordowska mość przez te dwanaście lat i dawniej. Co, Jess?

Zagdała jak kura, chociaż to, co powiedziała nie było ani trochę śmieszne.

- Tak czy inaczej - ciągnęła - Belle Coombs się nazywam. Albo kiedyś się nazywałam. A ten tu to mój syn.

Złapała chłopaka za ucho i zaciągnęła przed siebie.

- Zachowuj się, Jess. Powiedz „Dziękobry” twojemu wujkowi.



## Rozdział 13

„Twojemu wujkowi!" Nigdy!

Harriet nie mogła - nie chciała - w to uwierzyć. Rand nie mógł być ojcem tego chłopaka! To kłamstwo! Ostatkiem sił powstrzymywała się przed tym, by nie chwycić tej okrutnej, podłej kobiety i nie potrząsać nią dotąd, aż wyzna prawdę.

Rand nie był święty i zapewne część z rzeczy, które rozpowiadali o nim ludzie, znajdowała potwierdzenie w jego faktycznych uczynkach, lecz po ostatnim wieczorze, gdy Harriet przekonała się na własnej skórze, jak szybko rozchodzi się bezpodstawne oskarżenie, zaczęła wątpić w co bardziej bulwersujące historie o Nieprzyzwoitym Lordzie, które słyszała. Tak czy inaczej to, co mówiła ta kobieta, było nie do przyjęcia.

Harriet miała okazję obserwować, jak Rand radzi sobie z bratem czy z Milesem, a obaj wymagali świętej cierpliwości. Rand nigdy nie wyglądał na rozzłoszczonego, przeciwnie - sprawiał wrażenie, jakby starał się patrzeć na sprawę oczyma młodych dżentelmenów.

Lord Dunford nie był może wzorem, ale nie spłodziłby dziecka, a potem nie porzuciłby go na pastwę losu. Harriet czuła to instynktownie,

I nie mógłby mieć nic wspólnego z kimś takim jak Belle Coombs. Sama myśl o jego bliskim kontakcie z tą... istotą przyprawiła Harriet o mdłości. Patrząc na twarz Burtona, można było sądzić, że i jego ogarnęło najwyższe obrzydzenie.

Przez chwilę stał, jakby wrósł w ziemię. Potem, jakby nagle przypominając sobie, gdzie i z kim jest, powiedział pani Coombs, by sobie poszła.

- Dość już! Proszę nie zawstydząć więcej tych dam.

- Och, jakże mi przykro - odpowiedziała, lecz rozbawienie w jej głosie przeczyło słowom. Skinęła na chłopaka. - Chodź, Jess. Wiemy, kiedy nas nie chcą.

Najwyraźniej bardzo z siebie zadowolona Belle Coombs uśmiechnęła się, po czym popchnęła chłopca do przodu. Przesadnie poruszając szerokimi biodrami, ruszyła przed siebie, by po chwili zniknąć w alejce pomiędzy sklepami aptekarza i rzeźnika.

Kiedy zostali sami, Burton próbował jakoś opanować sytuację.

- Panno Wilson, panno Shaw. Proszę o wybaczenie tej... tej... - Zawstydzenie jednak uniemożliwiło mu dalsze mówienie. Zawstydzenie oraz odzywający się zadawniony ból.

Przez długie lata Burton nienawidził brata za to, iż związał się z Belle Coombs. Rand był jego bohaterem, najbardziej uwielbianą osobą na świecie, tymczasem sprawił mu taki zawód, tak bardzo go rozczarował, idąc do łóżka z tą...

Gdyby Rand nie uwikłał się w tę historię z Belle, nie zostałyby zesłany na Barbados, a jego mały brat nie czułby się taki opuszczony. Odtąd nie miał już nikogo, kto stanąłby po jego stronie, kto by go kochał. Z pewnością nie mógł to być egoistyczny ojciec czy obojętna matka. Sześciolatek Burton został bez żadnego pocieszenia oprócz szpicruty.

Tak czy owak, niezależnie od noszonej w sercu urazy, nigdy nie ujawniłby grzechów starszego brata przed panną Wilson. Ani oczywiście przed panną Shaw.

Eunice Shaw obserwowała, jak Coombs odchodzi wraz ze swym synem o wyglądzie Cygana. Docierały do niej jednak słowa młodego pana Dunforda proszącego o wybaczenie za coś, co nie było przecież jego winą. Ani winą jego brata, z tego, co wiedziała na ten temat Eunice.

Nie mając cierpliwości do owijania czegokolwiek w bawełnę, spytała młodzieńca, czy wierzy w to, co powiedziała ta niegodziwa kobieta.

- Ja... to znaczy...

- Nie powinienes. Nie ma w tym cienia prawdy. Twój brat nie spłodził tego chłopaka.

Twarz Burtona spłonęła rumieńcem, a chociaż widoczne było jego ogromne skrepowanie, z jego pełnych nadziei oczu można było odgadnąć, że desperacko chce jej wierzyć.

- Możesz mi zaufać. Przez lata zajmowałam się ogrodnictwem, zwłaszcza krzyżowaniem.

- Ogrodnictwem? A co to ma wspólnego z...

- Z wyglądem ludzi? Mniemam, że bardzo wiele - odparła panna Shaw, a gdy młodzieniec nie odezwał się, kontynuowała: - Nie mogę podać na to zasady, ale wiem z doświadczenia, że gdy krzyżowałam jedną białą różę z drugą sezon po sezonie, zawsze otrzymywałam wyłącznie białe róże.

Dunford zamrugał oczyma, jakby próbując zrozumieć, do czego panna Shaw zmierza.

- Droga pani, nie wątpię w to, co pani mówi, ale wołałbym...

- Sza - wtrąciła się panna Wilson. - Proszę, niech pan nie będzie nazbyt sceptyczny. Wydaje mi się, że wiem, do czego to ma doprowadzić, i z niecierpliwością czekam na ciąg dalszy opowieści Eunice o doświadczeniach z krzyżowaniem kwiatów.

- Jak powiedziałby każdy ogrodnik-entuzjasta, wiele można by jeszcze dodać. Jednakże oszczędzę wam przedstawienia moich poglądów na temat kompostu i nawożenia, bo nie ma nic nudniejszego niż wysłuchiwanie czyichś wykładów o rzeczach, które interesują tylko jego.

- Nie jestem ani trochę znudzona - oświadczyła panna Wilson. - Pan Dunford, jak zgaduję, też nie będzie. A nawet przypuszczam, że będzie słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

Zadowolona z entuzjazmu słuchaczy Eunice kontynuowała.

- Żeby przedstawić to jak najzwięźlej: kiedy krzyżowałam białą różę z czerwoną, uzyskiwałam kwiaty o wszystkich odcieniach pomiędzy ciemnym czerwonym a bladym różowym. Jednakże gdy próbowałam krzyżować białą z białą, rezultat był taki jak wcześniej - otrzymywałam tylko białe.

- I tak samo jest z ludźmi? - zapytała panna Wilson.

- Rozumiecie - powiedziała Eunice - że jak dotąd ograniczyłam moje doświadczenia do kwiatów. Jednak na podstawie wieloletnich obserwacji różnych zwierząt, w tym i ludzi, mam prawo wnioskować,

że każda zasada określająca kolor kwiatów odnosi się też do wyżej zorganizowanych istot.

Pan Dunford popatrzył na nią z czymś w rodzaju respektu.

- Więc mówi pani, że Belle Coombs...

- Jasnowłosa kobieta o niebieskich oczach...

- I mój brat...

- Mężczyzna, którego włosy, tak jak pańskie, są ciemnoblonde, a oczy szare...

- A chłopak? - zapytał Burton ledwie dosłyszalnym głosem.

- Wygląda jak Cygan - odpowiedziała Eunice i dodała - dość przystojny. A raczej byłby dość przystojny, gdyby poddał się zdrowemu zabiegowi mycia. Tym niemniej według mojej opinii tych dwoje jasnowłosych i jasnookich ludzi nie mogło spłodzić tego ciemnowłosego chłopaka o czarnych oczach. Nie mogę powiedzieć, oczywiście, kto jest jego ojcem, ale bez cienia wątpliwości nie jest nim pański brat.

Młodzieniec patrzył przez jakiś czas na Eunice, chociaż prawdopodobnie niewidzącym wzrokiem. Nagle z jego piersi wyrwało się tłumione westchnienie.

- A więc to było kłamstwo - powiedział. - Rand był niewinny przez cały ten czas. A ja... a ja uwierzyłem w najgorsze.

Jakby przypominając sobie słowa i czyny, które chciałby wymazać z pamięci, młodzieniec jęknął.

- Panie Dunford? - spytała Harriet. - Jest pan strapiony. Proszę, czy mogę jakoś ulżyć pana...

- Przepraszam - odparł, nieco oszołomiony- ale muszę iść. -  
Wsuwając szpicrutę pod ramię, życzył paniom miłego ranka. - Mam  
pewną sprawę do załatwienia - dodał. -Muszę poprosić kogoś o  
wybaczenie. I modłę się, by nie było za późno.

Pragnąc wrócić do domu myśliwskiego, zanim brat wybierze się  
na poranną przejażdżkę, Burton wyprowadził swojego konia z za  
siodlarni i ruszył do „Róży i korony”, by dostarczyć szpicrutę  
Milesowi. Niebawem ujrzał chłopca, jak robi gwiazdy na dziedzińcu  
karczmy.

Miles Gwynn musiał już łobuzować tego ranka, bo koszula  
wystawała mu ze spodni, buty miał całe w kurzu, a ręce i twarz  
umorusane.

- Wchodziłeś do borsuczyczych nor? - zapytał Burton. Miles  
zaśmiał się.

- Gdybym jakąś znalazł, to mógłbym spróbować.

- Lepiej nie, przyjacielu. To kiepski pomysł. Borsukowi by się to  
nie spodobało i myślę, że tobie też.

Chłopak spojrzał na niego w sposób wskazujący na to, że  
wolałby osobiście się o tym przekonać.

- Tak naprawdę - wyjaśnił - to wchodziłem na tamto drzewo, by  
rozejrzeć się po okolicy, jak na pewno robił to ktoś z armii króla  
Ryszarda, szukając odpowiedniego miejsca na bitwę.

- To mi o czymś przypomina, generale. To dla ciebie.

- Co to jest? - zapytał Miles, badając zawiniątko wzrokiem.

- Coś, co będzie ci przypominać ubiegły tydzień i twoją wycieczkę na pola Bosworth.

- Na Jowisza!

Jak można się było spodziewać, Miles żywo zabrał się do rozdierania papieru i już po chwili wyciągnął plecioną skórzaną szpicrutę.

- Na Jowisza! - powtórzył, obracając ją w rękę i nie mogąc się nadziwić kunsztowi jej wykonania. - Jest pierwszorzędna!

- Pomyślałem, że może ci się spodobać, więc pozwoliłem sobie umieścić na niej twoje inicjały.

Miles przyjrzał się małej mosiężnej płytce. Potem z lśniąco oczyma przybrał pozycję szermierczą i przeciął szpicrutą powietrze niczym szpadą. Szust! Szust!

- Wspaniała! - powiedział, porzucając rolę miecznika. -Dziękuję, Burtonie. Będę ją zawsze nosił.

Młodzi dżentelmeni uścisnęli sobie dłonie. Następnie Burton wsiadł na siwka i pokłusował do domu myśliwskiego. Ledwie minutę po jego odjeździe Miles, udając, że dosiadł jednego ze wspaniałych rumaków Dunforda, popędził wzdłuż drogi, wydając z siebie odgłosy naśladujące tętent kopyt i przecinając powietrze swą nową szpicrutą. „Przejechał” tak być może pół mili, gdy zauważył, że coś dziwnego dzieje się na drodze przed nim. Ogromny konar leżał w poprzek drogi, przypuszczalnie blokując drogę staremu wozowi ciągniętemu przez równie starego, łękowatego konia.

Dwaj pospolicie wyglądający mężczyźni, ubrani w bliżej nieokreślonego koloru robocze koszule i bryczesy, stali koło wozu. Jeden z nich był raczej średniego wzrostu, ale drugi przypominał prawdziwego kolosa o wielkich dłoniach. Wydawał się dostatecznie krzepki, by usunąć konar. Nie próbował jednak tego robić. Zamiast tego pomagał swemu towarzyszowi mocować brezent osłaniający ładunek wozu.

W normalnej sytuacji Miles byłby zapewne ledwie zainteresowany. W istocie może nawet zaproponowałby robotnikom pomoc, gdyby nie to, że wypatrzył konia Burtona przy drodze. Samego Burtona Dunforda jednak nigdzie nie było. Jego wspaniały siwek nerwowo grzebał w ziemi kopytem. Gdy tylko mężczyźni skończyli mocowanie brezentu, ten niższy dał koniowi klapsa. Rumak pogalopował przez pola.

Nie mając wątpliwości, że dzieje się coś groźnego, Miles przykucnął przy żywopłocie, gdzie była mniejsza szansa na to, że zostanie zobaczony. Z ukrycia obserwował, jak niższy mężczyzna wspina się na wóz i chwyta za lejce.

- Pierre! - krzyknął, wskazując na konar. - Usuń to z drogi.

Kolos, wyraźnie niezadowolony z polecenia, zamruczał coś w języku, który według Milesa brzmiał jak francuski.

- Rusz się, gupi olbrzymie - ponaglił go woźnica. - Zanim ktoś tu przyjdzie i nas zobaczy.



Rozejrzawszy się dookoła, czy nikt nie patrzy, mężczyzna o imieniu Pierre uniósł konar, jakby ważył nie więcej niż kilka kamieni, i zaczął go przeciągać na pobocze.

Korzystając z czynionego przez niego hałasu, Miles przemknął się ku tyłowi wozu. Targany ciekawością odchylił brezent. Zobaczył jedynie część solidnie wykonanego buta owiązanego liną, ale to mu wystarczyło. Stało, się to, co podejrzewał: ci mężczyźni uprowadzili Burtona Dunforda.

W chwilę później Pierre wskoczył na siedzenie koło woźnicy, a ten popędził starego konia, uderzając go lejcami w zad. Powoli koła wozu zaczęły się obracać. Przeświadczony, że musi coś zrobić, zanim będzie za późno, Miles odchylił brzeg brezentu i zanurkował pod niego.

Gdy wóz zniknął za zakretem, nic nie wskazywało na to, że na drodze stało się coś nieprzewidzianego. Nic z wyjątkiem plecionej skórzanej szpicruty leżącej w piasku, z wygrawerowanymi na małej mosiężnej płytce inicjałami M. G.

## Rozdział 14

Rand przerzucił nogę ponad zadem kasztanka, wdychając z przyjemnością rześkie powietrze. Kiepsko spał tej nocy - nic w tym dziwnego, jeśli uwzględni się wydarzenia ubiegłego wieczoru - i chociaż było jeszcze wcześnie, nie mógł czekać ani chwili dłużej. Musiał natychmiast pojechać do „Róży i Korony” i porozmawiać z Harriet.

Porozmawiać z nią? Szczęściem będzie, jeśli nie zastrzeli go, gdy tylko go zobaczy. Zwłaszcza że wyróżnił się na ostatnim balu jako osioł par excellence.

Nadal nie mógł uwierzyć, że sam tak się skompromitował. Pamiętał jedynie, że gdy ten stary głupiec z wąsami podobnymi do rogów byka ośmielił się wymówić imię Harriet, on w jednej chwili wściekł się. Oślepiony furją omal nie zadusił biednego przyszłego teścia Freddy'ego Gwynna,

Ale nie to było w tym wszystkim najgorsze.

Jakby mu nie dość było poniewierania człowieka, który mógłby być jego ojcem - co zwróciło uwagę wszystkich osób na sali - ledwie minutę później wywołał scenę, w efekcie której Harriet została publicznie okrzyknięta ladacznicą i złodziejką. Gdy wreszcie opuściła salę, dodał do swoich błędów to, że poszedł za nią aż pod drzwi jej sypialni, gdzie wziął ją w ramiona i całował, jak marzył o tym od wielu dni.

Nie żeby żałował tych pocałunków. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiej przyprawiającej o zawroty głowy namiętności, nigdy nawet nie domyślał się, że można czerpać taką przyjemność z dawania zadowolenia drugiej osobie. Żałował jednak sposobu, w jaki zakończyły się te intymne chwile - Harriet odepchnęła go. Wyrwała się z jego objęć, chociaż postawiłby całą fortunę na to, że chciała w nich pozostać.

Po tych pocałunkach oskarżyła go, że ją okłamał. Że sprawił, by wierzyła, że jest kim innym. I że złamał jej serce.

Pierwsze dwa oskarżenia były w pełni uzasadnione i Rand zrobiłby wszystko, co w jego mocy, by wytłumaczyć się ze swojego postępowania i przeprosić za nie, gdyby nie przedstawiła trzeciego zarzutu. Czy złamał jej serce? Kiedy?

Z tego, co wiedział, serce można złamać tylko wtedy, gdy jego właściciel powierza je drugiej osobie. Gdy właściciel kocha drugą osobę.

Kocha! Ta myśl zwała go z nóg.

Czy Harriet Wilson go kochała? Czy to dlatego całowała go z takim niewinnym zapamiętaniem? Dlatego przyłgnęła do niego swym miękkim, ciałem, pozwalając rozkoszować się jego bliskością, że mało nie oszalał z pożądania? Dlatego patrzyła na niego z tą ufnością w oczach, która rozgrzewała mu serce?

Dlatego? Czy to możliwe, że ona go kocha?

Wciąż kręciło mu się w głowie od tych pytań, gdy Harriet wepchnęła mu do rąk jego nie otwarty list i kazała mu, żeby sobie

poszedł. A następnie bez słowa wsunęła się do pokoju i zamknęła drzwi.

Rand przypuszczalnie podążyłby za nią, gdyby nie Anna Gwynn, która uciekła wreszcie z sali balowej i właśnie nadbiegła ciemnym korytarzem. Rozdarty pomiędzy potrzebą porozmawiania z Harriet a obawą, że wdzierając się za zamknięte drzwi jej pokoju, może przekreślić wszystkie swoje szanse, włożył list do kieszeni i nie zatrzymując się opuścił karczmę. Dosiadł konia i wrócił do domu.

Teraz, w świetle poranka, chciał wyjaśnić z panną Harriet Wilson niektóre kwestie. Chciał - nie, musiał wiedzieć na pewno, czy oddała mu swoje serce. Ostatniego wieczoru zachowywał się jak szaleniec i możliwe, że się przesłyszał. Być może powiedziała coś, co tylko brzmiało podobnie do „złamałeś mi serce”.

Większą część nocy wiercił się w swoim łóżku, obwiniając się i zadając sobie pytania, na które nie znał odpowiedzi.

Prawdę powiedziawszy, miał niewielkie doświadczenie w obcowaniu z damami, a jeszcze mniejszą wiedzę o miłości. Do niedawna stykał się wyłącznie z kobietami, których czyny i uczucia były nierozzerwalnie związane z ilością pieniędzy w jego kieszeniach. Oczywiście niektóre z nich mówiły, że go kochają, lecz Rand nigdy nie traktował ich ani ich deklaracji poważnie. Płatna miłość była dlań nie bardziej istotna niż puchate białe chmury przepływające przez letnie niebo. Trwała chwilę i zniknęła.

A co z prawdziwą miłością? Czy ona trwa? Czy może, jak utrzymują księża, trwać tak w obfitości, jak w niedostatku? Tak w

zdrowiu, jak w chorobie? Czy mężczyzna może przeżyć swoje życie, pragnąc tylko jednej kobiety?

Harriet Wilson zasługiwała na jego uwielbienie i szacunek. Niespodziewanie dla niego uczucie przyjaźni przerodziło się jakoś w pragnienie bycia z nią, chronienia jej od krzywd... Dotykania jej. Całowania jej. Kochania się z nią.

Czy to miłość? Nie wiedział. Ale jeśli ktokolwiek znał odpowiedź, to tylko Harriet, gdyż była ona najmiłszą, najbardziej czulą osobą, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie wspominając już, że najbardziej urodziwą i zmysłową.

Takie myśli bardziej poruszały, niż uspokajały. A gdy tak jechał kłusem wzdłuż kamienistej drogi, dostrzegł jeźdźca galopującego w jego stronę. Ponieważ wychudzony koń był wyraźnie wynajętym wierzchowcem, a beczułkowaty mężczyzna w źle skrojonej kurtce i czerwonej koszuli nie wywodził się z pewnością z towarzystwa, Rand wstrzymał Merkurego i zaczął czekać, aż tamten do niego dotrze.

- W czym mogę pomóc? - zapytał.

Mężczyzna dotknął palcem daszka filcowej czapki.

- Dzień dobry panu. Czy mam przyjemność z lordem Dunford?

- Nazywam się Dunford.

- Moje nazwisko brzmi Bill Avery. Zostałem wyznaczony do obserwowania monsieur Antoine'a de la Croix i przyjechałem pana poinformować, że Francuz przebywa we wsi Market Bosworth około godziny drogi stąd. Ja zatrzymałem się w małym zajęździe „Lisia

nora", natomiast monsieur de la Croix, wraz z kobietą lekkich obyczajów i totumfackim - grubasem o nieokrzesanym wyglądzie o nazwisku Pierre du Lac - pozostają w wynajętym domku myśliwskim. I jeśli kiedykolwiek widziałem ludzi, którzy mają złe zamiary, to wyglądali dokładnie jak ci dwaj.

Pragnąc dowiedzieć się od Avery'ego wszystkiego, co ten wie o de la Croix, Rand zabrał go do domu. Zamówiwszy kufel piwa domowej roboty dla gościa, zaprowadził go do sali bilardowej, gdzie zastanawiali się, jak najlepiej wykorzystać nagłe pojawienie się Francuza w Leicestershire.

- Ktoś strzelał do mnie kilka dni temu - powiedział Rand - i zdawało mi się, że winowajcą może być de la Croix.

- Być może, milordzie. Jest w Leicestershire od początku tygodnia. - Policjant łyknął piwa. - Jeśli wolno mi spytać, czy monsieur miałby powód, by życzyć panu śmierci?

Rand skinął głową.

- Gdy byłem na Barbados, uczciwie wygrałem od niego pewną sumę w wista. Jednak z sobie tylko wiadomych powodów powziął przekonanie, że oszukiwałem.

- Nie umie przegrywać, co?

- Można tak powiedzieć.

- Plotki głoszą - powiedział Avery - że wygrał pan nieco gotówki od jakiegoś dżentelmena czy dwóch u White'a i fortunę od innego u Boodle'a. Od takich, Co znają zasadę: przegrywasz - płąć.

- To byli dżentelmeni.

- Czego nie można powiedzieć o Francuziku.

- Czego nie można powiedzieć o Francuzie. Jak pan być może wie, de la Croix jest zarówno piratem, jak i handlarzem niewolników. Ale być może nie wie pan, że uważa on, że splamiłem jego honor, czy raczej coś, co w jego wynaturzonym umyśle uchodzi za honor. Poprzysiągł mi zemstę i dopóki pozostaje w Anglii, tak ja, jak członkowie mojej rodziny są zagrożeni.

W tym miejscu Rand uznał za stosowne napomknąć o tym, że Burtonowi groziło trzech zamieszkujących w Oksfordzie opryszków.

- Bracia Wexham. Przynajmniej w związku z nimi mam dobre wieści. - Avery dokończył piwo jednym wprawnym pociągnięciem i odstawił kufel na stojący obok stół z opuszczanym blatem. - Wygląda na to, że ci trzej próbują wymuszać pieniądze od studentów uniwersytetu. Lubią przy tym grozić i pokazywać mięśnie. Ale to już skończona historia. - Uśmiechnął się, pokazując puste miejsca po niejednym brakującym zębie.

- Jeden z moich współpracowników, typ pozbawiony humoru, odbył krótką pogawędkę z najstarszym z braci. Wylał mu wino, jak sądzę, a potem zmusił go do myślenia o czym innym niż naciąganie młodych dżentelmenów.

Na pełne uznania skinienie Randa Avery stwierdził, że jego zdaniem Burton może wrócić na uniwersytet, kiedy tylko zechce.

- Proszę mu tylko poradzić, by trzymał się własnych spraw, z dala od Wexhamów i ich karczmy. Być może znajdą sobie jakiegoś innego biedaka do straszenia.

Gdy Bill Avery udał się do wsi Bosworth Market, by mieć oko na de la Croix, Rand dosiadł znów Merkurego i pojechał do Kipworth, do „Róży i Korony”. Ku swemu zaskoczeniu spotkał Harriet na dziedzińcu karczmy. Najwyraźniej nie zamierzała go zastrzelić, jak się tego obawiał, ale wręcz bardzo ucieszyła się na jego widok.

- Bogu dzięki! - powiedziała, gdy zsiadł z konia i oddał go jednemu ze stajennych. - Myślałam, że nigdy tu nie przyjedziesz.

Odruchowo wyciągnęła ręce do Randa, a on złapał je, chcąc ją pocieszyć.

Widział ją już szczęśliwą, widział rozzłoszczoną i widział rozpaloną namiętnością. Ale teraz dostrzegł w jej zielonych oczach zatroskanie. Musiała przygryźć zębami dolną wargę, by powstrzymać jej drzenie. Widok lęku w jej oczach zrobił na nim niezwykle wrażenie. Był rozdarty pomiędzy chęcią zamordowania tego, kto ją przestraszył, a chęcią utulenia jej w ramionach i zapewnienia, że wszystko będzie dobrze.

Zanim jednak zdążył zrobić cokolwiek, odsunęła się do tyłu, zmuszając go do puszczenia jej rąk. Wziąwszy dla uspokojenia kilka głębokich wdechów, powiedziała:

- Nie wiedziałam, czy lepiej będzie czekać, na wypadek gdybyś zjawił się z wizytą... czy wypożyczyć wóz z osłem i pojechać do ciebie...

Chciała do niego przyjechać. Nieważne, o co chodzi, chciała się do niego zwrócić.



- Wóz z osłem? - zapytał, licząc, że wywoła jej uśmiech. -  
Sytuacja musi być naprawdę poważna, skoro rozważałaś podjęcie  
kolejnej próby podróżowania z tym knąbrnym zwierzęciem.

Próbowała się uśmiechnąć, lecz jej wysiłki nie zdały się na  
wiele, tylko lekki ruch kącików kształtnych ust przypomniał Randowi,  
jak bardzo chciałby je pocałować. Aby powstrzymać się przed tym,  
podłożył rękę pod jej łokieć i poprowadził ją do kasztanowca, który  
niemal zasłaniał dziedziniec karczmy.

- Dobrze - rzekł, gdy usiadła na drewnianej ławce. -Powiedz mi,  
co cię tak przejęło.

- Chodzi o Milesa. Nigdzie go nie ma.

W paru zdaniach opowiedziała o powrocie do „Róży i Korony”.  
Chłopak wybrał się gdzieś szukać przygód.

- Nawet o tym nie myślałam, dopóki Freddy, panna Shaw i jej  
ojciec nie zaczęli zbierać się do wyjazdu. W ostatniej chwili zaprosili  
do towarzystwa Annę, która była rozczarowana, że brat nie pożegna  
się z nią. Ale nawet wtedy myślałam, że pewnie jest na jednej ze  
swoich chłopięcych wypraw.

- To nadal możliwe - zauważył łagodnie Rand. Potrząsnęła  
głową.

- Nie przejmowałam się zbyt przez jeszcze jakieś dwie  
godziny. Lecz Miles nie wrócił na posiłek. Wtedy zaczęłam się  
naprawdę martwić, bo on wraca punktualnie na wszystkie posiłki.

Harriet ubrana była w mały czepek, zawiązywany na  
jaskrawoczerwone wstążeczki, i prostą, muślinową sukienkę w

kwiatki, o krótkich rękawach, przewiązaną poniżej piersi pasem w tym samym kolorze. Nieświadomie dziewczyna zaczęła okręcać wokół palca wstążeczki czepka.

- Po obiedzie - kontynuowała - poprosiłam jednego ze stajennych, żeby pomógł mi poszukać chłopca. Wrócił... wrócił ze szpicrutą.

Jej głos załamał się przy ostatnich słowach, co skłoniło Randa do odplątania wstążeczki z jej palców i wzięcia ją za rękę.

- Jaką szpicrutą?

- Miles dostał ją od twojego brata.

- A zatem - rzekł Rand, zadowolony, że rozwiązał zagadkę - mamy odpowiedź. Kiedy wyjeżdżałem z domu, Burton jeszcze nie wrócił. Niewątpliwie Miles jest z nim.

- Nie - powiedziała Harriet. - To niemożliwe, bo pan Dunford spieszył się do domu. - Z niewiadomego powodu zaczerwieniła się. - Miał coś ważnego do zrobienia.

- Nie mogło to być aż tak ważne - zauważył Rand z nutką sceptycyzmu w głosie - bo jak już mówiłem, gdy wyjeżdżałem, jeszcze go nie było.

Harriet poczuła się urażona jego tonem i wyswobodziła dłonie z jego rąk.

- Mówię ci, że to było coś ważnego. Widziałam twojego brata, a ty nie!

Pierwszy raz od przybycia Rand potraktował poważnie jej zaniepokojenie o niepoprawnego kuzyna. Sam zaczął się martwić o

Burtona, bo coś przywiodło mu na myśl Antoine'a de la Croix. Nagły lęk złapał go za gardło. Byłaby to zemsta Francuza dokonana na kimś zupełnie niewinnym.

- Powiedz mi - zapytał cicho - kiedy i gdzie widziałaś Burtona ostatnio?

Harriet zaczerwieniła się znowu.

- Spotkaliśmy się we wsi, gdzie... gdzie twój brat wymienił kilka słów z kobietą zwaną Belle Coombs. Była w towarzystwie swojego syna i kiedy nas pożegnali, Burton powiedział, że musi kogoś przeprosić i że ma nadzieję, że nie jest za późno. Potem odjechał i jak mówiłam, wyraźnie się spieszył.

Miał nadzieję, że nie jest za późno! Były to słowa Burtona, ale teraz wprowadzały zamęt w głowie jego brata. Boże, oby nie były one prorocze! Nie pozwól, by Belle Coombs i jej kłamstwa znów dokonały spustoszenia w moim życiu!

Za późno, za późno.

Rand nie mógł zagłuszyć tych słów w swej świadomości, bo jeśli de la Croix był w to zamieszany, naprawdę mogło już być za późno. Burton może być w tej chwili wszędzie, a Miles może razem z nim. Francuz był handlarzem niewolników, okrutną, niehumanitarną istotą, nieczułą na nieszczęścia i ból, który zadaje. Co więcej, posiadał własny żaglowiec, który umożliwiał mu natychmiastowe wywożenie porwanych ofiar.

Ledwie ta myśl pojawiła się w głowie Randa, usłyszał nadjeżdżający powóz. Szybkość zbliżania się zaprzęgu sprawiła, że

wybiegł przed karczmę. Nie był jednak zdziwiony, widząc, że powozi Eli Porter.

- Prr! - zawołał zarządca i ściągnął lejce.

Ze złym przeczuciem Rand podszedł do koni i przytrzymał je lekko, gdy stary, pomarszczony człowieczek zsiadał z powozu.

- Paniczu Rand - powiedział, trzymając w wyciągniętej ręce liścik. - Gdy panicz wyjechał, siwek wrócił do stajni cały zdyszany i spieniony. Panicza Burtona nie było z nim, ale to było przymocowane do siodła. Przyjechałem tu najszybciej, jak mogłem, bo wiedziałem, że będzie panicz chciał o tym usłyszeć.

Harriet przybyła w porę, by usłyszeć słowa Eliego. Położyła rękę na ramieniu lorda Dunford.

- Proszę - powiedziała - przeczytaj na głos.

Lęk w sercu Randa odbijał się w oczach Harriet. Nie mógł jej odmówić. Złamawszy woskową pieczęć, rozłożył pojedynczy arkusz. Pismo było bogate w zawijasy i zakrętasy, jakby piszący beztrąsko się bawił. Tak jak w osobie nadawcy, i w wiadomości nie było nic zabawnego.

- „*Milordzie*” - zaczął Rand, a słowa więzły mu w gardle. - „*Na balu nasza mnie nader intrygująca myśl. Antoine, powiedziałem sobie, monsieur le baron nauczył się tak dużo, pracując przy trzcinie cukrowej, nest-ce pas? Czy nie byłoby zabawne, gdyby dowiedział się, że jego brat rozpoczął podobną edukację?*”

Nie mogąc się powstrzymać, lord Dunford wymamrotał ciąg przekleństw, wręcz obraźliwych dla kobiecych uszu. Nie

przepraszając za wybuch, wziął głęboki oddech i kontynuował czytanie listu de la Croix. - „*Pewien dżentelmen z Jamajki zapłaci każdą sumę, jeśli dostarczę mu pięknego młodzieńca. Osobiście wolę les jeunes filles, ale pieniądz to pieniądz, a jakoś muszę odzyskać sumkę, którą mi ukradłeś.*

„*Au revoir, mon ami. Przekażę monsieur Burtonowi Dunfordowi życzenia bezpiecznej podróży.*” - *Chociaż Rand czuł, że wszystko się w nim gotuje z wściekłości, przeczytał ostatnie słowa.* - „*Twój unижony sługa, Antoine de la Croix.*”

Przez chwilę wszyscy milczeli. Lord Dunford spojrzał na Harriet, która wciąż trzymała rękę na jego ramieniu. Nie był pewien, ile tak młoda dama może zrozumieć z fragmentu o człowieku, który lubi sprowadzać sobie młodych chłopców, ale z przerażenia w jej oczach mógł wnioskować, że z pewnością zrozumiała ten o handlu niewolnikami.

- Rand? - odezwała się głosem słabym ze strachu. - Co my teraz zrobimy?

Nie próbował jej przekonać, że Miles nie jest z Burtonem. Nie wiedział, jak chłopiec został w to wmieszany, ale czuł w głębi serca, że tak się stało. Tak jak i wiedział, że de la Croix nie zmarnuje okazji zabrania na pokład drugiego chłopaka. Dla niego Miles był tylko potencjalnym źródłem dochodu. Niczym więcej, niczym mniej.

- Chyba wiem, gdzie może być ten drań - powiedział. - Poleciałem policjantom go obserwować. Jeden z nich poinformował mnie dziś rano, że Francuz wynajął domek myśliwski we wsi Market Bosworth.

- Proszę - powiedziała Harriet - pojedźmy tam nie zwlekając.  
Ponieważ od razu wsiadła do powozu, nie mogło być wątpliwości co do jej zamiarów.

- Nie możesz z nami jechać - rzekł Rand. - Chyba to rozumiesz. Francuz jest bardzo niebezpieczny i nie jest sam. Nie będę w stanie zapewnić ci bezpieczeństwa.

- Wcale cię o to nie proszę - odparła głosem pełnym niedowierzania. - Nie jestem dzieckiem, tylko dorosłą kobietą odpowiadającą za własne czyny, jak i za ich konsekwencje.

- Harriet, proszę, wysiądź i pozwól pojechać mi i Eliemu. Najlepiej pomożesz, rozmawiając z mistrzem ceremonii wczorajszego balu. Słyszałem chyba, że jest też sędzią pokoju w okolicy.

Nie poruszyła się nawet.

- Ty - powiedziała, wskazując na Elięgo. - Proszę, bądź tak miły i powiedz właścicielowi karczmy, panu Shimmerhornowi, co się stało, i poproś, by skontaktował się ze Squire'em Thrumby,

- Proszę - spróbował znów Rand - wysiądź. Czy nie widzisz, że moje serce krwawi? Błagam, nie pomnażaj mojego bólu, zmuszając mnie do usunięcia cię siłą.

Harriet współczuła człowiekowi znanemu powszechnie jako pan „Nie Zważam na Nic”. Martwił się bardzo, pewnie najbardziej ze wszystkich. Ale niestety nie rozumiał jej.

- Jadę do Market Bosworth - oświadczyła. - Jeśli mnie wysadzisz, pobiegnę za powozem całą drogę.

- Ale...

- Muszę jechać do Milesa. Chyba to rozumiesz? Nie przysporzę ci żadnych kłopotów i uroczyście przysięgam, że będę ci posłuszna we wszystkim innym. Ale nie w tym.

Podjmując ostatni wysiłek, Rand przypomniał jej, że nie ma żadnej gwarancji, że zastaną de la Croix w Market Bosworth.

- Jeśli uciekł, będę go ścigał aż do Londynu, gdy zajdzie taka konieczność. Nie mam wyboru. Czas jest na wagę złota. Z tego powodu nie będę mógł cię odwiedzić do Kipworth.

- Zatem oboje pojedziemy do Londynu.

Lord Dunford usłyszał sapnięcie Eliego i nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że jego oczy są szeroko otwarte ze zdumienia. A skoro Eli Porter był zgorszony, to można sobie wyobrazić reakcję tak zwanego towarzystwa!

- Pomyśl tylko - powiedział. - Jeśli pojedziesz ze mną do Londynu, twoja reputacja będzie nieodwracalnie zrujnowana.

- Do diabła z moją reputacją! - krzyknęła Harriet. - Jaką wartość miałyby dla mnie nieskazitelna reputacja, gdybyśmy nie powstrzymali Francuza? To ja przywiozłam Milesa tutaj, do Kipworth. Ja i tylko ja jestem odpowiedzialna za to, co się stało. On jest małym chłopcem, a ja pozwoliłam, by stała mu się krzywda. Jak mogłabym dalej żyć, gdybyśmy go nie uratowali?

## Rozdział 15

Dotarli do Market Bosworth szybciej niż, jak się spodziewali, w godzinę. Rand siedział na miejscu woźnicy, a Harriet jako pasażerka mocno musiała się trzymać przez całą drogę. Rand umiał się obchodzić z lejcami i chociaż popędzał konie, były świeże i dobrze dobrane i bez problemu przemierzały pofałdowaną okolicę z głogowymi zagajnikami.

Ktoś, zapewne Eli Porter, wykazał się przytomnością i umieścił pod przednim siedzeniem zestaw pistoletów. Gdy Rand zwolnił przed zdumiewająco obskurnie wyglądającym zajazdem „Lisia nora”, Harriet ubolewała nad swoją nieumiejętnością obchodzenia się z bronią. W tej chwili zdolności strzeleckie były pożądane.

Podejrzanie wyglądający stajenny przechadzał się koło drzwi stajni, jakby niepewny, co zrobić z powozem. Na znak dany przez Randa podszedł raczej niespiesznie i stanął przy końskich łbach.

- Przespaceruj się z nimi - powiedział lord Dunford, wręczając mu monetę. - Nie zatrzymujemy się tu. Chciałem tylko zadać parę pytań właścicielowi.

Z nieufnego spojrzenia stajennego Harriet wywnioskowała, że pytania nie są preferowanym sposobem rozpoczęcia rozmowy w „Lisiej norze”.

- Możesz się przejść dookoła i rozprostować kości - powiedział do niej Rand. - Napij się wody - zaproponował, wskazując na



drewnianą konstrukcję z boku zajazdu - ale pozostań w zasięgu mojego głosu.

Harriet zaczerpnęła powietrza, chcąc zaprotestować, gdyż pragnęła usłyszeć, co powie właściciel zajazdu, ale przypomniała sobie, że obiecała uczynić wszystko, co każe jej Rand, więc przygryzła język i poszła do studni. Ku swojemu zdumieniu ujrzała młodą służącą ledwie parę stóp od ujęcia wody, pochylającą się nad drewnianą balią, wypełnioną wodą z mydlinami i czymś, co wyglądało jak bielizna pościelowa.

Młodziutka praczka, starsza może o rok czy dwa od Milesa, była jeszcze bardziej zdumiona widokiem przybyłej, bo gdy Harriet przemówiła, wystraszona dziewczynka upuściła kostkę mydła, którą trzymała w ręku, chlapiąc sobie brudną wodą w oczy. Naturalnie, będąc jeszcze dzieckiem, zaczęła płakać. Gdy próbowała wytrzeć oczy, nie mogła znaleźć suchego i nie- zabrudzonego sadzą miejsca na swoim fartuchu. Harriet, poruszona do głębi niedolą dziecka, wyciągnęła wyszywaną chusteczkę i podała jej.

- O nie, psze pani - powiedziała służąca, kręcąc głową tak mocno, że za duży czepek obsunął się jej na czoło, niemal zasłaniając oczy. - Jest znacznie za ładna dla kogoś takiego jak ja. Ale dziękuję.

- Głupstwo, moja droga. Proszę, pozwól. Wsunąwszy palec pod jej brodę, Harriet uniosła jej twarz i własnoręcznie otarła łzy. Następnie złożyła chusteczkę i wetknęła ją do kieszeni brudnego fartucha.

- Na następny raz - powiedziała.

Dziewczynka rozpromieniła się, jakby dostała cenny dar. Potem, jakby przypominając sobie o manierach, ukłoniła się i zapytała, czy Harriet czegoś potrzebuje.

- Jeśli pani chce filiżankę, to mogę pójść po pannę Bay-less, bo ona jest żoną właściciela.

Harriet pokręciła głową.

- Dziękuję, ja tylko czekam na przyjaciela. Szukamy kogoś, kto zatrzymał się w domku myśliwskim nieopodal i mój przyjaciel wszedł do środka zapytać właściciela o drogę.

- Tak, psze pani - powiedziała dziewczynka, dygając znowu, po czym nachyliła się ponownie nad balią, usiłując złapać mydło. Gdy tylko je wyłowiła, zapytała szeptem: - Też szukacie Francuzika?

- Francuza? - Harriet poczuła ucisk w klatce piersiowej, zaparło jej dech w płucach. Gwałtownie wciągając powietrze, zapytała cicho, by nie wystraszyć dziecka: -Znasz go?

-Ja, psze pani? Nawet na niego nie spojrzałam. Boje sie Francuzików. - Popatrzyła w prawo i w lewo, jakby chcąc się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje. - Pare dni temu słyszałam, jak ten duży pan, co tu sie zatrzymuje, ten w czerwonej kamizelce, zapytał właściciela, czy zna Francuzika.

- I znał?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Powiedział, że nic nie wie, ale on tak zawsze mówi, jak ktoś sie go pyta. No pewnie, jak ten pan poszed do kuchni i zapytał panią, to

wyciągła rękę. „Pokaż mi pieniądze”, powiada, „to powiem, gdzie znaleźć tego Francuzika”.

Z bijącym sercem Harriet zapytała dziewczynkę, czy słyszała coś jeszcze.

- Tak, psze pani. Jak ten duży pan dał pannie Bayless trochę monet, powiedziała, że Francuzik zatrzymał się w domku myśliwskim pana Clive'a.

- W domku myśliwskim pana Clive'a? - powtórzyła łagodnie Harriet. - Wiesz, gdzie to jest?

Dziecko zarechotało, jakby to pytanie było śmieszne.

- Mieszkam tu całe życie, psze pani.

- Oczywiście, nie pomyślałam. Powiedz mi, gdybym chciała tam iść, którądy będzie najszybciej?

- Tędy - odrzekła praczka, wskazując na prawo. -Przejdzie pani kawałeczek, aż dojdzie pani do małego zagajnika. Brama jest zaraz za zagajnikiem.

- Wielkie dzięki! - powiedziała Harriet. - Nie mam żadnych monet, ale będę o tobie pamiętać w moich modlitwach.

Dziewczynka wciąż jeszcze dygała, gdy Harriet odwróciła się i pospieszyła do wejścia zajazdu. Zanim tam dotarła, Rand wyszedł, a jego twarz była tak zachmurzona, jak burzowe niebo.

- Nie miałem szczęścia - powiedział. - Właściciel coś wie, jestem o tym przekonany, ale nie dał się przekonać, by podzielić się ze mną swoimi informacjami. Ani pieniądze, ani groźby nie rozwiązały mu języka, a gdy złapałem go za kołnierz, żeby go lepiej przekonać, z

baru przyszło kilku ludzi, żeby mu pomóc. Uznałem, że lepiej nie robić zbyt wiele na widoku, puściłem go więc i wróciłem...

- Wiem, gdzie zatrzymuje się de la Croix - powiedziała Harriet, nie mogąc dłużej wytrzymać. - Domek stoi kawałek stąd, za zagajnikiem.

Po chwili głuchej ciszy Rand kazał stajennemu przyprowadzić zaprzęg i gdy tylko dał mu napiwek, pomógł Harriet wsiąść do powozu. Zatrzymując się na chwilę, uśmiechnął się do niej.

- Następnym razem - powiedział - to ja pozostanę w zasięgu twojego głosu, gdy ty będziesz zadawać pytania.

Było to bliskie przeprosin, jakie chciałaby otrzymać, ale była zbyt podekscytowana, by wdawać się w szczegóły. Miała tylko nadzieję, że dotrą na czas.

Zagajnik był nieco ponad milę od zajazdu, po prawej stronie i dokładnie tak, jak powiedziała służąca, brama i dojazd do niej były zaraz za laskiem. Jak wiele posiadłości, w których właściciel nigdy się nie pojawia, miejsce to potrzebowało wielu napraw. Dojazd wymagał wyrównania, a to, co było niegdyś łukiem ubitej murawy, prowadzącej do domu, zarosło teraz wysokimi chwastami. Podobnie psiarnia, która stała w pewnym oddaleniu od stajni, wyglądała, jakby jej dach mógł się w każdej chwili zawalić.

- Czy twój informator mówił coś o tym, czy psiarnia jest pełna, czy pusta? - zapytał Rand.

- Nie, nie mówił. A czemu? Czy to ma znaczenie?

- Może mieć - powiedział. - Niezależnie od pory dnia, jeśli ktokolwiek wjeżdża na dojazd do mojego domu, psy reagują gorączkowym ujadaniem, które ostrzegłoby nawet najmniej podejrzliwą osobę.

- Ojej! Co zrobimy?

- Zostawimy powóz w zagajniku i podejdziemy do domku na piechotę.

Po przywiązaniu koni do drzewa w miejscu niewidocznym z drogi, Rand sprawdził pistolety. Przekonawszy się, że oba są nabite, spojrzał na Harriet.

- Nie przypuszczam, żebyś...

- Wybacz - powiedziała. - To nierozważne z mojej strony, ale nigdy nie uczyłam się obchodzić się z bronią. Dopisz to do listy moich wad.

Ku jej zdziwieniu Rand zachichotał.

- Do stale powiększającej się listy - poprawił ją..

Bez słowa wsunął jeden pistolet za pas bryczesów, następnie przewiesił kaburę z drugim przez ramię.

- Czy jesteś pewna, że chcesz tam wchodzić? - zapytał. - Nikt nie miałby ci za złe, gdybyś została przy koniach.

- Ja bym miała - odparła.

Nie było nic więcej do powiedzenia, więc uniósł jej twarz i pocałował, radując się miękkością jej ust ledwie parę sekund.

- Na szczęście - powiedział.

- Twoje czy moje? - zapytała, z trudem łapiąc oddech.

- Obojga.

Przypomniawszy jej, że ma robić dokładnie to, co on powie, poprowadził ją uboczem zarośniętego trawnika na tyły domku. Posuwali się cicho, od czasu do czasu kryjąc się za krzewami. Dotarli już prawie do podwójnych drzwi, które prowadziły do kuchni, gdy nagle się one otworzyły.

Rand popchnął Harriet na ziemię, po czym przykrył ją sobą.

- Sza! - ostrzegł ją, bo z drzwi wyszedł mężczyzna ze średnich rozmiarów walizką. Przeciętnego wzrostu, ubrany był w roboczą koszulę i bryczesy i o ile Rand widział dobrze, nie był uzbrojony.

- Hej, Pierre - zawołał człowiek. - Jak sądzisz, co powie ta panienska, kiedy dowie się, że w powozie nie ma dla niej miejsca i że jaśnie pan zostawia ją tutaj z jej walizkami?

- Fermez la bouche - usłyszał niezadowoloną odpowiedź, po czym w drzwiach pojawił się olbrzym z wielką, skórzaną walizką na ramieniu.

Rand od razu rozpoznał w nim człowieka, którego uderzył butelką tamtego wieczoru na Barbados, Policjant z Bow Street powiedział, że de la Croix ma jednego wspólnika, Pierre'a du Lac, ale nie wspomniał o trzecim mężczyźnie. Tak czy inaczej, gdyby Rand mógł go jakoś oddzielić od reszty i obezwładnić, zostałby tylko olbrzym i de la Croix, a Rand miał dwa pistolety, których nie zawahałby się użyć.

Najwyraźniej niższy nie znał francuskiego, bo nie zamknął ust zgodnie z poleceniem.

- Kiedy ona się obudzi i zobaczy, że nas już nie ma - kontynuował - wywoła istne piekło. Będzie gdakać jak kura, tak myślę.

- Martwe kury - odpowiedział Pierre - nie gdaczą. Na te słowa drugi mężczyzna potknął się i upuścił walizkę.

- Hej, chwileczkę, Pierre! Porywanie to jedno, ale nie będę zabijać kobiety. Panienka czy nie?

- Cicho! - ostrzegł Pierre. - Albo będą dwie martwe kury.

Usta mężczyzny zaczęły drgać, jakby właśnie uzmysłowił sobie, że on także jest zbędny. Schylił się po walizkę i rozejrzał dookoła, jakby szukając możliwej drogi ucieczki.

- Idź do stajni, Pierre, i zacznij ładować walizki jaśnie pana na wóz. Ja... zapomniałem czegoś...

Olbrzym, ignorując go, jakby był nieznośną muchą, przeszedł w stronę stajni ze swoim bagażem. Ledwie Pierre zniknął z widoku, mniejszy mężczyzna ponownie upuścił walizkę i pobiegł w drugą stronę, do bramy. Dotarł tylko do kępy przerośniętych krzaków głogu, gdy nagle upadł.

Ku zaskoczeniu Randa, nie podniósł się. Zamiast tego dwie muskularne ręce wysunęły się z zarośli, złapały mężczyznę za kostki i wciągnęły go w krzaki. Chwilę później wyłonił się z nich Bill Avery i pomachał w stronę Randa i Harriet.

Rand niewypowiedzianie ucieszył się na jego widok. Przywołał go ręką. Po chwili wszyscy troje byli przyczajeni w chwastach, a Avery opowiadał im, czego się dowiedział.

- Byłem tu, jak przyprowadzili powóz z dwoma chłopakami, obaj związani niczym bożonarodzeniowe gęsi.

Na gwałtowny wdech Harriet, policjant dotknął daszka czapki.

- Proszę wybaczyć, proszę pani.

- Nie, nie - powiedziała - proszę nie przerywać, panie Avery.

- Po tym, co mi pan powiedział, milordzie, o monsieur szukającym zemsty i będącym handlarzem niewolników, szybko połączyłem to w jedno. Ale będąc sam przeciw trzem uznałem, że lepiej będzie nie próbować ich ratować. Wiedziałem, że pan przyjedzie, zauważywszy nieobecność pana Dunforda.

Spojrzał w stronę Harriet.

- Chociaż nie spodziewałem się, że weźmie pan ze sobą damę.

- Chłopak jest kuzynem panny Wilson - powiedział Rand, kończąc na tym wyjaśnienia. - Proszę mi powiedzieć - dodał, zmieniając temat - czy ma pan jakiś pian?

Policjant skinął.

- Myślałem, milordzie, że gdy jest nas już dwóch, z przyjemnością zająłbym się tym dużym. Widzę, że ma pan pistolet, więc jeśli chce pan, proszę porozmawiać z de la Croix, gdy ja podążę za totumfackim do stajni, powinniśmy zacząć nie zwlekając.

Oczywiście, jest jeszcze stary służący w domu i ta kobieta, którą przywiózł monsieur.

- Proszę - powiedziała Harriet, wyciągając rękę po wolny pistolet - nie zwracajcie nią sobie głowy. Możecie zostawić pannę Chadwick mnie.



Niecałe pięć minut później, Harriet podeszła do drzwi frontowych, weszła pod zapadający się portyk i zastukała w odrapane dębowe drzwi. Nikt nie odpowiadał i Harriet chciała już zastukać drugi raz, gdy w końcu drzwi otworzył starszy człowiek, który wyglądał, jakby służył tu od przynajmniej sześćdziesięciu pięciu lat. Siwowłosy i przygarbiony, musiał też mieć problemy ze słuchem, bo trzymał w ręku trąbkę akustyczną.

Nie chcąc krzyczeć, czym mogłaby zaalarmować de la Croix, Harriet westchnęła z ulgą, gdy zobaczyła Sally Chadwick za plecami służącego. Wyraźnie zaskoczona widokiem Harriet, otworzyła szeroko usta.

- To pani?!

- Tak - powiedziała Harriet, przywołując na usta coś, co, jak liczyła, było odpowiednio służalczym uśmiechem. - To ja. Liczyłam, że panią zastanę.

- Skąd pani wiedziała, że tu jestem?

- Przyjechałam, aby naprawić wielkie zło, panno Chadwick - rzekła Harriet, ignorując pytanie. - Więc jeśli byłaby pani tak miła i wyszła na zewnątrz, mam coś dla pani.

- Ma pani moją broszkę? Czas najwyższy! Odsuwając na bok staruszka, kobieta wyszła pod portyk.

Ogarnięta chciwością, nie zwróciła uwagi, gdy Harriet, trzymając prawą rękę z zawartością pomiędzy fałdami spódnicy, lewą ręką sięgnęła ponad jej ramieniem i zamknęła drzwi.

- Nie chciałabym, by pani przyjaciel, monsieur de la Croix, nam przeszkadzał.

- A dlaczego miałyby to robić? Przecież to nie jego sprawa! Poza tym Antoine jest na górze z tymi dwoma... -urwała w ostatniej chwili.

- Jest bardzo zajęty.

A więc wie o porwaniu. Nie jest jakimś niewinnym pionkiem w planie Francuza. Wie i nie zrobiła nic, żeby pomóc Milesowi i Burtonowi.

Utrzymując uśmiech na ustach, Harriet wyszła poza portyk, a Sally Chadwick podążyła za nią potulnie jak baranek, nie podejrzewając, że coś się może zdarzyć.

- Wiedziałam, że przyjdzie pani z rekompensatą, panno Wilson, skoro zdemaskowałam panią przed gronem farmerów na balu wczorajszego wieczoru. Gdzie jest moja brosza? I lepiej, żeby była prawdziwa, albo ktoś posiedzi w zamknięciu przez długi czas!

- W zamknięciu? To ciekawe, że wspomina pani o uwięzieniu, panno Chadwick, gdyż myślałam właśnie przez jakieś pół godziny, że te psiarnie byłyby doskonałym więzieniem!

Jakby nie mogąc się powstrzymać, Sally Chadwick spojrzała w stronę walących się psiarni. Gdy się odwróciła, wydała stłumiony okrzyk, bo dostrzegła w ręku Harriet pistolet wycelowany prosto w nią.

- Co, u licha?!

- Idź - powiedziała Harriet. - Przez co najmniej kilka godzin twoim nowym domem będzie psiarnia!

- Moim nowym... Czy to jakieś żarty?

- Nie myślałabym tak na twoim miejscu. Zwłaszcza że nikt się nie śmieje. A najmniej młodzieniec i chłopak, których porwał dzisiejszego ranka Francuz. - Harriet musiała przełknąć ślinę, zanim mogła mówić dalej. - A teraz rób, co ci każę i idź. I błagam, moja pani, nie rób niczego głupiego, bo żadna z nas nie będzie szczęśliwa, jeśli będę musiała cię zastrzelić.

Kobieta zaczęła się trząść i przy pierwszym kroku potknęła się, omal nie upadając.

- Proszę - powiedziała. - Czy nie ma w tobie kobiecej dobroci?

- A czy w tobie była - zapytała Harriet - gdy widziałaś dwóch wystraszonych chłopaków powiązanych jak zwierzęta?

- Proszę - błagała Sally - nie zamykaj mnie w tym okropnym miejscu! Zatrzymaj sobie broszę. Już jej nie chcę. Idź sobie i zostaw mnie w spokoju.

- Pójdę sobie już wkrótce - obiecała Harriet - ale nie wcześniej, niż upewnię się, że jesteś bezpiecznie zamknięta razem z innymi sukami. Ruszaj się!

## Rozdział 16

Rand wszedł do domu przez kuchnię i poczekał w końcu korytarza, aż usłyszał stukanie do drzwi. Gdy Harriet poprosiła Sally na zewnątrz i obie zniknęły, przywołał starego służącego ruchem ręki.

- Tak? - spytał staruszek z zakłopotaniem w kaprawych oczach. - Czy ja pana znam?

Zauważając trąbkę akustyczną, Rand nachylił się do jego ucha i wyszeptał:

- Gdzie jest Francuz?

- Na strychu, panie, ale na pana miejscu bym tam nie wchodził. Ten osobnik to nie dżentelmen i ma broń. Nóż. Widziałem go w jego kurtce.

Lord Dunford poklepał staruszkę po ramieniu, po czym wręczył mu złotą monetę.

- Znajdź sobie jakąś bezpieczną kryjówkę - wyszeptał - i nie wychodź z niej co najmniej przez pół godziny. Do tego czasu zabiorę stąd Francuza i będziesz znów miał cały dom dla siebie.

- Tak, panie. Dziękuję. Dziękuję bardzo.

Podczas gdy stary człowiek odchodził tak szybko, jak mu na to pozwalał jego wiek i zeszywniałe kości, Rand zdjął buty, wyciągnął pistolet schowany za pasem i zaczął cicho i powoli wchodzić po schodach na strych. Poręcze były zakurzone. Podobnie jak cała posiadłość, dom był w opłakanym stanie. Na ścianach widniały brązowe plamy w miejscach, nad którymi dach przeciekał.

Oczywiście Rand nie przejmował się tym, zależało mu tylko na tym, by dotrzeć na strych i zaskoczyć Antoine'a de la Croix, zanim zdąży on wyciągnąć broń. Rand nie zamierzał go zabijać, ale zrobi wszystko, co okaże się konieczne, nie martwiąc się zawczasu o cenę swoich czynów.

Gdy doszedł do górnego piętra, usłyszał czyjeś głosy. Przytknąwszy ucho do drzwi, rozpoznał głos swojego brata.

- Zostaw tutaj chłopca - mówił Burton. - Proszę!

- Mais, non - odparł Francuz. - Nie mogę tego zrobić.

- Ale mówiłeś, że chcesz się zemścić na moim bracie. Zabierając mnie, odpłacisz mu się z nawiązką. Chłopiec nie ma z tym nic wspólnego i nic nie znaczy dla Randa. Błagam, zostaw go związanego tu na strychu. Niech służy odnajdą go, gdy wyjedziemy.

Słyszając brata proszącego o coś tego diabła, Rand wpadł w furję. Upewniwszy się, że pistolet jest nabity i gotów do strzału, podniósł nogę i kopnął drzwi.

- Sacre bleu!

De la Croix siedział na starym, zniszczonym stolku, gdy usłyszał otwierające się z hukiem drzwi, odwrócił się zbyt szybko i stracił równowagę, w efekcie czego upadł na podłogę. Nie tracąc czasu, Rand stanął nad nim i przystawił mu lufę pistoletu do czoła.

- Rusz się chociaż o cal, de la Croix, a twój mózg zmiesza się z kurzem pod tobą.

Macając kurtkę drania, odnalazł nóż, którego Francuz usiłował użyć przeciw niemu dawno temu na Barbados.

- A teraz - powiedział Rand - wyświadczysz mi przysługę i obrócisz się na brzuch, z rękami płasko na podłodze, z szeroko rozstawionymi palcami. Ruszaj się powoli -ostrzegł - i nie rób niczego, co mogłoby nadużyć mojej cierpliwości, bo z wielką przyjemnością uwolniłbym świat od twojej obmierzłej osoby.

Będąc dość rozsądnym, by nie spuszczać z Francuza oczu nawet na chwilę, Rand nie popatrzył jeszcze w stronę dwóch więźniów.

- Burton?.

- Jestem tutaj.

- Jesteś ranny?

- Parę zadrapań. Nic godnego uwagi. Ale mam ręce i nogi związane liną na plecach.

- Możesz się ruszać? Możesz się tu zbliżyć, żebym cię uwolnił?

- Nie. Nie ośmieliłbym się, bo mam też linę przewiazaną wokół szyi. Przy najmniejszym ruchu mogę się udusić.

- Zawsze ta odrobina więcej okrucieństwa, co, de la Croix? Mogłem się tego spodziewać.

Rand wręcz gotował się z wściekłości i jedyne, co mógł zrobić, to powstrzymać się od zatopienia noża w mężczyźnie, który leżał u jego stóp. Dławiąc w sobie żądzę odwetu, spytał do Milesa, czy też jest związany w ten sposób.

- Nie, proszę pana. Tylko ręce i nogi.

- Możesz się do mnie zbliżyć?

W odpowiedzi Rand usłyszał serię głośnych stuknięć, gdy chłopak przesuwiał się po podłodze.

- Jestem tutaj - powiedział w końcu.

Ryzykując szybkie spojrzenie w prawo, Rand przeciął linę ostrym jak brzytwa nożem, uwalniając ręce chłopca.

- Teraz, powiedział, wręczając nóż Milesowi - polegam na tobie co do reszty zadania.

Zanim chłopak uwolnił się zupełnie, usłyszeli odgłos ciężkich kroków na schodach.

- Pierre! - zawołał de la Croix. - Vite!

- Przykro mi, że pana zmartwię - powiedział Bill Avery, stając w drzwiach - ale pański pacholek ma własne problemy. Obawiam się, że nie pomoże nikomu przez pewien czas.

Policjant wszedł do środka i podniósł linę, którą były związane nogi Milesa.

- Dziękuję ci, chłopcze. Zrobię z niej pożytek.

Z prędkością i zręcznością kogoś, kto robił to już wiele razy, Avery oparł kolano między łopatkami Francuza, wygiął jego ręce do tyłu i związał w nadgarstkach.

Gdy Francuz był porządnie unieruchomiony, lord Dunford oddał pistolet policjantowi, zabrał Milesowi nóż i uwolnił brata.

- Czy możesz wstać?

- Muszę - odpowiedział Burton podejrzanie chropawym głosem.

- Chociażby po to, żeby spojrzeć ci w oczy jak mężczyzna i poprosić cię o wybaczenie.

- Głuptasie - powiedział Rand, wyciągając rękę i pomagając mu wstać. - Nie ma czego wybaczać.

- Ale ja...

- Pod żadnym warunkiem - uciał Rand. - Jesteś moim bratem. To dość.

Spiesząc na strych, by się upewnić, że jej kuzyn żyje i ma się dobrze, Harriet przybyła w porę, by zobaczyć Nieprzyzwoitego Lorda i jego brata w pierwszym od ponad dwunastu lat uścisku.

Ze łzami na policzkach otworzyła ramiona przed Milesem, który pozwolił się obejmować przez całe trzydzieści sekund.

- Ty brudny, niedobry chłopaku! - powiedziała w końcu. - Przysięgam, nie wiem, nie wiem, czy mam cię pocałować, czy zamordować.

Nie zważając na jej dylemat, chłopiec uwolnił się z jej ramion.

- Kuzynko - powiedział - gdzieś ty była? Przegapiłaś całą zabawę!



## Rozdział 17

### *Londyn, trzy tygodnie później...*

Harriet siedziała przy stole do pracy, ostrożnie zaginając ząbki z cennego metalu, tak żeby czysty, błyszczący szmaragd tkwił pewnie w swojej złotej oprawie przez długie lata. Pracowała nad tym zaręczynowym pierścionkiem, niemal odkąd wróciła wraz z Milesem do domu w Marylebone, a teraz wreszcie go skończyła.

Zamówienie czekało już na nią, gdy przyjechała z Leicestershire, wraz z instrukcjami od anonimowego klienta, który pragnął, by pierścionek zdobił nieskazitelny kamień. Cięcie i umocowanie pozostawił jej decyzji, ale szmaragd miał być nowy, nie noszony jeszcze przez nikogo. „Pieniądze nie grają roli”, pisał, „ale nalegam, żeby kamień był nowy, na nowy początek”.

- Jest piękny - powiedziała Anna, zaglądając przez ramię kuzynki.

Harriet westchnęła, gdyż istotnie był to najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek wykonała.

- Mam tylko nadzieję, że młoda dama, dla której jest przeznaczony, będzie nim równie zachwycona, jak my.

- I nadal nie wiesz, dla kogo on będzie? Ani nawet kto go zamówił?

Harriet potrząsnęła głową. Z początku była przekonana, że zamówienie przysłał pan Shaw, ale gdy Anna wróciła do Londynu przed trzema dniami, przysięgła, że właściciel kopalni dał się w końcu

przekonać i porzucił plan zrekompensowania Harriet wstydu, którego jej przysporzył na balu.

- Chociaż - dodała Anna z uśmiechem, od którego na jej policzku pojawił się dołeczek - ten uroczy starszy człowiek nalega, bym przyjęła sznur pereł na mój debiut tej wiosny. I twierdzi, że nie przyjmie odmowy.

- Zaczynam podejrzewać, moja droga, że powiedzenie „nie” nawet nie przeszło ci przez myśl.

Jedyną odpowiedzią był stłumiony wybuch śmiechu.

- Do tego czasu - powiedziała Anna - Eunice i wujek Freddy się pobiorą, a pan Shaw będzie teściem mojego wujka. Nie ma chyba nic złego w przyjęciu podarunku od teścia wujka.

Podczas gdy Anna czarowała kuzynkę dalszymi opowieściami o wspaniałym domu pana Shawa i apartamencie, który odnowił do użytku Freddy'ego i Eunice po ich ślubie w przyszłym miesiącu, Harriet przyniosła irchę do wypolerowania zaręczynowego pierścionka. Właśnie skończyła tę pracę i dobierała odpowiednie skórzane etui, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

W chwilę później w drzwiach pracowni stanęła Lucy i zapowiedziała gościa.

- Przyjechał z Kipworth, panno Harriet, i pyta, czy pani i panna Anna jesteście w domu.

Rand. Wreszcie przyjechał mnie odwiedzić!

W jednej chwili Harriet przeobraziła się ze zdrowej na umyśle, opanowanej kobiety w rozdygotaną panienkę, której ręce trzęsły się

tak mocno, że aż zaplątała sznurki fartucha w beznadziejny supeł. Zbyt zdenerwowana, by poczekać na pomoc, ściągnęła fartuch przez głowę.

- A niech to! Zrobiłam sobie na głowie prawdziwe gniazdo! I spójrz tylko na tę sukienkę - powiedziała, patrząc z odrazą na blad różowy muślin. - Wygląda, jakbym miała ją na sobie tysiąc razy! Nie... nie mogę pozwolić, żeby mnie zobaczył w tym stanie.

- Osobiście - odezwał się Burton Dunford od drzwi - nie widzę nic złego ani w pani włosach, ani w sukni.

- Och - westchnęła Harriet. Na widok młodzieńca rozczarowanie i zawstydzenie stoczyły w jej wnętrzu walkę, z której zwycięsko wyszło to drugie. Chociaż pragnęła nade wszystko wybiec z pokoju, uśmiechnęła się do gościa i podała mu rękę.

- Jak miło pana widzieć, panie Dunford.

- Burton. Proszę - powiedział młodzieniec. - Mam nadzieję, że nie przyszedłem w nieodpowiednim momencie.

- Nie, nie, skądże znowu - zaprzeczyła. Zdając sobie aż nadto dobrze sprawę, że zrobiła z siebie widowisko, zapytała brata Randa o jego studia. - Wrócił pan do Oksfordu? Pamiętam, że miał pan taki zamiar. Oczywiście, to było tego dnia, kiedy pan i Miles... - Nie wypowiedziała ostatnich słów, nie chcąc sobie przypominać tamtego okropnego dnia i duszącego lęku, który odczuwała na samą myśl, że jej kuzyn i Burton są zdani na łaskę człowieka pozbawionego sumienia.

Najwyraźniej Burton Dunford nie miał trudności z rozmawianiem na temat tego zdarzenia, bo w przeciągu paru minut wprowadził panie w dalszy ciąg historii od chwili, gdy się rozstali.

- Kiedy wyjechaliście z Milesem z Kipworth, panno Wilson, Francuz i jego wspólnicy zostali aresztowani i oskarżeni o porwanie. Z wyjątkiem kobiety, która została już osądzona i skazana na pięć lat w Newgate za pomoc i współudział w przestępstwie, pozostali są przetrzymywani do czasu, kiedy będą mogli zostać osądzeni przez sąd wyjazdowy. Po procesie, jak przypuszcza mój brat, wszyscy trzej zostaną zesłani do Australii.

Sama wzmianka o lordzie Dunford wywołała rumieńce na policzkach Harriet. Gdzie on jest? Dlaczego do niej nie pisze? Nie miała o nim żadnych wieści od czasu krótkiego pożegnania w dniu porwania, gdy pomagał jej wsiąść do powozu. Bez słowa przycisnął jej rękę do ust. Potem z niechęcią - a może tylko tak się jej zdawało - polecił wynajętemu woźnicy dowieźć ją bezpiecznie do „Róży i Korony” w Kipworth.

Przez następne dwa dni Harriet często pojawiała się w oknie wychodzącym na dziedziniec karczmy. Nadaremnie. Rand nie przyjeżdżał. Wreszcie wynajęty powóz przybył zabrać ich z powrotem do Londynu i musiała wraz z Milesem opuścić Kipworth i nikt oprócz gospodarza, pana Shimmerhorna, nie przyszedł życzyć im Bożej opieki na drogę.

Nie mogąc się powstrzymać, Harriet zapytała Burtona, czy jego brat ma się dobrze.

- Jak nigdy dotąd! - odpowiedział młodzieniec. - Pojechaliśmy razem w ubiegłym tygodniu do Ford Park w zachodnim Sussex. Nasza babka chciała nas zobaczyć, a i Rand chciał odwiedzić to miejsce po tych wszystkich latach. Wydał polecenia wszelkich potrzebnych remontów w posiadłości. Wygląda na to, że wreszcie jest gotów tam osiąść. Naturalnie babka jest z tego powodu bardzo szczęśliwa i wciąż mu powtarza, że to najwyższy czas, by się usatkwował i zaczął zapełniać rezydencję małymi Dunfordami.

„Małymi Dunfordami?” Harriet przygryzła dolną wargę, zanim jej drzenie zdradziłoby ją. Zakładanie rodziny było radosnym przedsięwzięciem, dlatego więc myśl o małych jasnowłosych i szarookich dziewczynkach i chłopcach, biegających po Ford Park, sprawia, że chce jej się płakać? Czy ta pustka w jej piersiach ma coś wspólnego z tym, że przyszli Dunfordowie nazywaliby matką jakąś inną kobietę?

- A zatem jego lordowska mość nie wraca do Londynu? - zapytała Anna.

- Nie na stałe. Spędziliśmy razem sporo czasu, poznając się wzajemnie, i wierzę, że byłby bardzo szczęśliwy, gdyby nigdy więcej nie oglądał Londynu.

Harriet bała się mrugnąć, żeby łza, która zakreśliła się w jej oku, nie spłynęła po policzku. Gdyby Rand pozostał w Sussex, już nigdy by go nie zobaczyła, a nie potrafiła pogodzić się z myślą o przyszłości bez niego... bez mężczyzny, którego kochała. To prawda, on jej nie kocha, ale gdyby przebywał w Londynie, istniała zawsze szansa, że

spotka go gdzieś przypadkowo. Mayfair dzieliło ledwie parę mil od Marylebone i jeśli nic więcej by nie pozostało, Harriet czerpałaby pocieszenie ze świadomości, że on jest niedaleko.

- Może udamy się na przejażdżkę po parku? - zaproponowała Anna, sprowadzając myśli Harriet na ziemię i przypominając jej, że nie powinna ujawniać swojej rozpaczki przed gościem. - Myślę, że to wspaniały pomysł! Pójdę po czepek.

- A co z Milesem? - zapytał Burton. - Czy sądzi pani, że zechce do nas dołączyć?

- Mileśa nie ma w domu - odpowiedziała Anna. - Nasz wuj zabrał go do Eton na wywiad. Mamy nadzieję, że będzie się tam uczył od przyszłego semestru.

- Świetna szkoła - rzekł Burton. - Chodziliśmy tam obaj z bratem. Chłopak sporo się tam nauczył.

- Mam nadzieję - powiedziała jego siostra - że nauczy się unikać kłopotów!

W jakiś sposób Harriet udało się zapanować nad sobą przez te parę minut, gdy Anna zakładała czepek i szal. Jednak gdy dwoje młodych wyszło opuściło już dom, położyła głowę na stole do pracy i pozwoliła sobie na wybuch płaczu, od którego jej oczy stały się czerwone, a w głowie jej huczało. Na jej nieszczęście, gdy szukała chusteczki do osuszenia łez, rozległo się pukanie do frontowych drzwi.

Postanowiła, że każe Lucy powiedzieć, że nie ma jej w domu. Zdziwiła się więc bardzo, gdy do pracowni weszła Bertha i oznajmiła, że przyjechał gość.

- Nie podał nazwiska - powiedziała kucharka, zniżając głos - ale jeżeli kiedykolwiek widziałam dżentelmena, to on nim jest. Ubrany pierwszorzędnie elegancko, a przyjechał wspaniałym kabrioletem. - Mówiąc znów normalnie, dodała: - Zaprowadziłam tego pana do salonu, panno Harriet, ponieważ powiedział, że przyjechał do pani w interesach. Mówił coś o pierścionku ze szmaragdem.

Pierścionek zaręczynowy. Oczywiście.

Harriet wolałaby, żeby klient przyjechał kiedy indziej, ale biorąc pod uwagę zysk, jaki przyniesie jej ten pierścionek, uznała, że lepiej będzie nie okazywać niezadowolenia. Co więcej, ponieważ pierścionek był już skończony, gotowy do założenia na palec narzeczonej, nie było powodu, dla którego nie miałby zostać odebrany już teraz.

Chociaż pomyślała, że przydałoby jej się parę minut na pójście do sypialni i poprawienie wyglądu twarzy i włosów, zrezygnowała z tego, nie chcąc, by klient czekał. Była szansa, że w ogóle nie zwróci uwagi na jej wygląd. Przecież interesował go pierścionek, a nie złotnik.

- Mam nadzieję - powiedziała, otwierając drzwi do pokoju, w którym czekał gość, i kładąc otwarte etui na szklanej gablocie - że będzie pan zadowolony z tego, co pan zobaczy. - Gdy tylko przekręciła pudełko dla własnej satysfakcji, a popołudniowe światło

zamigotało w nieskazitelnym szmaragdzie, spojrzała prosto na klienta, który stał za jednym z obitych zakardową tkaniną foteli.

- Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę - powiedział -jestem zadowolony z tego, co widzę.

- Rand!

Harriet nie wierzyła własnym oczom. Rand był tutaj. W jej domu. Na wyciągnięcie ręki. Gdyby pochyliła się nieco, mogłaby go dotknąć. Och, jak pragnęła go dotknąć!

Gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, przysięgłaby, że przez te trzy tygodnie, kiedy go nie widziała, stał się jeszcze przystojniejszy. Opalony przez wiejskie słońce ubrany był w kurtkę koloru cynamonowego, tak dobrze pasującą do jego ciemnoblonde włosów, i bryczesy z garbowanej skóry, wspaniale ukazujące jego silne uda.

- Tęskniłem za tobą - rzekł.

Łagodny, głęboki dźwięk jego głosu wywołał u Harriet dreszcze. Ale skoro za nią tęsknił, to czemu nie pokazywał się tak długo? Niepewna, chcąc koniecznie znać powód, zapytała:

- Dlaczego tu jesteś?

- Dlaczego? Być może rozstaliśmy się zbyt szybko i nie zdążyłem ci powiedzieć, jaka jesteś dzielna.

Dzielna? Czowała się kompletnym tchórzem. Jak beksa, bez pewności siebie i determinacji.

Jakby czytając w jej myślach, lord Dunford przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- Płakałaś?



- Nie, czemu, ja... - A niech to! Podekscytowana jego widokiem zupełnie zapomniała o swoim niedawnym wybuchu płaczu. - Muszę wyglądać jak straszycie...

Pokręcił głową.

- Niemożliwe.

Chociaż to jedno słowo dodało jej otuchy, podniosła rękę do głowy, na której panował niejaki nieład.

- Mam rozczochrane włosy. Moja sukienka ma przynajmniej tysiąc lat, a jeśli nie oczy, to nos na pewno mam czerwony. Spróbuj zaprzeczyć.

Sięgając ponad szklaną powierzchnią gabloty, która była jedyną przegrodą między nimi, Randolph dotknął końcami palców jej twarzy, delikatnie odgarnął do tyłu jeden kosmyk, wsuwając go do cokolwiek rozplatanego wężła na czubku jej głowy. Ta prosta czynność wywołała kolejne fale dreszczy na całym jej ciele, zmuszając ją do oparcia się o fotel dla złapania równowagi.

- Wszystko to, co mówisz, może być prawdą - powiedział nieco głośniejszym niż szeptem - ale i tak jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Piękną, dzielną i wspaniałomyślną. I - dodał, nachylając się do niej tak blisko, że poczuła ciepło jego oddechu na policzku - wprost stworzoną do całowania. Prawdę mówiąc, o niczym tak nie marzyłem przez ostatnie trzy tygodnie, jak o trzymaniu cię w ramionach i całowaniu.

Serce Harriet łomotało, bo jej marzenia koncentrowały się wokół tego samego. Czy to dlatego tu przyjechał? Żeby ją obejmować? Żeby

ją całować? Jeśli tak, pragnęła, żeby jej to powiedział, kończąc jej rozpacz.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała jeszcze raz. Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzyła, ale nie cofnęłaby tego pytania.

- Dlaczego? - Podniósł z gabloty małe skórzane etui. - Przyjechałem po pierścionek.

Wyciągnąwszy pierścionek z pudełka, wsunął złote kółko na koniec małego palca i uniósł go w stronę okna. Obracając ręką, przyglądał się grze światła na szmaragdzie.

Podczas gdy on oglądał blask klejnotu, Harriet obserwowała jego rękę jak zahipnotyzowana. Była duża, lecz kształtna, i taka męska. Przypominając sobie delikatny dotyk jego palców na swych włosach dosłownie przed chwilą, zastanawiała się, jakie to byłoby uczucie być pieszczoną od stóp do głów tymi silnymi rękoma.

- Wspaniałe - orzekł Rand, jakby w odpowiedzi na jej pytanie.

- Co?

- Twoje dzieło. Jest wspaniałe. Zupełnie tak, jak dama, dla której jest przeznaczony ten pierścionek zaręczynowy.

Ból ostry jak nóż rozdarł serce Harriet. Rand był zaręczony. A ona wykonała dla niego pierścionek. Zbierając wszystkie siły, jakie jej pozostały, zapytała:

- Czy mogę ci życzyć szczęścia?

- Życzyć mi szczęścia? Nie - powiedział łagodnie. - Uczynić mnie szczęśliwym, tak bardzo, jak tylko ty jesteś w stanie, mówiąc mi, że zostaniesz moją żoną.

Podniosła wzrok, napotykając znajome szare oczy i żar, który w nich ujrzała, zaparł jej dech w piersiach.

- Czy zgodzisz się założyć ten wspaniały pierścionek -zapytał - a potem pozwolisz umieścić obok niego drugi? Krążek z czystego złota?

„Tak! Och, tak!” Harriet chciała wykrzyknąć odpowiedź, rzucić się w jego ramiona i nigdy nie pozwolić mu odejść. Nie mogła wciąż jednak uwierzyć, że to dzieje się naprawdę. A cóż, jeśli płakała aż do zaśnięcia w pracowni i wciąż jeszcze śniła? W końcu Rand był lordem. Przystojnym i bogatym. Mógł mieć każdą kobietę na świecie.

Bojąc się uwierzyć, zapytała:

- Czy... czy jesteś całkowicie pewien, że chodzi ci właśnie o mnie?

Jakby nie ufając własnym słowom, złapał ją za nadgarstek i delikatnie wyprowadził zza gabloty. A gdy już nic ich nie rozdzielało, wziął ją w ramiona i pocałował. Delikatnie z początku, potem bardziej natarczywie, drażnił jej usta swoimi, całując ją tak namiętnie, aż zatraciła poczucie wszelkiej rzeczywistości, świadomość wszystkiego z wyjątkiem... jego twardej piersi i jego silnych ramion, obejmujących ją mocno.

- Rand - powiedziała, gdy w końcu odsunął usta. - Tak bardzo cię kocham. Proszę, powiedz, że ty też mnie kochasz.

- Że cię kocham? - Przycisnął ją do siebie mocno, jakby nigdy nie miał jej puścić. - Uwielbiam cię. Dopóki cię nie poznałem, nie

wiedziałem nawet, co znaczy miłość. Skąd miałem wiedzieć, skoro przez trzydzieści lat żyłem bez miłości? A teraz...

- A teraz? - zapytała, a nadzieja stopniowo wypierała resztki lęku.

- A teraz - powiedział - gdybym miał trwać bez twojej miłości choćby jeszcze jeden dzień, z pewnością zginąłbym.

- Ani dnia dłużej - wyszeptała. - Ani nawet jednej sekundy.

Pragnąc okazać mu swe uczucia, Harriet położyła ręce na jego twarzy i delikatnie nachyliła ją, by móc go pocałować. Z początku ostrożnie, dotknęła ustami jego powiek, potem powoli, zaczynając od prawej skroni, obsypała pocałunkami całą jego twarz, kończąc na lewej skroni.

- To jest moja miłość - powiedziała. - Weź ją. Daję ci ją za darmo. Moje serce i moja dusza należą do ciebie. Teraz i na wieki.

Wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, przycisnęła usta do jego ust.

- Moja kochana - wyszeptał przy jej twarzy głosem chropawym ze wzruszenia. - Wciąż nie powiedziałaś mi, czy za mnie wyjdiesz.

Pewna już, że Rand kocha ją tak mocno, jak ona jego, i że to, co teraz czują, jest ledwie początkiem, Harriet nie mogła dłużej powstrzymać radości. Odchylając głowę do tyłu, by móc spojrzeć mu w oczy, zaśmiała się łagodnie.

- Wyjdę za ciebie - powiedziała - pod warunkiem, że jesteś zupełnie pewien, że wiesz, na co się decydujesz. Nie jestem posłuszna, jak wiesz.

- Ach, tak, zauważyłem to.  
- A pamiętasz osła, który był zbyt uparty, by odejść od jabłoni?  
- Pamiętam - powiedział Rand.  
- Czasami, kiedy jestem przekonana, że mam rację, potrafię być tak uparta, że w porównaniu ze mną to zwierzę mogłoby się wydawać całkiem miłe.

Szcześliwszy niż kiedykolwiek dotąd w swoim życiu, Rand miał trudności nad zapanowaniem nad śmiechem.

- Nieposłuszna i uparta. Czy to wszystko?  
- Jeszcze tylko jedno.  
- Cóż to takiego? Zawahała się chwilę.  
- Hmm, powiedziano mi, że czasem chrapię.

Po tym ostatnim wyznaniu Rand przechylił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem, aż łzy mu napłynęły do oczu.

- Być może pamiętasz - powiedział - że zamawiając szmaragd do twojego pierścionka zaręczynowego, zastrzegłem, że kamień musi być nieskazitelny.

- Pamiętam.

- W kamieniu szlachetnym - rzekł - cenię niemal idealną doskonałość. W żonie jednak, jak sądzę, doskonałość byłaby nader męcząca. Nie potrafiłbym jej dorównać. Proszę o kobietę ze skazami.

- Oto jestem - odparła Harriet, wsuwając ręce pod jego kurtkę i przylegając do niego całą sobą. - Skazy i wszystko, jestem cała do twojej dyspozycji.

A gdy uniosła twarz, z rozchylonymi ustami zapraszającymi do całowania, Rand pomyślał, że wreszcie w jego życiu zagościło szczęście.

- Tak bardzo cię kocham - wyszeptała.

- Ja też ciebie kocham - odpowiedział. Będąc człowiekiem czynu, obawiał się, że słowa nigdy nie wyrażą prawdziwej głębi jego uczuć. Przygarnął więc Harriet do siebie ramieniem, pochylił głowę i pokazał jej, co kryje się w jego sercu.

Scandalous